



ALFRED SIATECKI

**CZWARTY KLUCZ
DO BRAMY**

CZWARTY KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA



**Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze**

ALFRED SIATECKI
**CZWARTY KLUCZ
DO BRAMY**

**ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA**

Zielona Góra 2012

Copyright © Alfred Siatecki
Copyright © Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Projekt okładki
Igor Myszkiewicz

Redakcja
Aleksandra Łobodzińska

Skład
Emilia Ćwilińska

Zdjęcie autora na okładce
Leopold Dunajewski



Zrealizowano przy pomocy finansowej
Miasta Zielona Góra

ISBN 978-83-88426-70-4

Wydanie I Zielona Góra 2012

Wydawca
Muzeum Ziemi Lubuskiej
al. Niepodległości 15, 65-048 Zielona Góra
tel. 68 327 23 45, faks 68 324 65 61
www.mzl.zgora.pl, e-mail: muzeum@man.zgora.pl

Druk i oprawa
„LIGATURA”
ul. Sulechowska 4 a, 65-119 Zielona Góra

Pomijając tendencję do utożsamiania obszarów historycznych czy geograficznych z administracyjnymi, nie ulega wątpliwości, że wokół Zielonej Góry ukształtował się w ostatnim pięćdziesięcioleciu obszar, dla którego miasto stało się naturalną stolicą.

prof. dr hab. Hieronim Szczegóła,
Studia Zielonogórskie 1997





*Kazimierz Bartkiewicz – portret pędzla Jolanty Zdrzałik –
w zbiorach Uniwersytetu Zielonogórskiego*

Kazimierz Bartkiewicz

Urodził się 11 listopada 1930 w Dąbrowie Dolnej koło Kielc, zmarł 27 października 2002 r. w Krakowie. Ukończył studia historyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Od 1975 r. pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, był jej rektorem. W 1978 r. otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych w zakresie historii. Jego zainteresowania badawcze koncentrowały się m.in. wokół problematyki nadodrzańskiej. Był współautorem książki *Z dziejów myśli o polskich ziemiach zachodnich. Od Długosza do Parczewskiego*. Pod jego redakcją ukazały się m.in. *Źródła i materiały do dziejów Środkowego Nadodrza*.

KRZYŻEM I MIECZEM

Rozmowa z prof. dr. hab. Kazimierzem Bartkiewiczem,
historykiem

– Pierwszy raz byłem w Chwarszczanach jako dziecko pod koniec lat pięćdziesiątych poprzedniego stulecia. Ojciec zawiózł mnie tam, ażeby zobaczyć koło młyńskie.

– Ja byłem w Chwarszczanach pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy jako historyk interesujący się dziejami Śląska w ogóle, a Środowego Nadodrza szczególnie chciałem zobaczyć budowlę wpisaną na listę stu najważniejszych zabytków w Polsce.

– O czym Pan Profesor mówi?

– O kościele pod wezwaniem Świętego Stanisława Kostki. Czyli kaplicy zakonnej, która najpierw identycznie jak komtura była pod wezwaniem Wszystkich Świętych, potem jej patronem został święty Jan Ewangelista.

– O tej samej kaplicy, którą wzniesli templariusze?

– Dzisiejszy kościół stoi na miejscu pierwszej kaplicy w stylu romańskim, o czym świadczą dolne partie fasady zachodniej z portalem. Druga kaplica zakonna, postawiona z cegły przez templariuszy, pochodzi z końca XIII wieku. Była wielokrotnie przebudowywana, jednak zachowała swój gotycki charakter. Uwagę zwiedzających kościół zwracają wysokie, ostrołukowe okna. Do naszych czasów przetrwała skromna dekoracja, wśród niej zachował się

charakterystyczny, czerwony krzyż templariuszy. Znawcy dziejów Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, jak brzmi oficjalna nazwa zakonu, porównują chwarszczaną kaplicę z kościołem Saint Chapelle we Francji. A przy tym dodają, że jest to ideowa kopia Grobu Bożego w Jerozolimie.

– Zanim zapytam Pana o wyjaśnienie, kiedy i w jakich okolicznościach templariusze osiedlili się w Chwarszczanach, proszę powiedzieć, kim byli ci zakonnicy.

– Gdy na początku XI wieku kalif Al-Hakim nakazał zburzyć kościół Grobu Bożego w Jerozolimie i zaczął utrudniać pielgrzymowanie do miejsc ważnych dla chrześcijan, papież Urban II wezwał wyznawców religii Chrystusowej do uwolnienia Palestyny od muzułmanów i do utworzenia Królestwa Jerozolimskiego. Za obietnicę odpuszczenia grzechów przez dwa wieki tysiące Europejczyków podążyły do Ziemi Świętej. Wracало mniej, ponieważ na ich drodze stawali innowiercy i choroby charakterystyczne dla basenu Morza Śródziemnego. Dlatego już na początku wypraw krzyżowych pojawiła się koncepcja powoływania zakonów łączących ideę życia w modlitwie i pomocy chorym z działalnością militarną. Inaczej mówiąc, część wspólnoty stanowili bracia duchowni, część bracia rycerze akceptujący reguły zakonne. Służyli też rycerze, którzy nie składali ślubów zakonnych i którzy w każdej chwili mogli wrócić do życia świeckiego. Pierwszą taką organizację utworzyli Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona, bardziej znani jako templariusze, od łacińskiej nazwy *Fratres Militiae Templi, Pauperes Commilitones Christi Templique Salomonis*. Byli to w przeważającej części francuscy rycerze, którzy zobowiązali się bronić chrześcijan przed innowiercami i chronić szlaki pielgrzymkowe. Gdy po 1270 roku zakończyły się wyprawy krzyżowe, przynależni do wspólnoty zaczęli szukać swego nowego miejsca.

– I wtedy osiedli w Chwarszczanach?

– Trudno precyzyjnie określić rok przybycia templariuszy na Środowe Nadodrze, czyli do Chwarszczan i Wielkiej Wsi. Jedni badacze przyjmują, że było to w 1232 roku, kiedy książę wielkopolski Władysław Odonic nadał im tę ziemię. Inni uważają, że zakonników sprowadził książę śląski Henryk I Brodaty. Za drugą hipotezę

przemawia to, że wcześniej władca śląski ściągnął templariuszy do Oleśnicy Małej niedaleko Oławy. Są też tacy, którzy uważają księcia pomorskiego Barnima I za fundatora komandorii chwarszczanńskiej.

– Dlaczego templariusze osiedli się w Chwarszczanach?

– Środkowe Nadodrze, gdzie są kiepskie gleby, dużo lasów i jezior, zawsze było słabo zasiedlone. Mimo to prawo do tej ziemi rościli sobie książęta pomorscy, wielkopolscy, śląscy i panowie brandenburscy. Jedynym sposobem utrzymania tej części kraju przy którymś księstwie na dłużej była zdecydowana obrona granic. Kto mógł to lepiej robić, jeśli nie zakony rycerskie, które po zakończeniu wypraw krzyżowych starały się służyć Kościołowi katolickiemu, zachowując wspólnotę. Tym bardziej że obowiązywała zasada: kto najechał na ziemie zajmowane przez zakonników, narażał się na wysokie kary kościelne. Pierwszym, który postanowił stać się władcą całego Środkowego Nadodrza był książę śląski Henryk I Brodaty. On sprowadził cystersów do Lubiąża, cysterki do Trzebnicy i kanoników regularnych reguły świętego Augustyna do Nowogrodu Bobrzańskiego. W tym może być odpowiedź na pytanie, który władca – Władysław Odonic, Barnim I czy Henryk I Brodaty – sprowadził templariuszy do Chwarszczan.

– Dlaczego akurat do Chwarszczan, a nie, na przykład do Krosna Odrzańskiego czy Górzycy albo Kostrzyna?

– Chwarszczany leżą z dziesięć kilometrów na północ od Kostrzyna. Na swoją siedzibę templariusze wybrali wyniesienie nad Myślą, skąd roztacza się piękny widok na dolinę. Miejsce to było dogodnie położone, w pobliżu drogi ciągnącej się wzdłuż Odry. Tu mnisi wzniesli potężny zamek, kaplicę, postawili folwark ze stajniami, oborami, młynem, kaszarnią, kuźnią i domem dla oficjalistów.

– Tylko w Chwarszczanach mieli swoją komandorię?

– Takich siedzib templariuszy jak chwarszczanska było więcej na ziemi środkowonadodrzańskiej. Komandorię sulęcińską utworzyli na darowiźnie otrzymanej od wielmoży Mrocza z Pogorzeli. Na pewno komandorie były też w Wielkiej Wsi, Łagowie i Słońsku. Po zachodniej stronie Odry templariusze osiedlili się w Leśnicy, dziś Lietzen, na północny zachód od Frankfurtu. Ponieważ istnieją

dokumenty potwierdzające, że komandorię leśnicką ufundował Henryk I Brodaty, przyjmuje się, że to książę śląski sprowadził templariuszy na Środkowe Nadodrze.

– Powiedział Pan, że rycerze zakonni bronili ziemi nad środkową Odrą. Co jeszcze należało do ich obowiązków?

– Przyjmuje się, że za panowania Bolesława Krzywoustego powstało biskupstwo lubuskie. Być może podstawowym zadaniem templariuszy była chrystianizacja Środkowego Nadodrza, czyli sprawowanie opieki duchowej nad mieszkańcami i budowa kościołów. Potwierdzają to nadania ziemi, jakie na ich rzecz poczynił biskup lubuski Wawrzyniec. Było to pierwsze zadanie pod znakiem krzyża. Drugie zadanie pod znakiem miecza sprowadzało się do obrony granic ziem książęcych. Trzecim zadaniem było zasiedlanie Ziemi Lubuskiej. Razem z mnichami na te tereny przyjeżdżali świeccy osadnicy, wśród nich rzemieślnicy i rolnicy, którym zakonnicy darowali lasy, pola i łąki. Przyjmuje się, że większość wsi między Kostrzynem a Gorzowem ma metrykę sporządzoną przez templariuszy.

– Krótko mówiąc: wraz z nimi na Środkowe Nadodrze przeniósł postęp cywilizacyjny i społeczny.

– Dobrze pan to ujął.

– Na początku XIV wieku nad Ubogimi Rycerzami Chrystusa i Świętyni Salomona zaczęły się zbierać czarne chmury. We Francji, gdzie zakonnicy byli nie lubiani przez króla i jego otoczenie, zostali oskarżeni o herezje, czary, rozpustę, odstępstwo od wiary. Czy mieszkańcy Chwarszczan, Dąbroszyna, Krześnicy, Witnicy i innych miejscowości założonych przez zakon na ziemi kostrzyńskiej też ich nie lubili?

– Templariusze nie byli lubiani ani przez władców Środkowego Nadodrza, ani przez duchownych diecezjalnych, ani przez mieszkańców wsi. Mimo to książęta i biskupi lubuscy darzyli ich szacunkiem. Robili to przede wszystkim dlatego, że rycerze zakonni gwarantowali skuteczną ochronę ziemi, którą otrzymali templariusze. Mieszkańcy wsi nie lubili żadnych panów nad sobą, a byli wrogo usposobieni szczególnie wobec tych, którzy domagali się nie tylko świadczeń w naturze, ale i robocizny, na przykład przy budowie siedzib klasztornych.

A księża diecezjalni uważali ich za tych, którzy, wyłączeni spod jurysdykcji biskupa, uszczuplają dochody duchownych.

– Czy komandoria chwarszczańska odgrywała znaczącą rolę we wspólnocie zakonnej?

– W czasie, kiedy preceptorem, czyli przełożonym okręgu był Bernard von Evirstein, w Chwarszczanach znajdowała się siedziba prowincji zakonnej na Polskę, Czechy i Morawy, o czym świadczy wzniesienie okazałej kaplicy. To było jedno z najważniejszych miejsc w środkowej i wschodniej Europie. Pod koniec XIII wieku znajdował się tu skarbiec i zbiór akt zakonnych. Tutaj też raz w roku zbierała się kapituła z udziałem wszystkich przełożonych domów zakonnych w prowincji.

– Krążą legendy o bogactwie templariuszy.

– Ich zawołanie brzmiało: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam*, co na polski można przełożyć jako: nie dla nas, Panie, nie dla nas, lecz dla chwały Twojego imienia.

– Bogacili się w imię Boże?

– Przejrzałem chyba wszystko, co historycy dotąd napisali o templariuszach chwarszczańskich, nigdzie nie znalazłem informacji o ich legendarnym bogactwie. Niczego nie znaleźli też urzędnicy króla francuskiego Filipa IV Pięknego, którzy 13 października 1307 roku rozpoczęli aresztowania zakonników we Francji. Mimo to Francuzi wytoczyli im proces. Po nim, w 1313 roku papież Klemens V rozwiązał zakon.

– Chodziło chyba o to, że Filip IV był po uszy zadłużony u templariuszy. Nie mając pieniędzy na spłatę długu, wybrał drogę prowadzącą do likwidacji zakonu. Sprzyjał mu papież, który w tym czasie rezydował we francuskim Awinionie.

– Bezbłędnie pan to wyjaśnił.

– Czyją własnością stały się dobra chwarszczańskie po likwidacji zakonu?

– W 1311 roku sobór w Vienne uchwalił kasatę zakonu. Decyzja papieska w tej sprawie wyszła dwa lata później. Nie czekając na jej

wydanie, margrabiowie brandenburscy zajęli zamek i zabudowania gospodarskie w Chwarszczanach.

– A skąd Brandenburezycy wzięli się po wschodniej stronie Odry?

– W 1249 roku książę Bolesław Rogatka potrzebował pieniędzy na wojnę ze swoim bratem Henrykiem. Zastawił więc połowę Ziemi Lubuskiej u arcybiskupa magdeburgskiego Wilbrandta, wierząc w zbrojne pokonanie władcy dzielnicy wrocławskiej. Ponieważ Rogatka wojnę przegrał, arcybiskup przejął Ziemię Lubuską po to, aby jej się pozbyć na rzecz margrabiów brandenburskich.

– Czy wszystkie majątki templariuszy stały się własnością Brandenburezyków?

– Pewnie pan sądzi, że już następnego dnia po kasacie zakonu mnisi duchowni i rycerze wyprowadzili się z Chwarszczan, Łagowa, Sulęcina, Słońska, Wielkiej Wsi, Leśnicy, Rurki, Oleśnicy Małej...

– Zapadła decyzja w rezydencji papieskiej w Awinionie, czyli na najwyższym szczeblu. W Kościele hierarchicznym, gdzie duchowni ślubowali posłuszeństwo wobec zwierzchników.

– Decyzja zapadła, owszem, ale templariusze jeszcze długo czuli się właścicielami niektórych swoich majątności. Na przykład dobra sulęcińskie dopiero pięć lat później przejęli nie joannici, jak to postanowił papież, lecz margrabiowie brandenburscy. Dopiero w 1380 roku joannici stali się gospodarzami miasta i okolicznych wsi. Podobnie było z dobrami łagowskimi, które zajęło trzech panów brandenburskich po to, aby je sprzedać Albertowi von Klepitzowi. A do Słońska joannici przybyli w 1426 roku i to nie jako spadkobiercy majątności templariuszy, lecz jako ci, którzy dostali miasto w zastaw. Zresztą rok później je kupili.

– Wedle decyzji papieża dobra templariuszy mieli przejąć joannici, czyli kto?

– Czyli Zakon Rycerzy Jerozolimskiego Szpitala Świętego Jana Chrzciciela, który powstał w 1154 roku podczas krucjat do Ziemi Świętej. Pod trochę zmienioną nazwą zakon istnieje do dziś, ma siedzibę w Rzymie.

– Kiedy joannici pojawili się w interesujących nas Chwarszczanach?

– Stało się to po 1318 roku. Zamek chwarszczański był nawet krótko siedzibą baliwatu, czyli centrum prowincji joannickiej, sprawującej nadzór nad komandoriami, a więc miejscem, gdzie zapadły ważne decyzje. W przeciwieństwie do swoich poprzedników templariuszy, joannici chwarszczańscy nie mieli za dużego wpływu na to, co się działo w Nowej Marchii, jak margrabiowie brandenburscy nazwali ziemię na wschód od środkowej Odry.

– W 1402 roku władca nowomarchijski Zygmunt Luksemburski oddał kraj krzyżakom w zastaw. Trzeciej organizacji duchowno-rycerskiej, która jako Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie również powstała w okresie wypraw krzyżowych.

– A ci poczuli się nie tylko gospodarzami dóbr, ale i panami sytuacji. Główna siedziba wójta krzyżackiego Nowej Marchii najpierw była w Chomętowie koło Dobiegniewa, potem krótko w Choszczynie, Myśliborzu i Ługach koło Dobiegniewa. Gdy w Landsbergu, czyli dzisiejszym Gorzowie krzyżacy zbudowali zamek, tam przeniósł się administracja wójtostwa. Zachłanność krzyżaków i szarogęszenie się w Nowej Marchii było tak wielkie, że nawet najechali na joannickie Chwarszczany. Oddali je dopiero w 1440 roku po interwencji najwyższych władz kościelnych.

– Czy krzyżacy długo byli panami Nowej Marchii?

– Do 1517 roku, kiedy władca Brandenburgii i Fryderyk II zawarł z nimi porozumienie w sprawie wykupienia tej ziemi. Ponieważ krzyżacy byli w stanie wojny z Polską i potrzebowali pieniędzy, przystali na wszystkie propozycje elektora brandenburskiego.

– W 1536 roku władca Nowej Marchii Johann von Hohenzollern, nazywany Janem Kostrzyńskim, przeniósł swoją siedzibę z Myśliborza do nadodrzańskiego Kostrzyna.

– I niedługo po tym przeniósł konwent joannitów z Chwarszczan do Świdwina na Pomorzu. W odebranych im dobrach utworzył swój folwark głównie zaopatrujący w żywność księżęcy zamek i mieszczan kostrzyńskich.

– Zakonnicy nie protestowali?

– Było to po tym, jak w proteście przeciw niektórym praktykom kościelnym Marcin Luter przybił swoje tezy na drzwiach kaplicy zamkowej w Wittenberdze. Johann von Hohenzollern zmienił wyznanie z katolickiego na protestanckie, a wraz z nim pionierską religię przyjęła cała Nowa Marchia. Zmalało więc znaczenie chwarszczańskiej siedziby zakonu, tym bardziej że na czoło znaczących ośrodków wysunęła się komandoria w Słońsku. Joannici chwarszczanie zdawali sobie sprawę z tego, że w tej sytuacji oporem niczego nie osiągną.

– Kiedy joannici stali się właścicielami słońskich dóbr?

– Po rozwiązaniu zakonu templariuszy rządy w Słońsku przejęli biskupi lubuscy i margrabiowie brandenburscy. W 1426 roku elektor Fryderyk I pożyczył od joannitów pieniądze, zastawiając dobra w Słońsku, a rok później sprzedał im ten majątek. Okazało się to wyjątkowo korzystne dla miasteczka dlatego, że po latach joannici słońscy uzyskali dużą autonomię w prowincji niemieckiej zakonu. Tu była siedziba baliwatu brandenburskiego, któremu podlegały komandorie w całym kraju.

– Mimo iż władca Nowej Marchii przeszedł na luteranizm, pozostawił siedzibę katolickich joannitów w Słońsku?

– Od wprowadzenia protestantyzmu w Nowej Marchii związek tego klasztoru z Wielkim Przeoratem w Heiterscheime w Badeni był luźny. Joannici słońscy, do połowy XVI wieku zarządzani przez przedstawiciela rodu Hohenzollernów, wraz z całym krajem przeszli na wiarę luterzańską. W Słońsku była siedziba protestanckiego zakonu joannitów, który wzniosł nie tylko okazały zamek, ale i wyjątkowej urody kościół, i kolegium kapłańskie, i nowoczesny folwark.

– Czy Jan Kostrzyński jako władca Nowej Marchii korzystał ze wsparcia słońskich joannitów? Chodzi mi o to, czy zakonnicy byli wśród książęcych urzędników.

– Był to zręczny i potężny władca. Przede wszystkim jemu ziemie po prawej stronie Odry zawdzięczają szybki rozwój. Fakt, po jego śmierci Nowa Marchia znowu weszła w skład Brandenburgii i przestała być samodzielnym krajem, ale osadnictwa nad Odrą, Wartą i Notecią żaden kolejny władca nie był w stanie zatrzymać.

Jan Kostrzyński oparł swoją władzę na joannitach z jednej strony, a z drugiej przymusił ich do zakładania nowomarchijskich wsi i rozbudowy Słońska.

– Gdy czytałem dzieje słońskiego klasztoru, najwięcej miejsca zajmowały w nich lata panowania mistrza Jana Maurycego Moritza von Nassaua.

– To nie był zwyczajny mistrz jak jego poprzednicy. Jan Maurycy pochodził z rodziny Nassauów, która dała Europie wielu władców, wśród nich obecną królową Holandii Beatrycze. Zanim jednak został najważniejszą osobą w słońskim klasztorze, był gubernatorem zdobywanych przez Holendrów ziem w Brazylii. Po powrocie do Europy król pruski Fryderyk Wilhelm przyjął go do swojej służby, a cesarz Ferdynand podniósł ród Nassauów do godności książąt brandenburskich. W takiej sytuacji kapituła zakonu joannitów nadała mu tytuł mistrza i wybrała na rządcę prowincji. Śmiało można powiedzieć, że Jan Maurycy był zaufanym człowiekiem elektora brandenburskiego w zakonie.

– A jak to się stało, że osoba daleka od reguły joannitów zajęła najwyższe miejsce w hierarchii zakonnej, dotąd obejmowane tylko przez Hohenzollernów?

– Przynależność do zakonu brandenburskiego czy joannitów była powodem dumy. Należeli do niego przedstawiciele najważniejszych rodów szlacheckich po obu stronach Odry, także władcy Brandenburgii i Prus. W trakcie uroczystego pasowania na rycerza zakonnego mistrz trzykrotnie uderzał go mieczem w ramię i wygłaszał formułę: „Lepiej być rycerzem niż giermkim”. Potem zakładał mu czarno haftowany płaszcz z białym krzyżem na lewym ramieniu... Jan Maurycy, który nie miał żony ani dzieci, podniesiony do godności książęcej, chciał się odwdziżyć Hohenzollernom. Wskazując go na mistrza zakonu, Fryderyk Wilhelm musiał zdawać sobie sprawę z tego, że na nim się nie zawiedzie.

– Miał rację?

– Kiedy w 1652 roku Jan Maurycy obejmował klasztor, majątek słoński był skromny. Kiedy umarł w 1679 roku, Słońsk należał do większych miejscowości wschodniej Marchii. W miasteczku mieszkało

około tysiąca osób. Tyle samo mieszkańców miał pobliski Kostrzyn. Stał tu zamek zakonny w stylu holenderskim z komnatami, archiwami i kancelariami. Urzędnicy i nauczyciele mieszkali w domu wzniesionym nieopodal zamku. Tu też Jan Maurycey postawił szpital i utrzymywał go z własnych pieniędzy. Kościół był odbudowany i ozdobiony obrazami przeniesionymi z katedry berlińskiej. Był to naprawdę ważny ośrodek, promieniujący nie tylko na komandorię i okoliczne miejscowości, ale i wykraczający swoim oddziaływaniem daleko za Odrę. Tu bowiem znajdowała się główna siedziba baliwatu brandenburskiego protestanckich joannitów. Kronikarz zakonu Adolf von Winterfeld zanotował, że pod rządami mistrza Jana Maurycego „baliwat brandenburski przeżył swoje najszcześniejsze czasy i szczyt swojej sławy. Podniósł on rangę zakonu tak wysoko, że najświetniejsi, wysoko postawieni panowie starali się o pasowanie na rycerza”.

– Co się potem działo w Słońsku?

– Kolejne sto lat nie było już tak pomyślne dla miasteczka, chociaż nadal rozwijało się dynamicznie. Powstały zakłady metalowe i tkackie, tartak, potem Prusacy zbudowali tu jedno z największych i najcięższych więzień. Na rozwój miasteczka miały wpływ roboty wodne w dolinie Warty. W osadach zakładanych na zmeliorowanych terenach osiedlali się koloniści z całych Niemiec, sprowadzani przez króla Fryderyka Wielkiego, joannitów i lubniewickich Waldowów. Jednak po śmierci Jana Maurycego znaczenie joannitów wyraźnie zmalało. W 1810 roku doszło do sekularyzacji zakonów w Brandenburskiej. Ich dobra przejęło państwo pruskie, ponieważ były potrzebne na zapłacenie kontrybucji Napoleonowi.

– Zastanawiam się, jaki był stosunek miejscowej ludności do zakonników. Mam na myśli nie tylko joannitów w Słońsku, ale i templariuszy w Chwarszczanach, krzyżaków w Landsbergu...

– Nie ma dowodów na to, aby świeccy mieszkańcy zachowywali się nieprzyjaźnie czy agresywnie wobec zakonników. Nie ma takich dowodów jeśli chodzi o Środkowe Nadodrze. W Swobnicy na Pomorzu joannici zbudowali imponujący zamek i kryli się za jego grubymi murami. Tam, w majestacie ówczesnego prawa, dochodziło do mordów, palenia czarownic, torturowania mieszkańców.



– Dlaczego?

– Średniowieczne miasta na pograniczu pomorsko-lubuskim nieźle sobie radziły, aż tu nagle pojawili się zakonnicy i zaczęli stanowić konkurencję w produkcji i handlu. Z tego powodu dochodziło do zatargów między mieszczanami i mnichami. W 1373 roku mieszkańcy nowomarchijskiej Chojny napadli na komandorię joannitów w pobliskiej Rurce. Jej komendanta mieszczanie osądzili i tylko dzięki interwencji papieża Grzegorza XI uniknął lochu.

– Rozumiem, że produkcją zajmowały się folwarki należące do komandorii. Rycerze zakonni bronili terytorium oddanego im pod opiekę. Kapłani i mnisi duchowni się modlili. Czym jeszcze zajmowali się mieszkańcy klasztorów?

– Ci, którzy byli wykształceni, służyli radą władcom, uczyli w szkołach przyklasztornych, sprawowali opiekę nad chorymi w szpitalu. Część zajmowała się przepisywaniem ksiąg, na co wskazują badania przeprowadzone przez archeologów na poklasztorzym cmentarzu w Chwarszczanach. U zmarłych archeolodzy stwierdzili choroby zwyrodnieniowe w obrębie kręgosłupa, co mogło być spowodowane pracą w skryptorium. Chociaż część badaczy sugeruje, że choroby te mogła wywołać praca kuczna w polu lub częsta jazda konna. To wskazuje, że na cmentarzu chowano nie tylko mnichów i rycerzy zakonnych.

– Tyle rozmawiamy o templariuszach i joannitach, ich roli w zasiedlaniu Środkowego Nadodrza, a ledwie wspomniał Pan Profesor o komandorii łagowskiej.

– Gdyby nie zamek w Łagowie zachowany do naszych czasów w niezłym stanie, pewnie o roli zakonników w tej miejscowości niewiele byśmy wiedzieli. W literaturze jest mowa o tym, że już w 1285 roku była tam komandoria templariuszy. Potem osadę kupił Albert von Klepitz i po latach sprzedał joannitom. Ci z kolei w XIV wieku rozpoczęli budowę nowego zamku, który szczęśliwie przetrwał do naszych czasów. Komandoria łagowska identycznie jak sulceńska wchodziła w skład baliwatu słońskiego.

– Dziękuję za rozmowę.

Żagańska kaplica Grobu Świętego

Przy świątyni katolickiej pw. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Żaganiu, zwanej kościołem Na Górcie, znajduje się replika Grobu Bożego w Jerozolimie, w jego średniowiecznej postaci. Jest to jedyna w Polsce kopia jerozolimskiej świątyni sprzed 1555 r., kiedy to przebudowano bazylikę, nadając jej współczesny wygląd. Początek wznoszenia kopii kaplicy Grobu Chrystusowego w Żaganiu przypada na 1588 r. Inicjatorem budowy był opat żagańskich augustianów, jak często nazywa się kanoników regularnych według reguły świętego Augustyna, Jakub II Liebig. Budowniczkowie wzorowali się na kopii kaplicy wykonanej pod koniec XVI wieku w Görlitz (pol. Zgorzelec), będącej odwzorowaniem w mniejszej skali bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. W Żaganiu też powstał zespół Świętego Grobu, jak twierdzi historyk Marcin Kwiatek, jest on w całości kopią budowli w Görlitz, czyli kaplic Grobu Bożego, Namaszczenia i Świętego Krzyża. Ta ostatnia nie zachowała się do naszych czasów. Żagańska budowla jest wykonana z piaskowca i jak w zgorzeleckiej ma wejście skierowane na wschód. Identycznie jak jerozolimski oryginał kaplica składa się z nawy, czyli przedsionka i prezbiterium, czyli komory grobowej. Do drugiej wojny światowej była celem pielgrzymek niemieckich chrześcijan. Obok kopii w Görlitz to jedyna taka budowla w Europie.



Jerzy Piotr Majchrzak – fot. Ryszard Poprawski

Jerzy Piotr Majchrzak

Urodził się 1 stycznia 1940 w Senftenbergu (Niemcy), zmarł 2 marca 2011 r. w Świebodzinie. Ukończył studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracę doktorską obronił na uniwersytecie w Poczdamie a habilitacyjną na uniwersytecie w Dreźnie. Pracował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie oraz w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze. Napisał m.in. *Na peryferiach historii, Na tropach dawnej Zielonej Góry, ...więcej niż życie. Doro-
ta Talleyrand-Périgord i jej czasy, Wędrowanie w przeszłość. Zapiski encyklopedyczne o Zielonej Górze i okolicy, Encyklopedia Ziemi Żarskiej.*

ŚWIĘTA ZA ŻYWOTA

**Rozmowa z dr. hab. Jerzym Piotrem Majchrzakiem,
historykiem i germanistą**

– Porozmawiajmy o świętej Jadwidze.

– O której świętej Jadwidze będziemy rozmawiać? Kościół katolicki wyniósł na ołtarze dwie kobiety o tym imieniu. W 1267 roku papież Klemens IV kanonizował Jadwigę, księżniczkę śląską, żonę Henryka Brodatego. W 1979 roku Jan Paweł II beatyfikował i w 1997 zaliczył do grona świętych Jadwigę Andegaweńską, królową Polski, żonę Władysława Jagiełły.

– Porozmawiajmy o tej Jadwidze, pod wezwaniem której jest konkatedra w Zielonej Górze i co dwudziesty kościół w południowej części diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

– A więc chodzi o Jadwigę zwaną Śląską. Jest ona patronką dużej ilości świątyń, nie tylko w zachodniej Polsce, lecz i na Węgrzech, w Austrii i Czechach. Patronuje Wrocławowi, Krakowowi i Berlinowi. W tym ostatnim mieście stoi katedra pod jej wezwaniem, będąca siedzibą katolickiego arcybiskupa stolicy Niemiec. Jadwiga jest też patronką pojednania i pokoju.

– Skąd się wywodziła księżna Jadwiga?

– Wielu piastowskich władców Śląska brało za żony księżniczki z saskich i bawarskich rodów, rzadziej z brandenburskich. Tak też postąpił Henryk I, zwany Brodatym, czy może lepiej powiedzieć: jego

ojciec Bolesław I Wysoki. Na żonę dla swego syna wybrał Jadwigę z Andechsów, bawarskiego, który był wówczas w rozkwicie. Część kronikarzy podaje, że nie śląski książę, lecz władający Łużycami dziadek Jadwigi, Dedon z Rochlic, zaaranżował małżeństwo wnuczki z synem Bolesława Wysokiego.

– Powiedział Pan, że Jadwiga pochodziła z bawarskiego rodu będącego w rozkwicie. Co to znaczy?

– Andechsowie należeli do książąt Rzeszy. W ich rodzie były również tytuły książęce Istrii i Meranii. Najstarsza siostra Jadwigi, Agnieszka, była żoną króla francuskiego Filipa II, a młodsza, Gertruda, poślubiła króla węgierskiego Andrzeja II. Najmłodsza, Mechtylda, wstąpiła do klasztoru cysterek w Bambergu, a później była przełożoną benedyktynek w bawarskim opactwie Kitzingen. Ekbert, najstarszy brat Jadwigi, został biskupem Bambergu i namiestnikiem cesarskim Dolnej Austrii. Najmłodszy brat, Bertold tak jak ojciec, sprawował urząd patriarchy Antiochii. Koniecznie trzeba dodać, że Andechsowie uczestniczyli w wyprawach krzyżowych do Ziemi Świętej.

– Jadwiga przyszła na świat w epoce wypraw krzyżowych. Ich celem było uwolnienie miejsc ważnych dla chrześcijaństwa, przede wszystkim Jerozolimy, od innowierców. Czy miało to wpływ na jej wychowanie, szczególnie religijne?

– Badacze podają, że Jadwiga urodziła się między 1174 a 1178 rokiem. Gdzie, tego nie udało się ustalić. Imię Jadwiga, oznaczające w staroniemieckim osobę walczącą, otrzymała po babce. Wiadomo, że jako dziewczynka przez siedem lat przebywała w opactwie benedyktynek w Kitzingen. Jak podaje autor współczesnego opracowania na jej temat, salwatorianin, ksiądz Antoni Kielbasa, w klasztorze „zetknęła się bezpośrednio z pobożnością benedyktyńską poprzez wspólne życie, modlitwę, medytację, codzienne czytanie przy stole, a przede wszystkim przez uroczystą liturgię odprawianą w konwencie”. Trzeba przyjąć, że pobyt w klasztorze był dla niej formą edukacji, bowiem tam nauczyła się pisać i czytać, haftować, grać na instrumentach, śpiewać, poznała też dworskie formy towarzyskie. Wedle księdza Kielbasy: „Dziewczęta uczono także prowadzenia gospodarstwa domowego, robót ręcznych oraz pielęgnowania chorych”.

– Czyli tego, co Dhouda nakazywała swemu Wilhelmowi w *Podręczniku dla syna*, powstałym w połowie IX wieku.

– Żyjąca w dobie Karolingów Dhouda pisała: „Kochaj Boga, szukaj Boga, kochaj swojego młodszego brata, kochaj ojca, przyjaciół i towarzyszy, pośród których przebywasz na królewskim bądź cesarskim dworze, kochaj biednych i nieszczęśliwych”. Z pewnością te zalecenia miały zasadnicze znaczenie w życiu śląskiej księżniczki.

– Powiedział Pan, że dokładnie nie wiadomo kiedy i gdzie Jadwiga się urodziła.

– Tak podają kronikarze. Życiorys Jadwigi sporządził Engelbert, prawdopodobnie mnich cysterski, dla potrzeb kanonizacyjnych. Sądzę, że ujmował wyłącznie to, co było niezbędne do przekonania papieża, aby wyniósł ją na ołtarze. A więc same zasługi, wyłącznie cechy pozytywne. Powstała w XIV wieku *Legenda większa o świętej Jadwidze*, czyli jej życiorys, w dużej części wykorzystywała wcześniejsze źródła.

– Nie znając roku urodzenia, w *Bramie*, książce o dziejach Krosna Odrzańskiego, napisał Pan, że Jadwiga została żoną Henryka jako dwunastolatka.

– W przywołanej przed chwilą *Legendzie* jest informacja, że Jadwiga „w dwunastym roku” została żoną Henryka i matką, „mając trzynaście lat i trzynaście tygodni”.

– W związku małżeńskim z Henrykiem urodziła siedmioro dzieci. Co Pan o nich wie?

– Na pewno była matką trzech synów: Konrada, Bolesława i Henryka oraz trzech córek: Agnieszki, Zofii i Gertrudy. W niektórych kronikach jest mowa o siódmym dziecku, ochrzczonym na zamku w Głogowie, ale nigdzie nie natknąłem się na jego imię. Prawdopodobnie zmarło w niemowlęctwie. Co ciekawe, matkę przeżyła jedynie Gertruda, będąca przełożoną klasztoru cysterek w podwrocławskiej Trzebnicy.

– Zakon trzebnicki był pierwszym na ziemi polskiej opactwem żeńskim i pierwszym klasztorem na Śląsku, ufundowanym przez Jadwigę. Skąd księżna sprowadziła zakonnice?

– W założeniu tego klasztoru pomógł księżnej śląskiej jej brat, Ekbert, przenosząc do Trzebnicy mniszki frankońskie, a wraz z nimi tamtejsze zwyczaje i sprzęty. Był on podobny to tego, w którym przebywała Jadwiga zanim została żoną Henryka.

– Kronikarze podają, że książęca para ufundowała wiele klasztorów i kościołów cystersów, dominikanów i franciszkanów, kaplic grodowych, szpitali, hospicjów.

– Co ważne, książęca para nie fundowała ich wyłącznie we Wrocławiu i w pobliżu głównego miasta Śląska, lecz w całym księstwie. W 1217 roku na prośbę żony książę Henryk zbudował klasztor i kościół Świętego Bartłomieja w Nowogrodzie Bobrzańskim. Kroniki wspominają o dwóch opatach nowogrodzkich, Henryku i Burchardzie. Pod koniec XIII wieku książę Przemko przeniósł augustianów, jak się nazywa kanoników regularnych, z Nowogrodu do Żagania. Za namową Jadwigi Henryk ufundował w Krośnie klasztor franciszkanów, pierwszy w księstwie śląskim.

– Kronikarze również podają, że przyszła święta prowadziła surowy, wręcz ascetyczny tryb życia.

– To jest opinia z *Legendy*. Zresztą na początku XII wieku panował zwyczaj wspierania ubogich, dzielenia się dobytkiem, pomagania chorym, zgodnie z nakazami Kościoła i zakonów rozwijających się na ziemiach polskich.

– Panie Doktorze, ile prawdy jest w tym, że księżna śląska chodziła boso?

– Tak podają dziejopisarze. Chodziła boso, mimo że opat lubiąski jej tego zakazał. Nie tylko chodziła boso, ale i nosiła włosienicę, biczowała się, jadła nie to, co przygotowano w kuchni książęcej, a proste potrawy, tyle tylko, aby nie umrzeć. Będąc księżną, prowadziła pokutniczy tryb życia. Autor *Legendy* miał odwagę napisać, że za życia była świętą.

– W książce o Krośnie podaje Pan, że „w miarę dorastania dzieci Jadwiga zaczęła zwalczać swe uczucia do męża”.

– Do takiego wniosku doszedłem opierając się na tym, co autor *Legendy* napisał o księżnej. Ale też umieściłem zdanie, które miało

paść z jej ust krótko przed śmiercią: „Henryk był tym, który największą miłość moją posiadał”.

– Pierwsze dziecko urodziła około 1194 roku, siódme – mniej więcej czternaście lat później. Wtedy, mając trzydzieści kilka lat, wymogła na mężu rozdzielną małżeńską. Dlaczego?

– Nie znalazłem nigdzie prostej odpowiedzi na to pytanie. Może uznała, że skoro urodziła siedmioro dzieci, to spełniła swój obowiązek macierzyński nakazywany przez Kościół. Może resztę swego życia postanowiła spędzić na modlitwie i pomocy potrzebującym. Może wyżej ceniła wartości duchowe niż rodzinne. Treść tego ostatniego brzmi dziwnie, bo przecież obie wartości się nie wykluczają. W dokumencie kanonizacyjnym spotkałem takie zdanie: „Ponieważ stan małżeński uważała za dar nieba, żyła w nim bardzo świątobliwie”. W tamtym czasie przyjmowano, że stan małżeński i służba Bogu to dwie formy dochowania wierności. Część bardziej krytycznych badaczy uważa, że Jadwiga nie dotrzymała obietnicy ślubnej złożonej w kościele. Odchodząc od męża naruszyła zasadę nierozdzielności małżeństwa. Im była starsza, tym częściej uczestniczyła w życiu trzebnickich cysterek, ale nigdy nie złożyła ślubów zakonnych.

– Jak zachował się Henryk, gdy został odseparowany od łoża i wspólnego stołu?

– Przysięgę separacyjną złożyła w obecności biskupa wrocławskiego Wawrzyńca. Taki był zwyczaj wśród żon i matek panujących. Czy Jadwiga nie siadała do stołu razem z Henrykiem, tego nie wiem, ale pewnie tak było, skoro postanowiła resztę życia spędzić w opactwie trzebnickim. Kronikarze podają, że po 1209 roku książę śląski przestał zachodzić do sypialni żony i kazał sobie wystrzyc mniszą tonsurę oraz zapuścił brodę.

– Wrocław i Trzebnica to miejsca najbardziej związane z Jadwigą. Tam przebywała najczęściej, ale bywała też w innych zamkach.

– Poza Wrocławiem główne rezydencje pary książęcej były w Brzegu, Legnicy, Głogowie i Krośnie. Im Henryk miał więcej lat, tym częściej przebywał na zamku krośnieńskim. Natknąłem się na informację, że w 1241 roku, kiedy Henryk II Pobożny, syn Jadwigi

i Brodatego, poległ pod Legnicą w bitwie z Tatarami, jego matka razem z przełożoną trzebnickich cysterek przebywała na zamku w Krośnie. Zamek krośnieński był ulubioną rezydencją Henryka i Jadwigi.

– U Długosza czytamy, że „Henryk udał się do Krosna nad Odrą. Tam został złożony nagle niemocą. Powiadomiona o tym smutnym fakcie Jadwiga, mimo wielokrotnych prośb męża, nie pośpieszyła z odwiedzinami. Księżę po kilku dniach poczuł się gorzej. Z wielką pobożnością przyjął sakramenty i zmarł 19 marca 1238 roku na krośnieńskim zamku”. Dlaczego Jadwiga nie przybyła do umierającego męża?

– Chodziło o to, że legat papieski Wilhelm z Modeny po kolejnym konflikcie z biskupem wrocławskim obłożył Henryka Brodatego ekskomuniką. Jadwiga prawdopodobnie bała się naruszyć prawo kościelne albo stawiała je wyżej niż zasady świeckie. Trzeba wiedzieć, że surowe przepisy kanoniczne zabraniały kontaktu z wyklętym. Dwa miesiące po śmierci Brodatego papież Grzegorz IX skierował list do Henryka II Pobożnego, w którym domagał się od nowego władcy Śląska, aby naprawił krzywdy wyrządzone Kościołowi przez jego ojca.

– Jadwiga zmarła 14 października 1243 roku. Została pochowana w Trzebnicy obok swego męża. Jej kanonizacja odbyła się dwadzieścia cztery lata później.

– Kościół śląski wnikliwie przypatrywał się staraniom o kanonizację Stanisława ze Szczepanowa. Gdy biskup krakowski został zaliczony w poczet świętych i stał się patronem Małopolski, Śląsk zdecydował się wystąpić do papieża o wyniesienie Jadwigi na ołtarze. Przypuszcza się, że inicjatorką wniosku o uznanie Jadwigi za świętą była jej córka Gertruda, przełożona trzebnickich cysterek. Starania wspierał polski episkopat i legat papieski Anzelm. Proces kanonizacyjny rozpoczął się w 1262 roku, ale po dwóch latach, kiedy zmarł papież Urban IV, został wstrzymany. Jego następca wznowił go. Uroczystości w Trzebnicy odbyły się w sierpniu 1267 roku. Przewodniczył im wnuk świętej, „Władysław, arcybiskup Salzburga, mianowany legatem papieskim z tej samej okazji”.

– Orientuje się Pan, kiedy przypada kościelna uroczystość świętej Jadwigi?

– Od 1680 roku Jadwiga jest świętą nie tylko Kościoła śląskiego, lecz i powszechnego. Jej uroczystość przypada 16 października.

– Święta Jadwiga jest patronką świątyń, ale i miejsc świeckich, prawda?

– W Trzebnicy istnieje Bractwo Świętej Jadwigi. Na Środkowym Nadodrzu poza kościołami i kaplicami pod wezwaniem Świętej Jadwigi jest kilka miejsc nazwanych jej imieniem, między innymi główny plac w Krośnie, ulice w Głogowie, Pszczewie i Zielonej Górze.

– Pięknie dziękuję za rozmowę.

Lubuscy święci

Maksymilian Maria Kolbe (1834-1941)

Był franciszkaninem. 19 września 1939 r. wraz z grupą zakonników został aresztowany przez Niemców i przewieziony do obozu jenieckiego Stalag III B Fürstenberg w Amtitz (dziś Gębice) koło Gubina. Przebywał tam trzy miesiące. Powtórnie był aresztowany w 1941 r. i więziony w obozie koncentracyjnym Auschwitz, gdzie dobrowolnie wybrał śmierć głodową za skazanego współwięźnia. Był beatyfikowany w 1971 i kanonizowany w 1982 r. Jest patronem kościoła parafialnego w Gorzowie i kościołów filialnych w Bieżycach koło Gubina, Kargowej, Nowym Lubuszu koło Słubic, Szczawnie koło Dąbia, Wilczeh koło Sławy, Zawiszach koło Świebodzina i Żaganiu.

Jan Paweł II (1920-2005)

Jego proces beatyfikacyjny rozpoczął się zaraz po śmierci. W 2011 r. został wyniesiony na ołtarze. Jako ordynariusz krakowski Karol Wojtyła uczestniczył w zebraniach Konferencji Episkopatu Polski w Gościkowie-Paradyżu. Będąc papieżem, 29 maja 1997 r. odbył pielgrzymkę do Gorzowa, gdzie spotkał się z ok. 400 tys. wiernych z diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Jako biskup krakowski i uczony w lipcu 1960 r. płynął kajakiem po Obrze, ze Sławy do Skwierzyny. Pływał też po Drawie, gdzie dziś jest szlak kajakowy im. Kardynała Karola Wojtyły. W wielu miastach regionu stoją jego pomniki. Imię Jana Pawła II nosi Zachodnia Wyższa Szkoła Handlu i Finansów Międzynarodowych w Zielonej Górze oraz wiele szkół niższego szczebla. Jest także patronem ulic i placów w większości miast lubuskich.

Wilhelm Pluta (1910-1986)

Jego proces beatyfikacyjny trwa od 2001 r. Sakrę biskupią otrzymał w 1958 r., kiedy został rządcą ordynariatu gorzowskiego. Potem był administratorem prowincji kościelnej podległym bezpośrednio Stolicy Apostolskiej, a w 1972 r. został ordynariuszem diecezji gorzowskiej. Jego grób znajduje się w katedrze gorzowskiej. Pomnik stoi przy katedrze w Gorzowie, ulice są m.in. w Gorzowie i Zielonej Górze. W Gorzowie istnieje Instytut im. Biskupa Wilhelma Pluty.

Pierwsi Męczennicy Polski zwani Braćmi Międzyrzeckimi są patronami diecezji zielonogórsko-gorzowskiej oraz kościołów parafialnych w Gorzowie i Międzyrzeczu.

Święty Benedykt z Pereum

Był Włochem z zamożnej rodziny. Urodził się około 970-975 r. Życie zakonne rozpoczął w opactwie Monte Cassino w 999 r. Następnie wraz z św. Romualdem, od którego początek biorą kammeduli, osiadł w pustelni w Pereum. Na ziemi polskie przybył w 1001 lub na początku 1002 r. Był opatem w międzyrzeckim klasztorze benedyktynów. Zginął w nocy z 10 na 11 listopada 1003 r.

Święty Jan

Wenecjanin z możnego rodu. Urodził się około 940 r. Najpierw przebywał w klasztorze benedyktyńskim w Cuxa koło Perpignan we Francji. Potem osiadł w pustelni Pereum. W 1001 lub 1002 r. wraz z Benedyktem udał się do Międzyrzecza. Na wskutek ospy miał zeszpeconą twarz i uszkodzone jedno oko. Zginął w nocy z 10 na 11 listopada 1003 r.

Święty Izaak i święty Mateusz

Rodzeni bracia, którzy w 1002 r. przyłączyli się do włoskich zakonników w Polsce. Prawdopodobnie pochodzili z możnych rodzin. Ich dwie siostry były mniszkami. Zginęli w międzyrzeckim klasztorze benedyktynów nocy z 10 na 11 listopada 1003 r. W chwili zabójstwa nie złożyli jeszcze ślubów zakonnych.

Święty Krystyn (Chrystian, Kryspin)

Chłopiec z podklasztornej wsi, urodzony około 980 r. Nie wiadomo, czy był przeznaczony na służbę u benedyktynów czy sam się zgłosił do eremu w Międzyrzeczu. W klasztorze robił to, co należy do obowiązków kucharza. Zginął w nocy z 10 na 11 listopada 1003 r.



*Klemens Felchnerowski – autoportret wykonany tuszem w 1952 r. –
w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej*

Klemens Felchnerowski

Urodził się 4 listopada 1928 w Toruniu, zmarł 27 stycznia 1980 r. w Zielonej Górze. Studiował historię sztuki na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika i na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. W 1953 r. został wojewódzkim konserwatorem zabytków w Zielonej Górze. Rok później współtworzył delegaturę Związku Polskich Artystów Plastyków. W latach 1960-1965 jako dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej rozbudował je i nadał mu nowoczesny kształt. Muzeum zgromadziło 1566 jego prac, głównie grafik, obrazów olejnych i akrylowych.

BEZIMIENNY MISTRZ

**Rozmowa z Klemensem Felchnerowskim, konserwatorem
zabytków i artystą malarzem**

– Przejrzałem chyba wszystko, co historycy sztuki napisali na temat twórczości człowieka, który do dziejów naszego regionu przeszedł jako Mistrz ołtarza z Gościszowic. Nigdzie nie natrafiłem nie tylko na jego życiorys, ale nawet na imię i nazwisko. Czy Pan je zna?

– Nie znam.

– A kto zna?

– Wielu badaczy próbowało, na razie nikomu nie udało się ustalić personaliów tego twórcy. Występuje jako Mistrz ołtarza z Gościszowic.

– Dlaczego nie można ustalić jego danych?

– Wtedy, kiedy żył, czyli w średniowieczu, sztuka była anonimowa. Niewiele nazwisk przetrwało do naszych czasów. Człowiek, który budował świątynie, malował obrazy sakralne, rzeźbił posąжки świętych, robił to na chwałę Bożą. Wierzył, że jego zasługi zostaną policzone w niebie. Identycznie sprawa miała się z zakonnikami, którzy w klasztornych skryptoriach przepisywali księgi i je zdobili. Opaci przekonywali mnichów, że nie po to kopiują pergaminy, aby zajmować czas, lecz aby „uprawiać owoce ducha i wypiekać niebiański chleb duszy”.

– Mistrz ołtarza z Gościszowic był mężczyzną czy kobietą?
– W sprawie jego płci nie może być wątpliwości. To był, jak się czasem mówi, pełnokrwisty mężczyzna.

– Skąd ta pewność?

– Tworzył u schyłku średniowiecza. Ówczesnej kobiecie nie było wolno parać się rzemiosłem i sztuką. Bibliści mówią o milczącej obecności. Jej obowiązkiem, nakazem wynikającym z Pisma Świętego, była poniekąd służba swemu mężczyźnie. Musiała więc gotować strawę, dbać o dom, rodzić dzieci i je wychowywać. Na wsi dochodziły obowiązki związane z chowem zwierząt, zbiorem zbóż i warzyw. Zajmowanie się rzemiosłem przez kobietę mogło być potraktowane jako złamanie obyczajów, oszustwo, wręcz przestępstwo karane lochem. Chociaż pewnie niektóre kobiety w ukryciu lepiły garnki, robiły łapcie z łyka i nawet, jak pisze Sienkiewicz w *Krzyżakach*, polowały na bobry czy niedźwiedzie.

– Przypomniał Pan Jagienkę, córkę Zycha i Małgorzaty ze Zgorzelic, najstarszą wśród liczego rodzeństwa, którą po śmierci matki wychowywał ojciec. Z jednej strony dziewczyna była zdana na siebie, z drugiej za wszelką cenę chciała dorównać mężczyznom.

– A przy tym była niewiarygodnie kobieca. Sienkiewicz pisał, że „od Jagienki bił po prostu blask zdrowia, młodości i siły. Stary opat nie próżno mawiał o niej, że wygląda jak na wpół kalina, wpół sosienka. Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona, i piersi jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki bystro patrzące”. To tylko powieść ku pokrzepieniu serc. Rzeczywistość średniowieczna zabraniała kobietom takiej działalności, jaką przedstawił Sienkiewicz.

– Mój kolega po piórze Zbigniew Kozłowski w zbiorze *Legendy lubuskie II* podaje, że Mistrzem ołtarza z Gościszowic była kobieta o imieniu Hanna. Urodziła się na krakowskim Kleparzu, w chłopięcym przebraniu terminowała najpierw w warsztacie Wita Stwosza, potem u Pawła na spiskiej Lewoczy.

– Gratuluję panu Kozłowskiemu literackiego pomysłu na legendę z mistrzem w spodnicy.

– Gdy Mirko, u którego Hanna i jej brat Janasz wynajęli kwatery w Gościszowicach, aby rzeźbić ołtarz, podzielił się swoim spostrzeżeniem z proboszczem, ksiądz nie ukrywał, że „prawdziwym twórcą jest Hanna. To ona potrafi tak pięknie rzeźbić i to dzięki niej powstanie ten ołtarz na Bożą chwałę. Czyż mam wzbraniać stworzenia wielkiego dla parafii dzieła tylko dlatego, że mistrz jest kobietą? Czyż to nie jest jej wkład w służbę Panu? A że robi to najlepiej wykorzystując swój dar i zdolności? O, nie ma w tym nic złego”. Identycznie zachował się król Zygmunta Jagiellończyk, gdy Mirko postawił Hannę przed książęcym sądem w Żaganiu.

– To znowu tylko literatura, ale bardzo pożyteczna. Chylę głowę przed tymi mistrzami i wyrobnikami pióra, jak wspomniany Zbigniew Kozłowski, którzy wydarzenia regionalne opowiadają pięknymi słowami i podnoszą do takiej rangi, na jaką one zasługują. Postępują wbrew porzekadłu: cudze chwalicie, swego nie znacie. Przecież ziemia nad środkową Odrą nigdy nie była kulturową pustynią. Żyli tu pomysłowi i pracowici ludzie, budowali miasta, wznosili świątynie, zamki, pałace. Może na obrzeżach Śląska, Wielkopolski i Łużyc działo się mniej niż w Poznaniu czy Wrocławiu. Szkoda, że do naszych czasów nie zachowały się wszystkie przystanki historii w swojej pierwotnej okazałości. Chwała Bogu, że przetrwały arcydzieła Mistrza ołtarza z Gościszowic.

– **Z Gościszowic czy Gościeszowic? Z „e” w środku?**

– W historii sztuki występuje Mistrz ołtarza z Gościszowic. Chodzi o miejscowość w gminie Niegosławice, niedaleko Szprotawy, w powiecie żagańskim, gdzie powstał najwcześniejszy polityk przypisywany temu twórcy.

– **Może jednak chodzi o inną miejscowość?**

– Dokładnie sprawdziłem spisy wsi i miasteczek. W Polsce są tylko jedno Gościeszowice, te w pobliżu Szprotawy, w dawnym księstwie żagańskim. I mimo że na żadnej mapie nie znajdzie pan Gościszowic, właśnie ta nazwa wniknęła do historii sztuki. Stało się tak po wykonaniu przez Mistrza jego pierwszego dzieła. Był nim ołtarz Katarzyny Aleksandryjskiej w kościele gościszowickim, datowany

na lata 1499-1505. Badacze prac Mistrza nie zastanawiają się, czy Gościszowice to Gościeszowice w niegostawickiej gminie.

– Pozostaniemy więc przy nazwie miejscowości, której nie było i nie ma na mapie. Jak to się stało, że Mistrz zaczął swoją działalność od wyrzeźbienia polipptyku w Gościszowicach?

– Prawdopodobnie gościszowicki proboszcz spytał dziekana w Szprotawie, czy zna kogoś, kto wykona ołtarz w miejscowym kościele. Dzekan powtórzył to pytanie w kurii archidiecezji wrocławskiej, na której terytorium przez siedemset lat leżała parafia gościszowicka. Dopiero w 1972 roku dekanat szprotawski znalazł się w diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, wtedy jeszcze gorzowskiej. Historycy przypuszczają, że pierwszy warsztat Mistrz z Gościszowic założył we Wrocławiu i tworzył na zamówienie okolicznych parafii. Niestety, o jego wcześniejszej aktywności nic nie wiadomo.

– Czy to oznacza, że Mistrz miał swój warsztat w Gościszowicach?

– Na pewno działał w księstwie żagańskim. Jego warsztat mógł się znajdować w Żaganiu przy klasztorze kanoników regularnych zakonu świętego Augustyna. Klasztor prawdopodobnie był głównym fundatorem ołtarzy w księstwie. Warsztat – był czymś na kształt fabryki ołtarzy i rzeźb.

– Powiedział Pan, że Mistrz zaczął swoją udokumentowaną działalność na Śląsku Lubuskim od wykonania ołtarza w gościszowickiej świątyni. Babimojscy parafianie utrzymują, że pierwszy ołtarz, który powstał w jego warsztacie, po dziś dzień stoi w ich kościele Świętego Wawrzyńca.

– Część badaczy przypisuje ołtarz babimojski Mistrzowi z Gościszowic. Ich zdaniem, ten polipptyk powstał w 1499 roku, czyli wcześniej niż ołtarz w kościele gościszowickim. Wtedy w Babimoście, w miejscu, gdzie dziś nad dachami miasteczka góruje murowany kościół Świętego Wawrzyńca, stała drewniana świątynia. Kościół budowano po pożarze w latach 1734-1740 i prawdopodobnie wtedy trafił tam ołtarz przypisywany Mistrzowi z Gościszowic. To znaczy, przeniesiono go z kościoła parafialnego w Sulechowie, gdzie był przez z górą dwieście lat. Mogło się tak stać podczas renowacji wnętrza pod

koniec XVIII wieku. W tamtym czasie sprzedaż części wyposażenia kościoła nie była niczym wyjątkowym.

– Zatem nie gościszowicki, lecz babimojski (sulechowski) ołtarz był pierwszym dziełem Mistrza z Gościszowic.

– W tej sprawie nie zabiorę zdecydowanego głosu, aby nie mącić w głowach czytelników. Na razie historykom sztuki nie udało się potwierdzić wcześniejszych prac Mistrza. Nie wiadomo też, gdzie się kształcił, chociaż bez trudu da się stwierdzić, że był pod wpływem krakowskiego arcydzieła Wita Stwosza. Stwosz też miał swoich nauczycieli i uczniów. Badacze doszukują się podobieństwa jego rzeźb w kościele Mariackim do dzieł powstałych w średniowiecznym Strasburgu, Brukseli, Norymberdze.

– Może Mistrz z Gościszowic był uczniem Stwosza?

– Nie można wykluczyć, że część młodzieńczego życia spędził w warsztacie Stwosza lub jego współpracownika albo spotkał się z jego pracami we Wrocławiu. W literaturze natknąłem się na informację, że zanim nasz rzeźbiarz znalazł się we Wrocławiu, terminował w Norymberdze. Na jego prace mogły oddziaływać rzeźby południowoniemieckie, jak i śląskie z otoczenia tworzącego we Wrocławiu Jakuba Beinharta. W częściach malowanych ołtarzy historycy dopatrują się wpływu norymberżan Michaela Wolgemuta i Hansa Pleydenwurffa. Ten ostatni miał pracownię we Wrocławiu i zdobił śląskie kościoły.

– Przygotowując się do rozmowy z Panem przeczytałem, że w średniowieczu istniały wzorniki kościelne, obowiązujące rzeźbiarzy i malarzy.

– Istniały wręcz nakazy, których musieli się trzymać ówcześni twórcy. Dlatego poliptryki powstające w warsztacie Mistrza z Gościszowic były do siebie podobne. Najczęściej składały się z trzech segmentów. Centralną, rzeźbioną część tryptyku wypełniała trójsobowa grupa, czyli Maryja z Dzieciątkiem i dwie postacie biblijne, na skrzydłach malowano wizerunki świętych. Średniowieczny ołtarz musiał być nasycony intensywnymi barwami. Dominowały kolory czerwone, niebieskie, zielone i żółte (złote). Barwy biała i czerwona były zarezerwowane dla Jezusa, a niebieska jako szlachetna dla Jego

Matki. Święci wyróżniali się bogactwem szat, ich głowy otaczały złote aureole. Co ważne i ciekawe zarazem, przedstawiane przedmioty nie pochodziły z czasów biblijnych, lecz były średniowieczne. Poliptyk zdobiły rośliny, na przykład, fiołki symbolizowały mękę, konwalie cierpienie i zbawienie. Kościołowi i twórcom chodziło o to, aby otwarcie skrzydeł ołtarza było wydarzeniem i oznaczało przeżywanie uroczystości przez wiernych.

– Badaczka prac Mistrza z Gościszowic, profesor Uniwersytetu Warszawskiego Grażyna Jurkowlaniec, twierdzi, że powtarzał on „jeden kobiecy i jeden męski typ fizjonomiczny, pozbawiony wyrazu psychicznego, różnicowany tylko nakryciem głowy, a w wypadku mężczyzn – zarostem i fryzurą”.

– Tak to wygląda po drobiazgowej analizie. Ja, podziwiając poliptyki w Babimoście, Gościszowicach i Mycielinie znajdowałem bardzo dużo podobieństw, ale i niemało różnic. Może to świadczyć o tym, że nie wszystkie segmenty wykonywał ten sam człowiek. Były one zrobione według tego samego lub podobnego wzoru, ale różniły się detalami, często trudnymi do zauważenia. Historycy sztuki wytykają naszemu Mistrzowi brak rozbudowanej głębi narracyjnej w scenach przestrzennych. Gdy występuje więcej postaci, są spiętrzone, ustawione w jednej linii. Za to fałdy szat są bogate, tworzą malownicze, taneczne układy.

– Aż się wierzyć nie chce, że jeden człowiek tyle potrafił.

– Dotąd wyraźnie nie podkreśliłem, że rozmawiamy o warsztacie, czyli o miejscu, pracowni, w której powstawały rzeźby i obrazy. Nad całością czuwał Mistrz, ale poszczególne elementy i malunki wykonywali cierpliwie jego współpracownicy i uczniowie.

– Z jakiego drewna powstawały ołtarze?

– Od wieków w naszym klimacie najlepsze do rzeźbienia jest drewno lipowe. Dobrze wysuszone, nie pęka i przede wszystkim jest miękkie, z niewielką ilością sęków, a więc łatwo poddaje się dłutowi. Historycy sztuki przyjmują, że o umiejętnościach rzeźbiarza świadczą ręce, najtrudniejsza część ciała człowieka do ukształtowania w drewnie, a te w pracach pochodzących z warsztatu Mistrza z Gościszowic są doskonałe. To mistrzostwo równe Stwoszowi.

– Posążki wyglądają tak, jakby były zrobione nie z drewna lipowego, lecz z porcelany.

– Po wyrzeźbieniu postaci artysta gruntował drewno za pomocą kredy i gipsu. Potem szlifował je tak długo, aż uzyskał gładką powierzchnię do malowania czy nakładania złocen lub srebrzeń. Trwało to tygodniami, ale ówczesni ludzie odznacжали się benedyktyńską cierpliwością. Wykańczaniem rzeźb prawdopodobnie zajmowali się uczniowie.

– Odnoszę wrażenie, że w tym, co powstawało w warsztacie Mistrza z Gościszowic było więcej rzemiosła niż sztuki.

– Dzisiejsi ludzie traktują to, co jest w starych świątyniach z ogromnym szacunkiem, jako dzieła sztuki. Prawda, często są to unikatowe prace, perełki sakralne, częściej jednak pamiątki dawnego rzemiosła. Kościół jako Dom Boży musiał być wyposażony w przedmioty niezbędne podczas sprawowania liturgii, mam na myśli, na przykład, kielichy, monstrancje, ampułki, dzwonki, krzyże, kupowane przez księży poza świątynią. Musiał mieć ustawiony w centralnej nawie ołtarz główny, jeśli było miejsce z boku to i ołtarze dodatkowe, ambonę, ławki z klęcznikami dla wiernych. Meble robili miejscowi rzemieślnicy lub, w przypadku bogatszych parafii, proboszczowie zamawiali je w wyspecjalizowanych warsztatach. Tylko od talentu stolarza zależał ich wygląd. Najwięcej czasu zajmowało wykonanie ołtarza, który jako stół sprawowania Wieczery Pańskiej musiał być specjalnie udekorowany, a w średniowieczu zazwyczaj wieloskrzydłowy. Z biegiem lat wzorce sakralne się zmieniały, więc wyposażenie świątyń wymieniano, a dotychczasowe sprzedawano biedniejszym parafiom. Prawdopodobnie tą drogą sulechowski ołtarz trafił do kościoła w Babimście.

– Jak długo Mistrz z Gościszowic pracował na Śląsku Lubuskim?

– Poliptyk w Gościszowicach zaczął rzeźbić w 1499 roku. Ostatni ołtarz, w kościele w Mycielinie koło Nowego Miasteczka, jest datowany na 1520 rok. Czyli pracował tu przez dwadzieścia jeden lat, ale z przerwami. W międzyczasie bowiem stworzył wspaniałe poliptyki w bazylice kaliskiej i farze kościańskiej. Nie ma jasności, czy jego

prace znajdujące się w Kaliszu i Kościanie powstały na zamówienie parafii. Badacze podają trzy daty powstania retabulum kaliskiego.

– Dlaczego tak trudno ustalić datę powstania kaliskiego polptyku?

– Wedle mnie ten ołtarz nie został specjalnie zrobiony dla kaliskiej bazyliki, a znalazł się tam po 1539 roku, kiedy protestanci sprzedawali polptyki z żagańskich kościołów w Wielkopolsce.

– Gdzie, poza już wymienionymi miejscowościami, pracował Mistrz?

– Na Śląsku Lubuskim, jak pan powtórzył za Andrzejem Toczewskim, warsztat Mistrza z Gościszowic wykonał retabula ołtarzowe, poza już wymienionymi, dla kościołów w Chichach, Chotkowie, Dzikowicach, Gołaszynie, Koninie Żagańskim, Leśniowie Wielkim, Wichowie, Żaganu.

– Tam nadal można podziwiać prace naszego Mistrza?

– W zasadzie tak, chociaż nie wszystkie rzeźby są na swoich pierwotnych miejscach. *Maria z Dzieciątkiem* i *Święta Barbara*, stanowiące część ołtarza w konińskim kościele, znajdują się w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. *Opłakiwanie* i malowane kwatery ruchomych skrzydeł ołtarza z Dzikowic przechowuje Muzeum Narodowe w Poznaniu. Rzeźba *Matki Bożej Karmiącej* jest w Muzeum Narodowym we Wrocławiu.

– Od końca XVI wieku protestanci przejmowali kościoły katolickie na Środkowym Nadodrzu. W połowie XVII wieku szwedzcy luteranie spustoszyli miasteczka, spalili wioski i wymordowali mieszkańców stawiających opór. W XVIII wieku prawosławni Rosjanie wojowali z armią pruską pod Sarbinowem, Kijami, Kunowicami. W XX wieku czerwonoarmiści szli tędy na Berlin, równając z ziemią Głogów i Kostrzyn, zrzucając bomby na Krosno i Gubin. Amerykanie zbombardowali Żary. Lata powojenne nie były łaskawe dla Kościoła, a mimo to arcydzieła Mistrza ołtarza z Gościszowic przetrwały do naszych czasów.

– To niezwykle ciekawe spostrzeżenie. Trzeba dodać do niego, że większość świątyń katolickich na Środkowym Nadodrzu, kiedy to terytorium należało do czeskich Habsburgów i pruskich Hohenzollernów, przejęli protestanci. Ich religia otacza szacunkiem Bożą Rodzicielkę, ale nie uprawia kultu Maryjnego. Mogli usunąć wizerunki Matki Jezusa z użytkowanych przez siebie kościołów. Nie usunęli. Zwracam uwagę na jeszcze jedno: podstawowym budulcem większości świątyń na Śląsku Lubuskim były miejscowe kamienie i cegły, czyli materiały niepalne. To sprawiło, iż mimo często wybuchających pożarów, kościoły przetrwały wraz z wyposażeniem.

– Czy poza Mistrzem z Gościszowic byli inni twórcy tej samej rangi, których dzieła pozostały w kościołach Środkowego Nadodrza?

– W starszych kościołach na Śląsku Lubuskim zachowało się dużo arcydzieł gotyckich, na przykład, w Gorzupi Dolnej, Lubanicach, Lubięcinie, Stanowie. Ich twórcy są anonimowi, a próby przypisania prac znanym z imienia i nazwiska artystom na razie się nie powiodły.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuskie perełki sakralne

Rzeźba Łukasza Cranacha Starszego do 1945 r. znajdowała się w farze Mariackiej w Kostrzynie nad Odrą. Tam też było malowidło Łukasza Cranacha Młodszego. Co się z nimi stało podczas bombardowania miasta, można się jedynie domyślać. W tym samym czasie została zniszczona fara w Gubinie i uszkodzona kolegiata w Żarach. Bomby spadły na niemal każdą świątynię w Głogowie, wszystkie doczekały się odbudowy. W gotyckiej katedrze w Gorzowie uwagę wiernych zwracają m.in. portale i okna, fragmenty starej polichromii z XV-wiecznym orłem, tryptyk z XV w., Pieta z początku XVI w. Pochodzącą z XIII w. konkatedrę w Zielonej Górze wyróżniają gotyckie rzeźby przedstawiające św. Jadwigę i św. Annę Samotrzecią, barokowy chór z wizerunkami świętych, renesansowa krata w wejściu do kaplicy Oliwnej. W 2009 r. z Rosji do kolegiaty głogowskiej powrócił *Święty Hieronim pokutujący*, obraz z 1525 r. utrzymany w szkole Łukasza Cranacha.

Interesujące są kościoły w Gościkowie-Paradyżu, Koźuchowie, Żarach, Ośnie Lubuskim, Miocinie Dolnym, Lubanicach, Międzyrzecz, Krośnic Odrzańskim, Karszynie, Babimoście...

Niektóre miejsca leżą poza granicami województwa lubuskiego, ale na terytorium diecezji zielonogórsko-gorzowskiej.

Chlastawa – wieś w gminie Zbąszynek, w powiecie świebodzińskim. Kościół pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny powstał w 1637 r. jako tzw. kościół graniczny, przeznaczony m.in. dla prześladowanych protestantów ze Śląska. Charakterystyczne jest wsparcie dachu na jednym rzeźbionym filarze. Na początku XX w. konstrukcję zrębową wymieniono na wypełnioną gliną i cegłą. Od zewnątrz kościół został oszalowany deskami modrzewiowymi. Dach pokrywa gont. Wewnątrz zachowały się polichromie z 1651 r. z motywami roślinnymi. Na uwagę zasługują rokokowe organy, malowana ambona i spiżowy dzwon. Obok stoi drewniana dzwonnica, będąca dawniej bramą na cmentarz.

Grodowiec – wieś w gminie Grębocice, w powiecie polkowickim. Blisko metrowa figura Matki Bożej jest umiejscowiona nad tabernakulum w sanktuarium pw. Świętego Jana Chrzciciela. Najpierw w miejscowym kościele znajdował się obraz Madonny, uznawany przez katolików za cudowny. Podczas pożaru

malowidło uległo spaleniu wraz ze świątynią, ale zachowała się figura mająca postać modlącego się dziecka. W 1660 r. kościół został odbudowany, a przy drodze prowadzącej do niego powstało 15 kaplic pielgrzymkowych. Od tamtego czasu trwa kult Matki Bożej Grodowieckiej w figurze cudownie ocalonej.

Jakubów – wieś w gminie Radwanice, w powiecie polkowskim

Prawdopodobnie już w 991 r. stała tu drewniana świątynia. W pobliżu wsi znajduje się znane od XII wieku cudowne źródło świętego Jakuba, do którego udają się pątnicy. W 1376 r. powstał kościół podległy kanonii głogowskiej, przejęty przez protestantów w 1571. Kościół katolicki na tych terenach odrodził się dopiero w połowie XIX w. W 2008 r. do świątyni sprowadzono relikwie świętego Jakuba Starszego Apostoła z Rzymu. Z sanktuarium prowadzą szlaki pielgrzymkowe do grobu św. Jakuba w hiszpańskim Santiago de Compostela. Lubuska droga wiedzie przez Głogów, Leszno, Gniezno, Sulęcín, Słubice.

Kłępsk – wieś w gminie Sulechów, w powiecie zielonogórskim

Kościół filialny pw. Najświętszej Marii Panny jest uważany za jeden z najważniejszych zabytków sakralnych w centralnej Europie. Powstał w XIV-XV w., przebudowany około 1581 r. Wschodnia ściana jest drewniana, pozostałe szachulcowe, zakrycia murowana. Dzwonnica, pokryta gontem, też jest z drewna. Wewnątrz znajduje się wiele bogatych i malowniczych zdobień. Ołtarz pochodzi z warsztatu Mistrza z Gościszowic. Kościół jest uważany za skarb renesansowej architektury drewnianej.

Otyń – wieś gminna w powiecie nowosolskim

W 1656 r. jezuici otyńscy przenieśli posążek Madonny z Klenicy do kaplicy zakonnej. Nie ma jasności co do tego, kiedy figura znalazła się w świątyni parafialnej. Ocalała podczas pożaru klasztoru zamkowego statua Matki Boskiej Klenickiej łaskami słynącej stoi w ołtarzu kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, będącego Jej sanktuarium. Ponownie koronowana w 2006 r., bywa też nazywana Matką Bożą Otyńską albo Królową Pokoju. Kult Matki Bożej rozwija się a święto odpustowe ku Jej czci przypada 31 maja.

Rokitno – wieś w gminie Przytoczna, w powiecie międzyrzeckim

W bazylice mniejszej znajduje się cudowny Obraz Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej, wykonany na desce lipowej

prawdopodobnie w XIV w. Umieszczony w ołtarzu kościelnym ma wymiary 40 na 27 centymetrów (pierwotnie był większy: 45 na 60 centymetrów). W 1670 r. komisja teologiczna uznała obraz za cudowny podając, że „jaśniej nie tylko udzielonymi pomocami i nadzwyczajnymi łaskami, lecz i cudami”. Rok później król Michał Korybut Wiśniowiecki zabrał obraz ze sobą na rokowania pokojowe z Kozakami pod Lublinem. Tam też rycerze ufundowali białego orła w koronie z kości słoniowej, który został przypięty do srebrnej sukienki, ofiarowanej przez króla jako dowód wdzięczności za dar zgody. Po powrocie do Rokitna gromadził katolików mieszkających w Niemczech. 18 czerwca 1989 r. obraz został koronowany.

Żagań

Spośród mnogości zabytków sakralnych w tym mieście na szczególną uwagę zasługuje kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w dawnym klasztorze augustiańskim. Jego początki sięgają 1272 r. W XIV w. zakonnicy wzniesli w tym miejscu trzynawową bazylikę. Świątynia była wielokrotnie przebudowywana. Po pożarze w 1730 r. wnętrze otrzymało bogaty wystrój sztukatorsko-rzeźbiarski. Na uwagę zasługują stalle z 1695 r., sarkofag księcia Henryka IV, ołtarz z XIV w.

Przy kościele pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny znajduje się kaplica Grobu Bożego. Budowla jest wierną kopią kaplicy Grobu Chrystusowego w Jerozolimie. Została zbudowana po 1598 r. i jest jedyną taką kopią w Polsce.



*Andreas Gryphius – zdjęcie ze strony
pl.wikipedia.org/wiki/Andreas_Gryphius*

Andreas Gryphius

Urodził się 2 października 1616 w Głogowie, tam zmarł 16 lipca 1664 r. Chodził do szkół m.in. w Głogowie, Wschowie, Gdańsku. Studiował w niderlandzkiej Lejdzie. W 1647 r. wrócił do Głogowa i objął urząd syndyka stanów. Uważany za jednego z największych poetów niemieckiego baroku, debiutował w 1634 r. Jest autorem czterech dramatów, m.in. *Katharina von Georgien* i *Ermordete Majestät oder Carolus Stuardus* oraz trzech komedii. Napisał śpiewogrę *Piastus* – o wyborze Piasta na polskiego króla. Od 1957 r. Künstlergilde (pol. bractwo artystyczne) w Esslingen przyznaje nagrodę literacką jego imienia.

AKADEMIA BYTOMSKA

**Rozmowa z Andreasem Gryphiusem,
poetą i dramaturgiem**

– Dlaczego nie kształcił się Pan w bytomskim Schönaichianum-Carolatheum, mimo że ten sławny instytut protestancki był bardzo blisko Głogowa?

– Pewnie gdybym przyszedł na świat kilkanaście lat wcześniej, byłbym scholarem tej uczelni. Urodziłem się w roku 1616, kiedy zaczął się budzący szacunek niebywały rozkwit bytomskiego Schönaichianum. Poziomem nauczania uczelnia dorównywała najlepszym instytutom w środkowej Europie. Dopiero kiedy miałem dwanaście lat, mogłem kształcić się w murach Schönaichianum, ale wtedy kończyło ono swoją działalność akademicką. Na moje szczęście odrodziło się gimnazjum humanistyczne w Głogowie, mniej sławne niż uczelnia bytomska, za to dające staranne przygotowanie do życia pospolitego i twórczego.

– To coś niebywałego, aby w niewielkim Bytomiu Odrzańskim, oddalonym od centrów kulturowych i religijnych, powstała uczelnia dorównująca poziomem kształcenia uniwersytetom.

– Z jednej strony było to coś godnego pozazdroszczenia, tym bardziej że w książęcym Głogowie, mającym wówczas tylko o jedenaście tysięcy dusz mniej niż biskupi Wrocław (w Głogowie było 25 tysięcy mieszkańców, we Wrocławiu – 36 tysięcy) kultura tkwiła

w uśpieniu. Z drugiej strony utworzenie Schönaichianum wpisywało się w klimat podobnych inicjatyw akademickich w środkowej Europie. Kilka lat wcześniej bowiem powstała akademicka w zamieszkałym przez dwa tysiące osób Zamościu. Tyle samo mieszkańców miała środkowoniemiecka Wittenberga, gdzie od wieków istniał głośny i znany uniwersytet. Niewiele większy od Wittenbergi był Heidelberg w zachodniej części Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, gdzie miejscowa Alma Mater stała się wiodącym ośrodkiem kształcenia kalwińskiego.

– Jak doszło do tego, że w nadodrzańskim Bytomiu powstało Schönaichianum?

– Za twórcę uczelni uważa się Georga II Schönaicha, najstarszego syna Johanna V i Anny Borge, wedle jednych skrybów urodzonego w Osince na ziemi żarskiej, wedle drugich w czeskiej Pradze. Pewnie jednak nie powstałby ośrodek naukowo-dydaktyczny w Bytomiu, gdyby nie Fabian Schönaich, syn Georga I, szprotawskiego starosty i dworzanina Zygmunta Jagiellończyka. Onże zbudował podstawy państwa stanowego, przekształconego w księstwo siedlisko-bytomskie. Jak podają kronikarze, młode lata Fabian spędził na dworze krakowskim Zygmunta I Starego, gdzie wyszkolił się w dyplomacji, przy tym był wybornym dowódcą wojskowym. Onże po śmierci starosty żarsko-trzebielskiego Krzysztofa Bibersteina otrzymał ten obfitujący w bogactwo urząd od wiedeńskich Habsburgów, wtedy władców terytorium śląskiego. Potem od Rechenbergów kupił Siedlisko i Bytom Odrzański z przyległościami, stając się najpotężniejszym panem tej ziemi.

– Co mają wspólnego dzieje Fabiana Schönaicha z utworzeniem uczelni bytomskiej?

– Powołutku, niecierpliwy skrybo. Bez tego, może i za długiego, wstępu trudno zrozumieć, dlaczego w niewielkim, jak zaznaczyłeś, Bytomiu powstało Schönaichianum, równe uniwersytetom.

– Przepraszam, Mistrzu.

– Przywołany na początku naszej rozmowy Georg II, bo to on będzie jej główną postacią, najpierw kształcił się w Kożuchowie, potem studiował w Wittenberdze, nie tylko przesiąkając naukami

Marcina Lutra, ale i przyjmując religię protestancką obrządku kalwińskiego. Wyobraź sobie, że, mimo iż Georg był protestantem, katolicki arcyksiążę Austrii i cesarz Niemiec Maciej I mianował go swoim kanclerzem. To dowodziło jego ogromnej wiedzy i niebywałego talentu, jakim go dobry Bóg obdarzył. Zanim do tego doszło, po powrocie z Wittenbergi Georg pomógł stryjowi Fabianowi w zabiegach o utworzenie majoratu siedlisko-bytomskiego, podniesionego do rangi państwa stanowego. Jemu to w 1591 roku bezdzietny Fabian przekazał swoje dziedzictwo.

– Jakim zarządcą cesarstwa i gospodarzem majoratu okazał się Georg Schönaich?

– Jako cesarski kanclerz musiał nieźle się spisywać, skoro, będąc wyznania kalwińskiego, przez wiele lat sprawował najwyższy urząd na dworze Macieja I. Jako władca siedlisko-bytomski nie miał sobie równych ani wcześniej, ani później. Mimo że był to niekorzystny czas dla gospodarki śląskiej, zapowiadający wojnę trzydziestoletnią, Georg z dnia na dzień kupował wsie i folwarki, stawiał młyny i kaszarnie, tartaki i smolarnie, zakładał browary i winiarnie. Zbudował pierwszy most na Odrze, skracając przeprawę przez rzekę z Siedliska do Bytomia. Z jego inicjatywy powstał cech żeglarzy i rybaków. Wzorem Zielonej Góry i Koźuchowa w Bytomiu rozwinęło się sukiennictwo i płóciennictwo. Onże rozpoczął przebudowę zamku w Siedlisku, który stał się jedną z największych warowni nad środkową Odrą. Niewiele wcześniej znaczący Bytom pod względem prestiżu gospodarczego przerósł niedaleki Głogów, a jego sława wykraczała daleko poza granice ziemi śląskiej.

– O jakiej sławie Pan mówi, Mistrzu?

– Już Fabian Schönaich uczynił Bytom swoją stałą siedzibą. Jego spadkobierca, bratanek Georg gruntownie przebudował miasto. Wokół rynku powstały ceglane kamienice o niepowtarzalnych walorach artystycznych. W centrum, na miejscu dawnego ratusza stanęła nowa budowla z wyniosłą wieżą, w której urzędował burmistrz z radą miejską. W mieście był szpital i dom dla ubogich. Dotychczasowy kościół Świętego Hieronima został poszerzony i nadbudowano mu wieżę. Najważniejszym jednak celem Georga było przekształcenie

miasta w ośrodek nauki i sztuki, przyciągający najbardziej światłych mężów i kształcący młodzież.

– Czy przed Fabianem i Georgiem nie było w Bytomiu żadnej szkoły?

– Była szkoła elementarna, tyle że stojąca na niskim poziomie. Zauważalne zmiany uwidoczniły się w 1599 roku, kiedy Georg Schönaich zaczął wcielać w życie swój pierwszy plan edukacyjny, zakładając szkołę łacińską. Było to o tyle łatwe, że od czasów jego stryja Fabiana miasto z katolickiego stało się luteraniskim, potem kalwińskim wedle zasady: czyja władza, tego religia. Ogromnym zwolennikiem kalwinizmu okazał się miejscowy pastor Peter Tietz, który najpierw Fabianowi, a po jego śmierci Georgowi pomagał w przebudowie miasta i tworzeniu szkół.

– Jakich szkół, Mistrzu?

– W 1605 roku dotychczasowa szkoła łacińska została przekształcona w gimnazjum akademickie. Nie był to jeszcze ten instytut, który wyśnił sobie fundator, który miał stać się zaczątkiem uczelni wyższej, gdzie zacy mogliby pobierać nauki filozoficzne, przyrodnicze, prawne. W tym miejscu muszę zaznaczyć, że fundator miał dużo szczęścia, a przy tym wsparcie przyjaciół kalwinów.

– O jakim szczęściu mowa?

– Cierpliwości, skrybo. Istniejące w moim Głogowie gimnazjum humanistyczne, pod koniec XVI wieku chyliło się ku upadkowi, a w mieście nie było nikogo, kto by je zreformował. W pobliżu miasta żyło wiele zamożnych rodów, które pragnęły kształcić swoich synów. Do Wrocławia czy Wittenbergi było daleko, Frankfurt dopiero zaznaczył naukową obecność na mapie uniwersytetów. Odważniejsi i bardziej zamożni ojcowie posyłali swoich synów do gimnazjów w Toruniu, Elblągu, Gdańsku, a te kształciły według koncepcji kalwińskiej.

– Czym charakteryzowała się koncepcja kalwińska?

– Musisz wiedzieć, skrybo, że jej twórca Jan Kalwin nie zajmował się szkolnictwem elementarnym. Jego interesowało nauczanie na wyższym poziomie. Domagał się, aby państwo finansowało szkolnictwo.

Wedle Kalwina Kościół jako instytucja odpowiedzialna za kształtowanie ducha, powinien kontrolować program nauczania, metody wychowawcze i pracę nauczycieli. Zarówno to, jak i powstające gimnazja protestanckie, zwane akademiami, zaczęły przyciągać młodzież. Kościół katolicki jako pierwszy zwrócił uwagę na te zmiany i reformował swoje szkolnictwo.

– Czy wedle tych zasad określonych przez Jana Kalwina powstałaademia w Bytomiu?

– Jak już powiedziałem, w 1605 roku bytomska szkoła elementarna została przekształcona w gimnazjum akademickie. Było one przeznaczone głównie dla młodzieży męskiej wyznania kalwińskiego. Jednak także wyznawcy innych religii, łącznie z mojżeszową, mogli się w nim kształcić. Na początku gimnazjum uczyło wedle koncepcji swojego fundatora, a może lepiej powiedzieć, wedle podpowiedzi pastora Tietza, który swoim talentem pedagogicznym wspierał Georga Schönaicha. Takiego programu nauczania, gdzie występował związek filozofii i nauk przyrodniczych, poza bytomską nie prowadziły inne podobne szkoły. Co ważne, w Schönaichianum, jak nazwano ten instytut, starano się oddzielić politykę od teologii, na pierwszym miejscu stawiając rozum.

– Ile lat trwała nauka w bytomskim gimnazjum?

– Jak powiedziałem, celem Georga Schönaicha było kształcenie młodzieży na poziomie podobnym do uniwersyteckiego. Droga do statusu takiej uczelni była wolna, przypominała żółwie wspinanie się po stopniach. Dopiero w 1616 roku powstało pięcioletnie pedagogium i trzyletnie gimnazjum. Pedagogium spełniało funkcję szkoły niższego stopnia. Przyjmowano do niego młodzież męską z biegłą znajomością sztuki pisania i czytania. Fundator postawił jeden warunek: kandydat na scholara musiał mieć co najmniej dwanaście lat i sprawnie mówić po niemiecku, który był językiem wykładowym. Absolwenci pedagogium mogli kontynuować studia w gimnazjum.

– Czego uczono w pedagogium?

– Przygotowywano tam do dalszego kształcenia. Dlatego dużo czasu poświęcano na naukę greki, łaciny i języka hebrajskiego. Uczono podstaw filozofii, teologii, matematyki. Starano się wpajać

scholarom praktyczną wiedzę z zakresu uprawy roli, chowu zwierząt i prowadzenia gospodarstwa. Pięcioletnią edukację kończył egzamin zwany logica. Absolwenci pedagogium uzyskiwali dyplomy bakałarzy.

– **Domyślał się, że najzdolniejsi kontynuowali edukację w gimnazjum akademickim.**

– Tak było, skrybo.

– **A czego tam uczono?**

– Swoim charakterem i programem gimnazjum niewiele się różniło od akademii kalwińskich. Mogło zresztą nosić nazwę akademii, jak to uczyniono w Rakowie, z którą Schönaichianum utrzymywało kontakty. Bytomscy żacy słuchali wykładów z teologii, medycyny, filozofii i etyki, prawa, literatury i poetyki, matematyki i astronomii. Uczyli się mowy francuskiej, angielskiej, włoskiej lub hiszpańskiej. Po trzech latach i zdaniu egzaminów otrzymywali dyplomy magistra sztuk wyzwolonych, równoważne z dyplomami nadawanymi przez cesarskie uniwersytety.

– **Czy rodzice żaków płacili za naukę?**

– Koszty nauczania i utrzymania synów swoich poddanych pokrywał fundator Georg Schönaich. Inni wnosili opłatę za wikt. Młodzież z rodzin niezamożnych, wykazująca wybitne zdolności mogła starać się o stypendia.

– **Skąd pochodziła studiująca młodzież?**

– Wśród około siedemdziesięciu scholarów najwięcej było młodych ludzi ze Śląska, co jest zrozumiałe, wszak z myślą o nich Georg Schönaich założył ten instytut. W mieście roiło się ponadto od przybyszów z Brandenburgii, Łużyc, Czech, Moraw, Polski, mniej z Węgier i Austrii.

– **O jednym nauczycielu Pan wspomniał, Mistrzu. Był nim miejscowy pastor Tietz. Kto jeszcze wykładał w Schönaichianum?**

– Tylu sławnych postaci ani wcześniej, ani później nie było w Bytomiu. Instytut rozporządzał siedmioma wykładowcami: pedagogiarzą, prorektorem, konrektorem, matematykiem, kantorem,

bakalarzem i audytorem oraz dziesięcioma nauczycielami. Byli to profesorowie: pobożności, obyczajów i teologii, prawa, fizyki i medycyny, historii, etyki, wymowy i moralności społecznej. Na czele Schönaichianum stał rektor wybierany przez wszystkich wykładowców. Jego kadencja trwała rok. Raz w tygodniu zbierał się senat pod przewodnictwem rektora. Oprócz takiego zarządu istniał konwent składający się ze wszystkich osób nauczających.

– Czy pamięta Pan nazwiska najślawniejszych pedagogów?
– Galerię najznakomitszych profesorów otwierał Baltazar Exner z Jeleniej Góry, doktor sztuk wyzwolonych, poeta z laurami nadanymi przez cesarzy Rudolfa II i Macieja I. To był czystej krwi humanista, znawca prawa, zwiastun przemian barokowych w kulturze. Profesor Exner wykładał historię, prawo, wymowę i poetykę. Znakomitością Schönaichianum był profesor Kasper Dornau, pierwszy rektor, wykładowca obyczajowości. Profesorem bytomskim był Jerzy Mantius, wcześniej rektor Akademii Rakowskiej, doktor medycyny. Inni znani i cenieni w akademickim świecie to: Jan Scultet – profesor teologii i jego syn Jonasz – znany kartograf Śląska, Caspar Dornavius – filozof i matematyk, Andreas Pulitius – profesor medycyny, późniejszy rektor frankfurckiej Viadriny, Benjamin Ursus – współpracownik Johanna Keplera, kiedy ten wykonywał *Tabularum Rudolphinum*, Dawid Vechner – profesor logiki i jego młodszy brat Jerzy – profesor pietatis.

– Takie nagromadzenie profesorów i scholarów musiało sprzyjać nie tylko edukacji i rozwojowi miasta, lecz i wzrostowi zamożności mieszczan.

– Powiadano nawet, że drugiego tak zamożnego miasta nie było w pobliżu. Równocześnie z budową gmachu Schönaichianum powstawały domy dla profesorów, gospody i zajazdy dla przybyszów. Bogacący się mieszczenie zakładali stancje dla uboższych scholarów. Na przykład w domu pisarza miejskiego mieszkali żacy tylko z Polski. Kantor dawał dach nad głową wyłącznie studentom z Brandenburgii. Przybywało karczm i oberż, piwiarni i szynków, winiarni, składów sukna i płótna...

– Gdzie scholarowie słuchali wykładów?

– W miejscu, gdzie później stanął zbór protestancki. W 1614 roku mistrz budowlany z Żagania, Johann Gabriel, rozpoczął budowę okazałego gmachu akademii. Po dwu latach przekazano go w użytkowanie scholarom i profesorom. Niedługo po tym przybyły z Wittenbergi Johann Dörfer uruchomił drukarnię akademicką, która służyła również osobom spoza Bytomia. W niej drukowano książki, które trafiały do miast kalwińskich na Śląsku i w Wielkopolsce.

– **Obiło mi się o uszy, że bytomscy drukarze drukowali i Pana książki, Mistrzu.**

– W 1647 roku, kiedy wróciłem do Głogowa, nie było już Schönaichianum, ale pozostała drukarnia. W niej drukowali swoje książki lirycy z Głogowa, Wschowy, Bolesławca, a także bakałarze, skrybowie i każdy, kto jeszcze posiadał trudną sztukę pisania. Gdy przeniesiono ją do Koźuchowa, moje książki udekorowane sonetami składały się z czcionkami drukarni wschowskiej.

– **Wróćmy do Schönaichianum, którego sława była szeroka, ale bardzo krótka.**

– Akademia istniała zaledwie ćwierć wieku. Pewnie wszystko odbyłoby się inaczej, gdyby 25 lutego 1619 roku nie zmarł nagle fundator Georg Schönaich, pan Bytomia i Siedliska. Następcą został jego bratanek Johannes, zwany Nieszczęśliwym.

– **Dlaczego przyłgnęło do niego to określenie?**

– Stało się tak z kilku powodów. Dobry Bóg nie obdarzył go takimi cechami, jakie miał Georg Schönaich, ale nie to przesądziło o jego niepowodzeniu. Będąc zadeklarowanym protestantem w kraju, gdzie władca na dworze wiedeńskim był katolikiem, Johannes Schönaich opowiedział się po stronie protestanckiego króla Czechów. Ci, w 1620 roku pod wodzą Fryderyka V wystąpili przeciw władającym cesarstwem Habsburgom. Przyczyn tego buntu należy szukać w dominacji ekonomicznej, politycznej i kulturowej przybyszów z krajów niemieckojęzycznych. W obronie własnej narodowej autonomii Czech, wspierani między innymi przez Niderlandów i Ślązaków, stanęli na polu bitewnym pod Białą Górą. Ponieśli klęskę i utracili niepodległość. Habsburgowie nie tylko rozpętali terror w miastach, ale i odebrali majątki protestantom. Tym sposobem Liechtensteinowie

i Wallensteinowie stali się właścicielami niemałej części Moraw i Czech. Wtedy też zaczęła się rekatolizacja Czechów. Arianie uciekli na Śląsk i do Polski, tworząc tam wspólnoty husyckie.

– Czy Johannes Schönaich przyjął czeskich protestantów pod swój dach?

– Gdy informacja o udzieleniu pomocy królowi Czechów dotarła na dwór wiedeński, cesarz Ferdynand II nakazał odebranie mu części majątku i przekazania go jezuitom głogowskim. Spodziewając się srogiej kary, co cenniejsze sprzęty i wyposażenie zamku siedziskiego Johannes Schönaich wywiózł do Leszna. Tam też przeniósł najbardziej wartościowe egzemplarze z biblioteki bytomskiej. Oskarżony o zdradę stanu, osiadł w Lesznie.

– A co się stało z Schönaichianum?

– Pierwsza decyzja cesarza dotyczyła rekatolizacji mieszkańców Bytomia. W listopadzie 1628 roku Habsburg zamknął pedagogium i gimnazjum, i rozwiązał je tuż przed Bożym Narodzeniem. Majątek akademii przejęli głogowscy jezuici. Pozostałe dobra Schönaichów Ferdynand II obłożył sekwestrem.

– Johannes Schönaich nie odzyskał dóbr rodowych?

– Dopiero w 1649 roku, po śmierci cesarza Ferdynanda II, jego następca zwrócił majątek Schönaichom. Akademia nigdy jednak nie została reaktywowana.

– Dziękuję za rozmowę.

Sławni absolwenci Schönaichanum-Carolatheum

Jan Jonston – urodził się 3 września 1603 w Szamotułach, zmarł 8 czerwca 1675 r. w Skłodowicach koło Lublina. Był studentem Schönaichanum w latach 1616-1617, naukę kontynuował w Toruniu, studiował też w szkockiej akademii St. Andrews, Frankfurcie nad Odrą, Lipsku, Wittenberdze, Londynie, Cambridge. Był doktorem medycyny, nadwornym lekarzem Bogusława Leszczyńskiego. Szczególnie zasłużył się dla entomologii, botaniki i ornitologii. Jego ważniejsze dzieła naukowe to: *Thaumatographia naturalis*, *Sintagma dendrologi specimen*, *Historiae naturalis de avibus*, *Polyhistor*, *Natitia regni vegetabilis*, *Idea Hygieinse*, *Dendrographia sive*, *Historia Naturalis de Arboribus*, *Syntagma universae medicinae practicae*.

Martin Opitz – urodził się 23 grudnia 1597 w Bolesławcu, zmarł 20 sierpnia 1639 r. w Gdańsku. Naukę w Schönaichanum rozpoczął w 1616 r. Po ukończeniu pedagogium studiował we Frankfurcie nad Odrą i Heidelbergu. Już w 1617 r. napisał rozprawę *Aristarchus sive de contemptu linguae Teutonica*. Dziełem jego życia była księga o poetyce niemieckiej *Buch von der Deutscher Poeterey*, w której nawoływał do wykwinotności języka ojczystego i zarazem do unikania makaronizmów. Był autorem libretta pierwszej opery w języku niemieckim, opartej na wątku *Dafne* Heinricha Schütza. Tworzył też poezję dworską, panegiryki, poematy i drobne wiersze. Był dworzaninem Władysława IV Wazy, jego historiografem i sekretarzem. Przed śmiercią wydał zbiór *Pieśń o św. Annonie*.

Joachim Pastorius – urodził się 20 września 1611 w Głogowie, zmarł 26 grudnia 1681 r. we Fromborku. Nie wiadomo, w których latach kształcił się w Bytomiu. Studiował też w Lejdzie, Paryżu, Orleanie, Londynie i Oksfordzie. W Lejdzie wydał podręcznik do historii Polski *Florus Polonicus seu Polonicae Historiae Epitomae*. Był nadwornym historiografem i sekretarzem Jana Kazimierza. W 1651 został profesorem historii w gimnazjum w Elblągu i lekarzem miejskim. Cztery lata później przeniósł się do gimnazjum akademickiego w Gdańsku. Urodził się w rodzinie protestanckiej, po śmierci żony przeszedł na katolicyzm i w 1675 przyjął święcenia kapłańskie. W 1678 został oficjałem

i wikariuszem generalnym na Pomorze Gdańskie. Jest autorem ponad 250 dzieł po niemiecku i łacinie. Najważniejsze to: *Bel-lum Scythico-Cosacicum*, *Palaestra Nobilium*, *Historiae Poloniae pars prior de Vladislai IV Regis extremis, secutoq; inde interregno, et Joannis Casimiri Electione ac Coronatione*, *Aegis Palladia*, *De dignitate historiae*, *Florus polonicus*.

Jonasz Szlichtyng – urodził się w 1592 w Sączkowie, zmarł w 1661 r. w Żelechowie koło Łagowa. Kształcił się w Bytomiu, Gdańsku i Rakowie, studiował w Altdorfie koło Norymbergii i Lejdzie. W 1618 przebywał przez jakiś czas w Anglii i we Francji. W 1647 wyrokiem sejmu warszawskiego został zaocznie skazany na infamię, konfiskatę mienia i karę śmierci za opublikowanie *Wyznania wiary zboru tych, które się w Polsce chrystiańskim tytułem pieczętują*, zawierającej wyznanie Braci Polskich. Odtąd Szlichtyng ukrywał się, prowadząc jednocześnie swą działalność potajemnie. Najważniejsze prace to: *Odpowiedź na script X.D. Clementinusa*, *Questiones duae*, *De ss. Trinitate*, *Confessio fidei Christiane etc.* Ta ostatnia zanim została spalona publicznie, przełożono ją na francuski, holenderski i niemiecki.

W Schönaichianum także studiowali:

Maciej Ambroski – poeta,

Władysław Gorajski – autor zbioru tez z filozofii praktycznej,

Jan Markowicz – poeta i dziejopis, autor *Księgi sklepowej*,

Mikołaj Wawrzyniec Siemieniecki – myśliciel i pisarz religijny,

Andrzej Węgierski – pisarz religijny, autor dzieła *Slavonia reformat*a,
tłumacz dzieł pedagogicznych Amosa Komenskigo na polski,

Tomasz Węgierski – pisarz i myśliciel protestancki,

Wojciech Węgierski – historyk krakowskiego zboru kalwińskiego,
poeta religijny,

Michał Wieder – poeta i myśliciel.



*Tynf z czasów Jana Kazimierza
ze zbiorów Muzeum Ziemi Wschowskiej*

Andrzej Tymff

Urodził się w 1618 w brandenburskim Burgu, zmarł w 1690 r. w Sulstedt na duńskiej Lollandii. Zawodu mincerza uczył się pod okiem swego ojca w Rostoku. Około 1651 r. objął w dzierżawę mennicę wschowską, rok później poznańską, potem z bratem Tomaszem także bydgoską, krakowską i lwowską. W 1659 r. został generalnym probierzem srebra w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a następnie nadzorcą mennic królewskich. W 1663 r. rozpoczął emisję nowych złotych o mniejszej zawartości srebra, popularnie nazywanych tynfami. Znajdowały się one w obiegu do 1767 r.

DOBRY ŻART TYNFA WART

**Rozmowa z Andrzejem Tymffem,
mincerzem królewskim, dzierżawcą mennicy we Wschowie**

– Spotkałem wiele form zapisu Pana nazwiska. Która jest poprawna? Którą formę Pan akceptuje?

– Wywodzę się ze starej niemieckiej rodziny mincerskiej. Mój ojciec Samuel przed przeniesieniem się do Rostoku występował jako Timph, potem był Timple i Timpke. Moje córki Concordia i Magdalena uważały, że są z rodziny Timpfów, Anna – że z Tympfów, a syn Samuel – że z Timpffów. Brat Tomasz, który również był mincerzem, najpierw podpisywał się jako Timph, potem jako Timff. Moje nazwisko także zapisywano rozmaicie, w Rzeczypospolitej najczęściej byłem Tymffem, ale i spotkałem informację jakoby nazywał się Tynf.

– Pobyt i pracę w Koronie zaczął Pan od królewskiego miasta Wschowy.

– Dokładnie nie pamiętam, w którym roku przyjechałem do Wschowy. Na pewno chciałem udowodnić sobie i innym, że jestem fachowcem najwyższej klasy.

– Kronikarze podają, że było to w 1650 roku.

– Kronikarze podobnie jak wszyscy skrybowie najlepiej wiedzą, ha, ha...

– Dlaczego wybrał Pan Wschowę?

– Przyjechałem do miasta, o którym w Rostoku słyszałem, że należy do tych, które wyróżnia stary przywilej bicia monet. Kto i kiedy nadał miastu to chlubne uprawnienie, nie udało mi się ustalić. Wedle jednych kronikarzy Wschowa otrzymała prawo mennicze około roku 1330 od księcia Jana Ścinawskiego. Wedle innych przywilej menniczy nadał miastu monarcha Kazimierz Wielki, a potwierdził go Władysław Jagiełło. Władca nakazał, aby wschowska mennica biła drobne monety „jednakże pod naszymi królewskimi znakami, wybijając z jednej strony orła, a z drugiej krzyż podwójny. Tych pieniędzy, czyli denarów dwanaście powinno mieć wartość jednego grosza i tak mają być przyjmowane”. Pierwsze denary opuściły wschowską mennicę w 1404 roku.

– Wziął Pan w dzierżawę niewielką mennicę wschowską, a nie większą, i przynoszącą pewnie znaczniejszy dochód, poznańską.

– Gdym się dowiedział o poszukiwaniu dzierżawcy mennicy, natychmiast zgłosiłem swoją ofertę. Magistrat wschowski, który nią zawiadywał z upoważnienia podskarbiego wielkiego koronnego, przyjął moją propozycję, żywiąc nadzieję, że miastu i Rzeczypospolitej przysporzę dochodów. Król szykował się do wojny z Turcją, potrzebował więc dużo pieniędzy. Planował też wkroczenie do Szwecji, aby zasiąść na tamtejszym tronie. Jakby tego było mało, jeszcze zupełnie nie wygasły ogniska zapalne od lat trwającego konfliktu z Rosją.

– Jaka była Wschowa, gdy Pan otrzymał mennicę w dzierżawę?

– O, widać, że ciche i spokojne miasto, pomyślałem sobie, jakem wysiadł z powozu. Kilka dni później dużo wiedziałem o jego bogatej przeszłości i licznych przywilejach. Obok Poznania Wschowa należała do ważniejszych miejscowości Rzeczypospolitej przy granicy ze Śląskiem i Brandenburgią. Leżała przy bardzo ważnym szlaku, w stronę Saksonii, niezbyt daleko od moich stron rodzinnych. Była nie za duża i nie za mała, jak mi mówiono, mieniła się miastem królewskim. W tutejszym kościele parafialnym Kazimierz Wielki ślubował Jadwidze miłość i wierność małżeńską. Mimo że od wieków była miastem polskim, na ulicach słyszało się też mowę

niemiecką i czeską. Jak wszędzie pewnie i tu dochodziło do waśni, ale nie wymykały się one poza cztery ściany domów. Katolicy żyli w pokoju z luteranami. Wybierając Wschowę myślałem, że do końca swoich dni będę sumiennym obywatelem Rzeczypospolitej. Tu, nie mając za dużo obowiązków, nauczę się polskiego języka, poznam zwyczaje, a i przyjrę się, jak funkcjonuje administracja królestwa.

– Jednak niedługo po przyjeździe do Wschowy wydzierżawił Pan mennicę koronną w Poznaniu.

– Nadarzyła się okazja. Tym bardziej że i mój brat Tomasz postanowił zamienić swój użyteczny dom w Cesarstwie Niemieckim na bardziej wygodny w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

– W połowie XVII wieku od północy nadciągała burza wojenna, która do polskiej historii przeszła jako potop szwedzki.

– Władcy Rzeczypospolitej z dynastii Wazów od lat rościli pretensje do korony szwedzkiej. Zygmunt III i Władysław IV, mimo że podczas elekcji zostali wybrani na panujących w Rzeczypospolitej, uważali się też za władców Szwecji. Nawet Jan II Kazimierz tytułował się królem Szwecji. Nie wszystko w zachowaniu polskich możnych rozumiałem, a już tego liberum veto ni w ząb nie pojmowałem, proszę zatem, aby pan nie pytał mnie o dawne dzieje. Jestem mince-rzem i o tym mogę rozmawiać choćby do Wielkanocy.

– Gdy wojska szwedzkie wtargnęły na ziemie Polski, która, co tu dużo mówić, nie była przygotowana do wojny, król Jan Kazimierz umknął do Głogówka na Śląsku pod skrzydła swego kuzyna Ferdynanda III, będącego cesarzem niemieckim. Pan też opuścił Wschowę, osiadając w Opolu. To w obawie przed Szwedami?

– Uchowaj Boże! Ja, mój panie, dostałem odpowiedzialne zadanie ratowania skarbu koronnego. Tom w 1657 roku uruchomił mennicę w Opolu, gdzie bił trzykrucierze z portretem i imieniem Jana Kazimierza. Gdy podpisano pokój w Oliwie, wróciłem do Poznania. Jeśli dobrze wiem, to w 1666 roku, po wykupieniu z zastawu, men-nica wraz z Opolem wróciła do Habsburgów.

– Pan, jeśli kronikarze dobrze zanotowali, w nagrodę za wspieranie skarbu królestwa w 1660 roku został generalnym wardajnem. Czym się zajmował wardajn?

– W moich czasach bito monety nie z czystego srebra czy złota wysokiej próby, bo byłyby one zbyt drogie. Najczęściej wycinano je z blachy ze srebra i miedzi, rzadziej ze złota i miedzi, połączonych w odpowiednich proporcjach. Ile powinno być srebra i ile miedzi, albo ile złota i miedzi, szczegółowo określała krajowa ordynacja mennicza. Przygotowywanie stopu do bicia monet odbywało się poza mennicą, zawsze pod baczным nadzorem wardajna, będącego na służbie królewskiej. Inaczej mówiąc, wardajn, zwany też probierzem srebra, odpowiadał za jakość stopu i jego zgodność z ordynacją menniczą. A po wybiciu monet sprawdzał ich wagę, aby nie miały mniejszej wartości niż nakazywało prawo.

– Kolejnym szczeblem Pana kariery był urząd superintendenta mennic królewskich.

– Jako wardajn przekonałem króla co do swojej uczciwości, dlatego mianował mnie superintendentem swoich mennic. Do moich obowiązków należało sprawowanie nadzoru nad mennicami w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w których bito dukaty koronne, szelągi litewskie, ryskie i pruskie lenne, grosze gdańskie, orty koronne (wychodziły z mennicy wschowskiej), toruńskie, gdańskie i lwowskie, szóstaki koronne i litewskie. To była bardzo odpowiedzialna funkcja szczególnie dlatego, że niektórzy mincerze próbowali fałszować stop albo wybijali więcej monet niż pozwalało prawo.

– Wojna ze Szwedami nie tylko mocno zrujnowała kraj, lecz i poważnie naruszyła gospodarkę finansową królestwa. Skarb koronny był niemal pusty, a ci, którzy ofiarnie bronili Rzeczypospolitej domagali się wypłaty zaległego żołdu.

– Wojowanie było mi obce, ale i ja widziałem, jak Szwedzi спустoszili miasta i wsie. Skarb królewski znajdował się w opłakanym stanie. Wiele razy podskarbi wielki koronny Jan Kazimierz Krasiński kazał mnie wołać i pytał, co robić, aby załatać dziurę płatniczą. Żołnierze zwołują konfederacje i domagają się wypłaty zaległego żołdu, mówił. Grożą gardłem swoim dowódcom. Doradź coś, panie Tymff... Nie bacząc na skutki wojny, chwycili za miecze i stanęli

w obronie Rzeczypospolitej, przypominałem podskarbiemu. Pan, mości pułkowniku, dowodził wojskiem pod Nowym Dworem Mazowieckim, to najlepiej wie, że żołnierze zasłużyli na żołd. Oni nie oszczędzali swoich sił na lepsze czasy. Nie przypominaj mi tej klęski, panie Tymff, zachmurzył się podskarbi... Trzeba im oddać to, co się należy, na co zasłużyli, radziłem, zdając sobie sprawę, że skarb królestwa wygląda jak spichlerz na przednówku.

– **Podskarbi jednak znalazł wyjście.**

– Masz pan na myśli propozycję Boratyniego?

– Tak.

– Od samego początku uważałem go za szarlatana. Włoch, mój panie, niezwykajny Italczyk. Czymże on się nie zajmował? W młodości wojażował po Egipcie, obmierzał piramidy i kreślił plany miast. Do Rzeczypospolitej przyjechał z Włoch w 1646 roku jako Tytus Liwiusz Borattini. W Warszawie spolszczył swoje nazwisko na Boratyni. Tu założył warsztat optyczny, budował maszynę samolatającą, prowadził próby ze spadochronem. Jako architekt królewski miał pieczę nad wznoszeniem Pałacu Kazimierzowskiego przy Krakowskim Przedmieściu i nadzorował konserwację Zamku Ujazdowskiego. W Warszawie przeciągnął most przez Wisłę, a w Ujazdowie postawił obserwatorium astronomiczne. Wymyślił maszynę do nawadniania ogrodów. To jeszcze nie wszystko. Opublikował traktat, w którym uzasadnił potrzebę miary jednakowej dla całego świata, którą nazwał metrem katolickim. Niech pan sobie wyobrazi, że w czasie wojny ze Szwedami na własny koszt wystawił oddział żołnierzy i nim dowodził.

– **To i nie dziwię się, że podskarbi koronny, nie uzyskawszy pomocy z Pana strony, jego poprosił o radę. Jakiej więc rady udzielił Boratyni?**

– Zaproponował przetopienie kursujących po królestwie obcych monet na nowe szelągi. Tak zachowywały się skarby wielu krajów, szczególnie jeśli wartość srebra w monetach obcych była wysoka. To była pierwsza podpowiedź Boratyniego. Druga, niezwykle chytra, dotyczyła wybicia monet miedzianych. Ten przybłąda przekonał podskarbiego, że bicie miedziaków będzie tańsze, na czym zyska

skarbu królewski. Uspokoi to żądania wierzycieli wobec Rzeczypospolitej, którą będzie stać na spłacenie zaległości i jeszcze na tym zarobi.

– **Co na to podskarbi?**

– Pewnie pomyślał, że Boratyni z diabłem pali fajkę, ale projekt przedstawił komisji menniczej. Ta w 1659 roku uchwaliła wybite dwu milionów szelągów miedzianych dla Korony i miliona dla Litwy. Postanowiła też, że ze srebrnych monet mennice królewskie będą były orty, szóstaki, trojaki i grosze poniżej wartości nominalnej nawet o 30 procent.

– **Czy nowe monety były wszystkie mennice w Rzeczypospolitej?**

– Boratyni był dzierżawcą mennic królewskich w Krakowie, Ujazdowie, Wilnie i Brześciu Litewskim. Niewątpliwie z tego tytułu czerpał niemałe zyski. A gdy komisja miernicza postanowiła o biciu nowej monety polskiej, podskarbi Krasieński tylko z nim podpisał umowę. W listopadzie 1659 roku pojawiły się miedziane szelągi, jeszcze przed Bożym Narodzeniem przezwane boratynkami.

– **Czy szelągi uspokoiły sytuację finansową w Rzeczypospolitej?**

– Przeciwnie. Bite przede wszystkim, aby spłacić długi skarbu królestwa wobec wojska, tylko pogorszyły sytuację. Miedź użyta do ich wytwarzania była podłego gatunku. Mówiono, że „te szelągi ze szkła robione. Że w piasek zakopane, w żużel się obracają. Że masłem namazane, w mąkę jakąś się mienia”. Wartość szelągów stale się pomniejszała a to z powodu obniżenia ilości kruszcu, a to na skutek inflacji. Tylko nominal pozostawał bez zmian. Do tego, usiłując za wszelką cenę ratować skarbu królewski, Boratyni dawno przekroczył ustaloną liczbę monet, które mógł wybić. Klęska, mój panie, jakiej ani podskarbi, ani mincerz nie przewidział.

– **I wtedy pan, superintendent mennic królewskich, zgłosił nową propozycję.**

– Podskarbi do siebie mnie wezwał. Boratyni to szarlatan. Ratuj, panie Tymff! Zrób coś na chwałę króla! W panu nadzieja miłościwie nam panującego Jana Kazimierza. I moja, panie Tymff. Rzeczpospolita ratowania skarbu się dopomina... Proponuję, mości

podskarbi, emisję srebrnych złotych, przedstawiłem to, co od pewnego czasu kołatało w mojej głowie. Nominalna wartość nowej złotówki powinna być równa wartości dukata, czyli 30 groszom. To więcej niż nie lubiana i wyśmiewana boratynka, która ma wartość trzeciej części grosza.

– Czy chodziło panu o monetę popularnie nazwaną tyńfem?

– Słyszałem, że nieżyczliwi mi ludzie tak nazywali nową złotówkę, która przecież miała być nie na zgubę.

– Jak wyglądała nowa złotówka?

– Z wyglądu była nowoczesna, opracowana wedle najnowszych zasad menniczych i mincerskich. Na rewersie pod koroną tkwił orzeł i pogoń litewska oraz snop Wazów, w dolnym polu był napis „XXX GRO[ssi] POL[onialis]”, po bokach moje inicjały „A” i „T” oraz legenda „MONET. NOV. ARG. POL.” (moneta nowa srebrna Królestwa Polskiego). Na awersie też widniała korona, pod nią w centrum był monogram królewski J.C.R. (Joannes Casimirus Rex), w dwu otokach biegł napis DAT PRETIUM SERVATA SALUS / POTIORQUE METALLO EST.

– Co oznaczał ten przydługi napis łaciński na awersie?

– Można go przełożyć na polski jako: wartość tej monety nadaje zbawienie ojczyzny, które jest więcej warte od metalu. W efekcie mój pomysł okazał się najlepszy dla skarbu Rzeczypospolitej. No, przynajmniej na krótki czas uspokoił sytuację pieniężną w Koronie i na Litwie.

– Dla skarbu może i był zbawienny, ale nie dla Polaków i Litwinów.

– Skąd ta wątpliwość, skrybo? Czyżbyś...?

– A stąd, że w jednej złotówce srebra było nie 30 dawnych groszy, jak Pan przysiągł podskarbiemu i deklarował na rewersie XXX GRO POL, lecz 12-18. Oszustwo, nie więcej.

– Podskarbi Krasieński dobrze o tym wiedział. Nie miał innego wyjścia, jak zgodzić się z moją propozycją. Tym bardziej że boratynką nie udało się poprawić sytuacji. Gdyby podskarbi nie przyjął mojej

propozycji, skarb królewski nigdy by się nie wywiązał ze swoich zobowiązań wobec żołnierstwa.

– Przypuszczam, że doszło do Pana uszu, jak naród rozszyfrował królewski monogram ICR?

– Podobno jako: *Imitium Calimitatis Regni*.

– Co się przekłada na język polski jako: początek nieszczęść królestwa. Szlachta i magnateria, która przecież starała się być przychylna królowi, na każdym kroku ponosiła straty. Mówiono nawet, że dla Rzeczypospolitej nadeszły gorsze czasy niż podczas potopu szwedzkiego.

– Tego, że z powodu nowych złotych wybuchł przewrót cenowy i zapanowała niebotyczna inflacja, nikt nie dowiedział. Na kryzys monetarny miała wpływ, będąca w kiepskim stanie gospodarka Korony i Litwy, prowadzone wojny, zubożenie szlachty, brak porządku w urzędach. Trochę z tego powodu, trochę za namową magnatów i powinowatych w 1668 roku Jan Kazimierz zrzekł się korony królewskiej i wyjechał do Francji, gdzie objął dochodowe opactwo Saint-Germain-des-Prés. Był tak wyczerpany, że tam rychło zmarł.

– Złotówkę Pana pomysłu uważano za złą monetę. Była wykiwana tak samo jak boratynka.

– Słyszałem kilka żartów na jej temat, ale to nic zatrważającego.

– Podczas obrad sejmu w 1666 roku Andrzej Maksymilian Fredro żalił się przed posłami, że kiedy jest za granicą, traci dużo pieniędzy z powodu nikłej wartości polskiej złotówki.

– Nie czuję się winny takiej sytuacji. Ja chciałem dobrze. Wszelkimi siłami starałem się nareperować sytuację pieniężną mojej nowej ojczyzny. Zresztą tłumaczono, że bite przeze mnie pieniądze nie były przyczyną kryzysu gospodarczego kraju.

– Czy zna Pan anonimową satyrę, która krążyła po dworach i pałacach?

– Tę zaczynającą się od słów: „Ojcze nasz, królu polski, Janie Kazimierzu, / Któryś jest w majestacie, lecz nie w dobrym pierzu...”?

– „.... Ale nas zbaw od Tymffa i Boratyniego, / i poszlij ich do czarta, piekła przeklętego”.

– Powtarzam, skrybo: chciałem dobrze, a że...

– Aha, chciał Pan dobrze, ale zły naród niczego nie zrozumiał? I ten zły, niewiele rozumiejący naród przyjął nową monetę jako dobry żart? Śmiano się, że: „Dobry żart tyńfa wart”.

– Wcześniej i później szlachta traciła swoje majątki. Ja jako mincerz, jako dzierżawca i nadzorca mennic robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uratować skarb Rzeczypospolitej.

– I dlatego wybił Pan więcej złotych niż pozwalała na to uchwała komisji monetarnej, chciwie napychając zyskami swoją kieszeń?

– Tego... no... Niczego mi nie udowodniono.

– Zarzucano Panu, że w tyńfach nie było tyle srebra, ile być powinno.

– To zarzut bezpodstawny. Powtarzam: niczego mi nigdy nie udowodniono.

– Nie udowodniono, ponieważ uciekł Pan z Rzeczypospolitej.

– Nie uciekłem, tylko pilnie wyjechałem w interesach.

– Gdy sejm ogłosił swój zamiar postawienia Pana przed trybunałem skarbowym, umknął Pan do Słupska. Pański brat Tomasz, pewnie także czujący się winowajcą, uciekł do Gdańska.

– Nie wróciłem ze Słupska do Rzeczypospolitej, gdyż obawiałem się wtrącenia do lochu albo jeszcze czegoś bardziej srogiego. Miałem przecież żonę, dzieci...

– Jest wielu znakomitych wschowian, którzy przysłużyli się miastu i ojczyźnie. Nie słyszałem, aby ktoś w królewskim mieście wynosił Pana zasługi pod niebiosa. Owszem wymieniano Pana nazwisko, ale nie jako osoby godnej naśladowania. Wymieniano je ze wstydem.

– A ja tak bardzo chciałem...

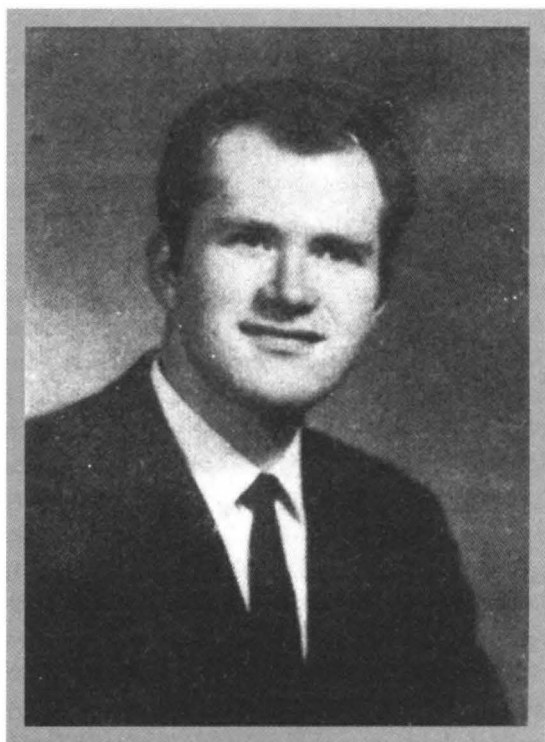
Sławni wschowianie

Waleriusz Herberger – urodził się 21 kwietnia 1562 we Wschowie, tam też zmarł 18 maja 1627 r. Studiował teologię na uniwersytetach we Frankfurcie nad Odrą i w Lipsku. Był pastorem, kaznodzieją, poetą. Jego pieśni religijne znajdowały się w najsławniejszym śpiewnikach ewangelickich. Nazywano go Małym Lutrem. Z jego inicjatywy powstał kościół Żłóbka Chrystusowego. Jest patronem ulicy we Wschowie.

Samuel Fryderyk Lauterbach – urodził się 30 października 1662 we Wschowie, tam też zmarł 24 czerwca 1728 r. Studiował w Lipsku i Magdeburgu. Służbę kościelną rozpoczął od urzędu pastora w Osowej Sieni. Potem był pastorem i inspektorem szkolnym przy kościele ewangelickim Żłóbka Chrystusowego we Wschowie, a pod koniec życia seniorem generalnym Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Wielkopolsce. Napisał pierwszą niemieckojęzyczną historię Polski.

Józef Wybicki – urodził się 29 września 1747 w Będominie koło Kościerzyny, zmarł 10 marca 1822 r. w Manieczkach koło Śremu. Po ślubie z Esterą Wierusz-Kowalską stał się właścicielem dóbr w Łysinach koło Wschowy. W *Pieśni legionów polskich we Włoszech* uwiecznił Basię, córkę podczaszego wschowskiego Ksawerego Chłapowskiego. Jest patronem szkoły w Łysinach.

Bronisław Geremek – urodził się 6 marca 1932 w Warszawie, zmarł 13 lipca 2008 r. w Lubieniu koło Nowego Tomysła. Po 1945 r. jego rodzina mieszkała we Wschowie, a on chodził do szkoły średniej. W 1948 r. wrócił do Warszawy. Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W 1989 r. otrzymał tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych. Zajmował się historią kultury i społeczeństwa wieków średnich. W latach 1997-2000 był ministrem spraw zagranicznych. Jego podpis widnieje na dokumencie potwierdzającym przystąpienie Polski do NATO.



*Janusz Olczak – zdjęcie ze zbioru opowiadań
„Słone skrzydła”, Poznań 1975*

Janusz Olczak

Urodził się 24 czerwca 1941 w Stołpcach koło Baranowicz, zmarł 17 maja 1991 r. w Lublinie. W 1945 r. razem z rodziną przyjechał do Skwierzyny. Studiował w Studium Nauczycielskim w Gorzowie i na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, ukończył filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po studiach wrócił do Skwierzyny, gdzie zajmował się twórczością literacką. W 1977 r. mając do wyboru mieszkanie w Lublinie i Gorzowie, wybrał pierwsze miasto. Jest autorem powieści, opowiadań, wierszy, baśni, słuchowisk. Czytelnikom szczególnie spodobała się trylogia *Baśń o wielkim Marandzie*, *Jubileusz Marandy* i *Wesele Marandy*.

AMERYKA NAD WARTĄ

Rozmowa z Januszem Olczakiem,
pisarzem i regionalistą

– Chciałbym porozmawiać z Panem o zmianach krajobrazu łęgów nad Wartą.

– Dlaczego ze mną?

– Po pierwsze, urodził się Pan w Stołpcach, które leżą na skraju poleskich bagien, czyli w podobnym zakątku. Po drugie, w przerwie między studiami kopał Pan rowy jako meliorant. Po trzecie, przez 32 lata, wyłączając czas studiowania, mieszkał Pan w Skwierzynie, w miejscu, gdzie zaczyna się delta Warty. Po czwarte, dawne i współczesne okolice skwierzynne opisał Pan jak nikt wcześniej.

– One na to zasługują. Te przesycone zapachem wierzb, trzcin, turzyc Murzynowy, Krobielewka i Krobielewa, Nowe, Stare i Krasne Dłuska, te Brzozówki i Brzozowy, te Krasnołęgi i Dębokierze, ta Studzionka, gdzie miejsca rybaków, hodowców bydła, kosiarzy, meliorantów zajęli artyści.

– Nie pytam, czy w 1945 roku jako czteroletnie dziecko miał Pan wpływ na to, aby zostać mieszkańcem Skwierzyny.

– W 1945 roku ani ode mnie, ani od moich dziadków i rodziców nie zależało. O tej ziemi nic lub prawie nic nie wiedzieli, zresztą jak większość przesiedleńców z Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia,

Podola, Pokucia, Huculszczyzny. Może i lepiej, że tak się to odbyło. Gdyby ludziom urodzonym na kresach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej pozwolono wybierać, pewnie tylko ci z Polesia zostaliby w wioskach Nadwarcia. Tutejsze łąki, mokradła, grzęzawiska, olchy i wierzby, mimo że w niewielkim stopniu przypominały im to, co zostawili nad Prypecią, pachniały przyjaźnie wilgocią.

– Może dociekał Pan, dlaczego Polesie nigdy nie zostało ucywilizowane? Mam na myśli takie budowle hydrologiczne jak wały, kanały, jazy i to wszystko, co Niemcy założyli na podberlińskim Sprewaldzie czy w delcie Warty.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, dlaczego Polesie zachowało się takie, jakie je Pan Bóg stworzył. Przyrodnicy pewnie są zadowoleni, że poleskiej krainy nie dosięgnęła ręka cywilizacji i zachowała się nieskazitelna przyroda. Z każdego innego punktu widzenia, a przede wszystkim wedle mieszkańców, Polesie było (i jest nadal) regionem zapuszczonym, gdzie diabeł mówi dobranoc. Aby je ucywilizować, trzeba mieć dużo pieniędzy na koncie w banku.

– Ujarzmiając Wartę między Skwierzyną i Kostrzynem, Prusy musiały sobie zdawać sprawę, że chociaż wrzucają pieniądze w błoto, będą z tego korzyści.

– Król Prus Fryderyk II, nie na wyrost nazwany Wielkim, powtórzył metodę zastosowaną przez krzyżaków, gdy ci budowali państwo zakonne przy granicy z Borussią, którą zresztą wchłonęli. Do osiedlania się na zdobytych terenach namawiali przede wszystkim chłopów niemieckich i flamandzkich, dając im ziemię, zwalniając z opłat i służb. Aby z tej ziemi zbierać plony, koloniści najpierw musieli wykopać kanały i rowy, zbudować jazy i przepusty, osuszyć pola. A ponieważ odebrana wodzie ziemia nadrzeczna okazała się żyzna, uzyskiwane tam plony zbóż były wysokie. Jeszcze dziś okolice Malborka, Tczewa, Elbląga są uważane za spichlerz.

– Chce Pan powiedzieć, że Fryderyk II w delcie Warty skopiował metodę wymyśloną przez krzyżaków w Prusach Zakonnych?

– Prusy Fryderyka Wielkiego były tym samym państwem, które założyli krzyżacy, tyle że znacznie większym i świeckim. Połączone

unią personalną z Brandenburgią, robiły wszystko, aby panować na ziemi pomorskiej wzdłuż Bałtyku. Udało się to Fryderykowi Wilhelmmowi, zwanemu Wielkim Elektorem, twórcy militarnej potęgi Prus. Fryderyk II Wielki już nie tytułował się królem w Prusach, jak jego dziadek i ojciec, lecz królem Prus.

– **Król w Prusach, król Prus – czy miało to jakieś znaczenie?**

– Władcy pozostałych krajów w obrębie cesarstwa niemieckiego nie byli koronowani, używali tytułu księcia lub margrabiego. Kiedy w 1701 roku elektor brandenburski Fryderyk III zabiegał o koronę, rezydujący w Wiedniu cesarz rzymsko-niemiecki Leopold I Habsburg powiedział, że w jego państwie jest jeden monarcha, czyli on: król Niemiec, król Rzymian oraz król Czech i Węgier. Wtedy Fryderyk III Hohenzollern przypomniiał, że elektor saski August II Mocny został królem Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Cesarz na to: Polska leży poza granicą naszego cesarstwa. Hohenzollern dodał, że Prusy też leżą poza nią. I Leopold Habsburg zgodził się na koronację Fryderyka III na króla w Prusach. Podkreślam: na króla w Prusach. A jego wnuk Fryderyk II, nikogo nie pytając o zgodę, koronował się na króla Prus. Rządził nie z Królewca położonego setki kilometrów od granic Brandenburgii, a z Poczdamu, dokąd przeniósł stolicę obu części królestwa.

– **Fryderyk II powinien otrzymać przydomek: Przebiegły, Sprytny, Cwany, Zręczny. Do historii przeszedł jako Wielki.**

– Fryderyk był Wielki najpierw w dziejach Prus. Jego biografowie podkreślają, że zamiast urządzać bale w pałacu Sanssouci, organizował dyskusje z udziałem filozofów, pisarzy, malarzy, teologów. Zbudował państwo biurokratyczne, ale jako władca absolutny miał na celu dobro poddanych. Jego celem było poszerzanie granic królestwa poprzez podboje i wojny. W 1740 roku zajął Śląsk Habsburgów i mimo że później wojska Hohenzollerna dostały wielkie lanie pod Sarbinowem, Kijami i Kunowicami, z przegranej wojny wyszedł zwycięsko.

– **W 1772 roku Rosja, Austria i Prusy przeprowadziły pierwszy rozbiór Polski. Pomińmy Austrię i Rosję, a skupmy się tylko na tym, co zagarnęło królestwo pruskie.**

– Zająło Warmię i Pomorze Wiślane, a więc te terytoria, na których posiadaniu najbardziej mu zależało, bo przybliżyły dawne Prusy Zakonne do Brandenburgii. Po pierwszym rozbiórze Polski królestwo Fryderyka II rozciągało się już na ziemiach przybałtyckich. Wtedy, aby usprawnić żeglugę z Wisły do Odry, król zdecydował o budowie Kanału Bydgoskiego. Pomysł ten podpowiedział monarsze rezydujący w ówczesnym Drezdenku tajny radca finansowy poczdamskiego dworu Franz Balthazar Schönberg von Brenckenhoff. Cóż za długie nazwisko...

– Pełny tytuł jednej z Pana powieści brzmi: *Wieża magistratu, czyli worek (turyistyczny), w którym aptekarz wszystkie swoje gorzkie i mdłe pigułki przechowuje – szukając nawet tego, co było w średniowieczu, a także wszystkiego innego i co zawsze jest do odnalezienia.*

– Przyganiał kocioł garnkowi... Przysięgam, to pod wpływem von Brenckenhoffa, któremu w Bydgoszczy postawiono pomnik, a w Drezdenku oskarżono o malwersacje finansowe.

– Zanim go oskarżono, zbudował kanał.

– I to w szaleńczym tempie, bo w zaledwie półtora roku. Po otwarciu kanału wzrosło znaczenie Drezdenka i miast położonych nad Notecią i Wartą, przede wszystkim Landsbergu (pol. Gorzów) i Cüstrina (pol. Kostrzyn).

– Po zbudowaniu kanału Prusacy zaczęli prostować koryto Warty i skracać rzekę.

– Dzisiejsza Warta toczy swoje wody niemal majestatycznie. Do czasów Fryderyka Wielkiego rzeka była kręta, z wieloma zakolami i odnogami, w niektórych miejscach niespławna szczególnie w porze suchej. Gdy padały deszcze, wody się rozlewały szeroko, tworząc deltę od Skwierzyny po Kostrzyn, wywołując powódzie. Na tym odcinku spadek rzeki wynosi aż trzynaście metrów. Jeśli lustro wody w Odrze było wyżej, zdarzały się cofki do Warty. Wtedy dochodziło do zalania warciańskiej doliny i powodzi. Temu nieszczęściu usiłował zapobiec Fryderyk Wielki.

– W jaki sposób?

– Na królewskie zamówienie inżynier i geometra Izaak Jacob von Petri przygotował projekt wyprostowania koryta Warty i obudowania go wałami po obu stronach. Aby odwieść dolinę, przez co doprowadzić ją do rolniczego wykorzystania, Petri przewidział budowę kanałów i rowów oraz systemu śluz, przepustów, przepompowni.

– To musiało bardzo dużo kosztować, czy król zgodził się na taki wydatek?

– Już podczas kopania Kanału Bydgoskiego monarcha pruski przekonał się, że poza usprawnieniem żeglugi ujarzmienie Noteci będzie opłacalne. Na osuszanych mokradłach wzdłuż placów budowy powstawały osady dla robotników sprowadzonych z głębi Niemiec i Czech. Były tam nie tylko domy, ale i piekarnie, browary, lazarety, rozwijał się chów zwierząt rzeźnych. Gdy skończono budowę, pozostali ludzie, którzy, aby przeżyć, zajęli się zagospodarowywaniem osuszonych terenów. To podpowiedziało królowi osiedlanie kolonistów z krain, gdzie byli prześladowani za poglądy religijne, gdzie było przeludnienie i brakowało ziemi.

– Jeden z najznakomitszych współczesnych znawców dziejów Nadwarcia Zbigniew Czarnuch twierdzi, że zakładanie kolonii w dolinie Noteci i Warty zaczęło się przed Fryderykiem Wielkim.

– Owszem, ale nie w samej dolinie, lecz na obrzeżach moczarów. Pierwszymi kolonistami byli Olendrzy, czyli osadnicy sprowadzeni z Fryzji i Niderlandów. Poza tym, że reprezentowali wysoką kulturę rolną, przenieśli umiejętność melioracji i gospodarowania na terenach zalewowych. Mieli jeszcze jedną cechę, może ważniejszą niż poprzednie, stanowili zbiorowość wspierającą się i solidarnie odpowiadającą za powierzony majątek. Zajmowali się przede wszystkim hodowlą bydła i koni, koszeniem łąk i robieniem siana oraz utrzymaniem w należytym stanie urządzeń wodnych. Wiele kanałów, rowów i innych urządzeń wykonali własnymi siłami i na własny koszt. Opodal dzisiejszego Zwierzyna Olendrzy założyli Gottschimernbruch, czyli Gościmiec. W pobliżu Murzynowa powstała wieś olenderska Morrsche. Chwałowice, leżące w gminie Bogdaniec, miały nazwę Landsberger Holländer. W Jeninie był folwark Geninscher Holländer, w Pyrczynie – Pyrehner Holländer, w Witnicy

– Vietzer Holländer. Nałęczyn koło Kołczyna w gminie Krzeszyce to Hammersche Holländer, a wymieniona na początku naszej rozmowy Studzionka powstała jako Krieschter Holländer.

– **Koloniści zobowiązali się wykonywać prace hydrologiczne i utrzymywać budowle wodne w takim stanie, aby były sprawne. Co za to dawało im państwo?**

– Osadnicy potraktowali dolinę Warty jako ziemię obiecaną. Na przykład, każdy mieszkaniec osady Stuttgart (pol. Piskorzno) w dzisiejszej gminie Krzeszyce dostał czterdzieści mórg terenów bagiennych z grubą warstwą torfu. Przez pierwsze lata był zwolniony z podatku, a jego synowie nie odbywali służby wojskowej.

– **Koloniści to nie jedyni gospodarze tej ziemi. Byli też robotnicy.**

– W czasie prac nad nadwarciańskimi bagnami pojawili się tzw. antreprzyzerzy. Byli to przedsiębiorcy, którzy z właścicielami gruntów podpisywali umowy na ich osuszenie i zagospodarowanie. Antreprzyzer na własny koszt stawiał domy, sprowadzał osadników i przy ich pomocy karczował mokradła, kopał rowy i robił to, co prowadziło do osuszenia gruntów. Jedni osadnicy, jako robotnicy najemni, na czas zatrudnienia dostawali mieszkania w domach bliźniaczych, przy których mieli po odrobinie ziemi na wykarmienie krowy, drobiu i uprawę warzyw. Drudzy sami musieli kupić drewno, zbudować domy i zagospodarować mokradła, a antreprzyzer nie miał prawa im tego odebrać.

– **Czy było dużo chętnych do pracy?**

– Już powiedziałem, że Fryderyk Wielki przesuwiał granice królestwa drogą podbojów i wojen. Musiał więc mieć dużo wojska. Do kopania kanałów i meliorowania łągów nadwarciańskich też byli potrzebni młodzi mężczyźni. W 1752 roku doszło nawet do tego, że aby kontynuować roboty, armię kopaczy i taczkarzy zasiłił pułk żołnierzy. Koloniści skarżyli się, że urzędnicy królewscy zmuszają ich do pracy bez zapłaty i ponad to, co wynikało z umowy osadniczej.

– **Warunki pracy też musiały być trudne.**

– Przede wszystkim dlatego brakowało chętnych do pracy. „Kiedy dotarliśmy do oznaczonego miejsca, zobaczyłem pracujących ludzi, którzy stali po kolana w wodzie” – pisał szambelan duńskiego dworu królewskiego Friedrich Buchwald. – „Robotnicy pracowali tu często do pasa zanurzeni w wodzie, dlatego ze względów zdrowotnych prace te mogły być prowadzone jedynie w cieplejsze dni”.

– **Kto finansował roboty?**

– Gdy Franz Brenckenhoff rozpoczynał budowę Kanału Bydgoskiego, utworzył w Dreźnie kasę do spraw melioracji. Wpływały do niej fundusze królewskie i pieniądze z kredytów pobieranych na niski procent przez właścicieli gruntów. Jednak główne źródło finansowania stanowiły dotacje królewskie. Były to pieniądze przeznaczone na wykopanie kanałów i usypanie wałów wzdłuż Warty, wyprostowanie koryta rzeki i zmeliorowanie doliny od Skwierzyny do Kostrzyna, naprawy uszkodzeń i kolonizację.

– **Dlaczego Fryderyk Wielki dążył do ucywilizowania Nadwarcia?**

– Generałowie przekonali go, że jedyną drogą do zwiększenia znaczenia państwa, jest rozwój już słynnej w Europie armii, utworzenie jeszcze jednego pułku konnego w Nowej Marchii. Aby pułk powstał, były potrzebne konie, te mogli wyhodować i wykarmić koloniści na łąkach nadwarciańskich. Bo czego jak czego, ale pastwisk, łąk i siana tu nie brakowało. Przekonali króla, że w tanie siano z tych terenów będą mogły się zaopatrywać i pozostałe pułki pruskie.

– Do powstania pułku było potrzebne dowództwo i uzbrojenie, czego nie brakowało, konie i siano z nadwarciańskich łąk oraz żołnierze. O ludzi było najtrudniej, tym bardziej że wschodnia część krainy administrowanej przez Brandenburgię była nie tylko uboga, ale i ze względu na gęste lasy oraz tereny podmokłe rzadko zamieszkała.

– Dlatego król zdecydował się na kolonizację tych terenów, zresztą również Śląska i wschodnich Prus. W czasie swego blisko półwiecznego panowania Wielki Fryc założył dziewięćset kolonii, więcej niż sto powstało w dolinie Warty. Wedle jednych źródeł osiedliło się tu

prawie dziewięć tysięcy kolonistów, wedle innych liczba ta była dwa razy większa.

– Czy państwo pruskie miało z tego spodziewane korzyści?

– Radcy królewscy nie bez racji dowodzili, że pieniądze zainwestowane w budowę osiedli i werbowanie kolonistów szybko się zwrócają. Że jest to lepsza inwestycja długoterminowa niż składanie pieniędzy w banku. Wedle radców: im więcej ludzi będzie mieszkało w państwie pruskim, im ci ludzie będą zamożniejsi, tym większe podatki będą płacili do królewskiej kasy. Logiczne?

– Nie mam wątpliwości.

– Ja też.

– Mimo nadawania bagnistej ziemi na własność, ciąglego inwestowania przez skarb królestwa w drogi, kanały, budowę obwałowań Warty, nawet wspomagania przez państwo oświaty i Kościoła, koloniści nie czuli się tu jak na swoim. Pod koniec XVIII wieku wielu zaczęło się wybierać do Ameryki za chlebem, do nowej ziemi obiecanej.

– Gdy to dotarło do Poczdamu, król miał powiedzieć: „Nową Amerykę i wolność dam im nad Wartą”. Nakazał poszerzenie robót w delcie rzeki i zwiększenie kolonizacji. Wtedy zaczęły powstawać osady mające amerykańskie nazwy. Czy nadawali je urzędnicy królewscy, mam wątpliwości. Owszem, akceptowali je, ale najpierw powstawały one w głowach kolonistów, którzy dali się przekonać werbownikom. Gdy przyjechali na nadwarciańskie łęgi i zobaczyli te morgi bagien, te bezdroża ciągnące się aż po horyzont, gdy zaczęły im dokuczać komary i choroby charakterystyczne dla mokradeł, żalowali swoich decyzji. I chyba wtedy, jakby na ironię, nadwarciańskim osadom nadawali nazwy amerykańskich miast.

– Do naszych czasów przetrwała tylko jedna nazwa w pierwotnym brzmieniu: Malta, wieś w gminie Krzeszyce.

– Jeszcze w 1945 roku przyjezdny, który postanowił zobaczyć, jak wygląda ziemia po lewej stronie Warty, między Skwierzyną a Kostrzynem, mógł sądzić, że trafił do Ameryki. Quebeckiem był Boguradz, przysiółek Malty. Saratoga to Zaszczytowo. Tam, gdzie są

Marianki, przykucnął Maryland. Dzisiejsze Czubkowo było Savannah, Budzigniew – Hampshire, Ledargowo – Yorkstown, Przemysław – Louisa. Te kilka domów w Żabczynie koło Kostrzyna to dawna New Amerika, po Sążnicy, czyli New York i Sadowicach, które zwały się Floridą, pozostały ruiny w zaroślach. Koszęcin w gminie Deszczno był Philadelphią, Polne w gminie Słońsk – Pensylwanien, a przysiółek Kuczyno – Anapolis. Pojawiły się też nieliczne nazwy nieamerykańskie, na przykład, Jamajka to Jamno, Ceylon – Czaplin, Sumatra – Sumice, Korsika – Kosarzewo.

– W 1946 roku, gdy niemieccy mieszkańcy tych miejscowości zostali wysiedleni, rządowa komisja zmieniła niemal wszystkie poprzednie nazwy na inne, czasem starostwiankie, w większości nieuzasadnione. Krępiny w gminie Krzeszyce były Neu Dresden, co wyjaśniało, że we wsi mieszkali osadnicy z Saksonii. Dzisiejszy przysiółek Piskorzewo, należący do Krasnołęgu, koloniści z Wirtembergii nazwali Stuttgartem. Ulrika stała się Niemścinem, Altona – Szamarzewicami. Czy dociekał Pan, dlaczego polska komisja zmieniła również amerykańskie terminy na niewiele wyjaśniające nazwy?

– Większość miejscowości w delcie Warty nie miała polskich odpowiedników, ponieważ powstały one w czasach Fryderyka Wielkiego i jego następców. Rządowa Komisja Ustalania Nazw Miejscowości znalazła się w trudnym położeniu, mogła je nazwać dowolnie lub metodą kalki językowej. Najwięcej szczęścia miała Malta, którą komisja pozostawiła w dawnym brzmieniu. O odrobinie szczęścia mogą mówić Marianki, które były Marylandem. Pozostałym wsiom komisja wyrządziła wiele szkody, odbierając pierwotne, atrakcyjnie brzmiące miana. To samo dotyczy kanałów, wzniesień i innych miejsc fizjograficznych. Albo, czego nie rozumiem, wymazywania z historii nazwisk tutejszych bohaterów.

– Wnioski komisji usprawiedliwia niespokojny czas powojenny i oczekiwania polityków. Chociaż nie zawsze rugowała niemieckie nazwy. Na przykład Barlinek po wojnie był Berlinkiem, czyli wiernie przełożono niemiecką nazwę Berlinchen. Wedle tej samej metody Neusalz stała się Nową

Solą, Rothenburg – Czerwieńskiem, Neustädte – Nowym Miasteczkiem...

– To historia. Mnie wręcz drażni to, co się stało na łęgach nadwarciańskich w ostatnim półwieczu.

– **Czy ma Pan na myśli utworzenie parku narodowego?**

– Decyzję rządu powołującą park uważam za rozsądną. Mnie drażni ta znikoma troska tak administracji gmin, jak i samych mieszkańców o kanały, rowy, jazy, śluzy, o to wszystko, co zbudowali Niemcy, co pozostawili po sobie koloniści i ich potomkowie. Jeśli nic się nie zmieni, tu, nad dolną Wartą, niedługo nie będzie śladów po Nowej Ameryce.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Park Narodowy „Ujście Warty”

Położony w Kotlinie Gorzowskiej powstał 1 lipca 2001 r. Zajmuje 8074 hektary łąk i pastwisk, turzycowisk i trzcinowisk. Przez jego środek płynie Warta.

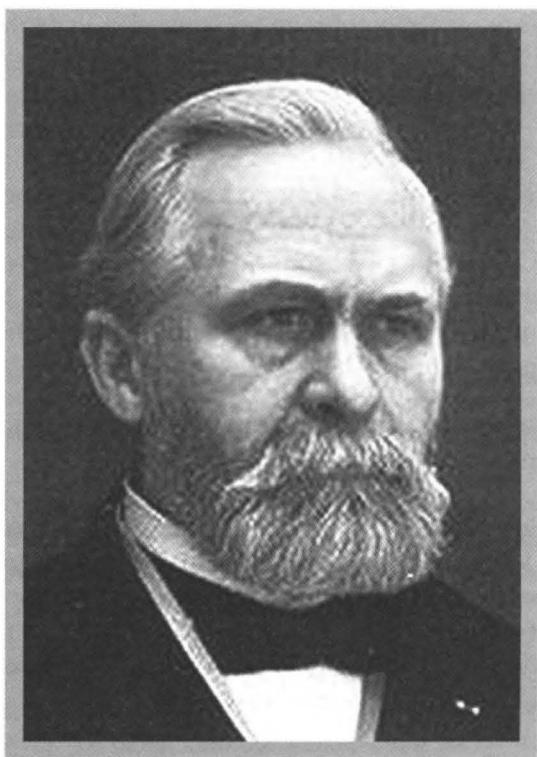
Stwierdzono tu około 500 gatunków roślin. Spośród objętych ochroną całkowitą występują m.in. kukułki krwiste, listery jajowate, arcydzięgle litwory, nasięźrzały pospolite, salwinie pływające, włosieniczniki wodne i skąpopręcikowe. Największe obszary zajmują szuwary z dominującymi mózgami trzcinowatymi, mannami mielec, turzycami zaostrzonymi, rzepichami ziemnowodnymi.

W kanałach i płytkich starorzeczach można spotkać zbiorowiska rzęs garbatych i spirodelli wielokorzeniowych, a w głębszych zbiornikach stojącej wody rozwijają się zespoły lilii wodnych, grzybieni białych i grążeli żółtych. Tam, gdzie poziom wody jest stabilny, rosną jesiony, olsze i olsy oraz wierzby szare. Wierzby wiciowe i trójpręcikowe dominują na terenach zalewowych.

W parku żyje 11 gatunków płazów, m.in. żaby trawne i moczarowe oraz ropuchy szare. Gady reprezentują zaskrońce, padalce, jaszczurki zwinki i jaszczurki żyworodne. To środowisko 39 gatunków ssaków, m.in. jeleni i saren, dzików, piżmaków, szopów praczy, karczowników zimnowodnych. W wodach parku pływa 35 gatunków ryb, wśród nich objęte ścisłą ochroną różanki, kozy, ślize, słonecznice i piskorze.

Park jest nazywany republiką ptasią. Zaobserwowano w nim ponad 270 gatunków ptaków, z czego lęgi stwierdzono u więcej niż 170 gatunków. Kilkanaście z nich figuruje w *Czerwonej księdze zwierząt*, np. bączek, ohar, cyraneczka, mewa mała, kulik wielki. Spośród 190 gatunków ptaków wymienionych w *Dyrektywie ptasiej*, w parku stwierdzono obecność 64. Są to ptaki lęgowe w tym miejscu, np. bąki, ślepowrony, derkacze, kropiatki, rybitwy czarne i białoczelne, wodniczki, jak i przebywające tu w okresie migracji, np. siewki złote i błotniaki zbożowe, a także zimujące – łabędzie krzykliwe i czarnodziobe. Jesienią przebywa tu 60-80 tys. gęsi. Bywało, że w Ujściu Warty odnotowywano po 250 tys. ptaków jednego dnia.

Park można zwiedzać, najlepiej poruszając się po wytyczonych szlakach turystycznych: żółtym (Dąbroszyn – Gostkowice, 12,3 km) i czarnym (Kostrzyn-Warniki – tzw. Śluza). Można też chodzić po ścieżkach przyrodniczych: Ptasim szlakiem, Mokradła, Na dwóch kółkach przez polder północny i Olszynki.



*Wilhelm Julius Foerster – zdjęcie ze strony
www.en.wikipedia.org/wiki/Wilhelm_Julius_Foerster*

Wilhelm Julius Foerster

Urodził się 16 grudnia 1832 w Grünberg (pol. Zielona Góra), zmarł 18 stycznia 1921 r. w Bornim koło Poczdamu. Studiował matematykę i astronomię w Berlinie oraz astronomię w Bonn. W 1855 r. rozpoczął pracę w Królewskim Obserwatorium Astronomicznym w Berlinie, którym kierował od 1863 do 1903 r., z przerwą na sprawowanie funkcji rektora berlińskiego uniwersytetu. Przewodniczył Międzynarodowemu Komitetowi Miar i Wąg w Paryżu. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymał w 1874 r. Był doktorem honoris causa Uniwersytetu w Oxfordzie. Jako astronom badał planetoidy, komety i zaćmienia gwiazd.

GOŚĆ Z KOSMOSU

Rozmowa z prof. dr. hab. Wilhelmem Foersterem,
astronomem

– Czy pamięta Pan, co się działo 22 marca 1841 roku w Zielonej Górze, kiedy do miasta dotarła wiadomość o gościu z nieba, który pojawił się nieopodal Wilkanowa, wtedy noszącego nazwę Wittgenau?

– Pewnie pyta pan o meteoryt, który spadł na pole należące do kolonii Heinrichau (pol. Wilkanówko)?

– Tak, Panie Profesorze.

– Ów gość występuje pod wieloma określeniami. Najczęściej bywa nazywany meteorytem Grünberg, czyli zielonogórskim, od największego miasta w pobliżu, albo Heinrichau, czyli wilkanowskim, od nazwy wsi, do której należał przysiółek. W literaturze spotykałem też określenia: Grüneberg, Gruneberg, Zielonagóra, Zielona Góra, Seifersholz, Schloin.

– Co zielonogórzanie mówili o gościu z nieba?

– Nie miałem jeszcze dziewięciu lat, więc nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Więcej mógłby powiedzieć mój ojciec Friedrich Gottlob. Pamiętam jak przez mgłę, że następnego dnia po kolacji, kiedy jeszcze cała rodzina siedziała przy stole, mama spytała ojca, czy słyszał o czymś, co wczoraj spadło z nieba na zachód od miasta. Ojciec przytaknął i powiedział, że dwa kwadransy na czwartą po południu fornale pracujący na polu w obrębie

kolonii Heinrichau usłyszeli coś, co przypominało im wystrzał armatni. Boże Najwyższy, wojna! przerwała ojcu pani Klosse, która prowadziła nasz dom i obsługiwała przy stole. I pewnie coś dodała o karze za grzechy.

– A nie uznała tego za znak apokaliptyczny, za zbliżający się koniec świata?

– Pani Klosse jak większość luteran znała Biblię na wylot. Czy uznała to już za proroctwo świętego Łukasza, tego nie wiem. Onże napisał, „Będą znaki na słońcu i księżycu, i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy. Ludzie mdleć będą ze strachu w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi. Albowiem moce niebios zostaną wstrząśnięte”.

– Według świętego Mateusza: „Zaraz też po ucisku owych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte”. W kronice zielonogórskiej nie spotkałem choćby wzmianki o czymś takim.

– Obaj przywołaliśmy teksty ewangeliczne. Pani Klosse identycznie jak moja matka, ojciec, siostry i bracia, szczerze wyznawała wiarę Chrystusową. To oznaczało, że każde z nas na co dzień starało się postępować wedle wskazań Biblii, wierzyło w Sąd Ostateczny i zbawienie. Mimo iż wierzyliśmy w Boga Najwyższego, chyba nikt spośród nas nie pomyślał, że to znak nadchodzącego końca świata.

– Znawcy, badacze Biblii uważają, że jest ona książką niedoskonałą...

– Biblii nie można czytać literalnie. Takie odczytywanie jej treści nie ma sensu, bowiem wtedy jest ona książką omylną czy, jak pan powiedział, niedoskonałą.

– Wróćmy na pole nieopodal Wilkanówka, należące do dóbr Radomia.

– Jak już powiedziałem, fornale pracujący tamtego popołudnia na polu opowiadali, że usłyszeli jakby wystrzały armatnie.

– Może to były grzmoty?

– Po latach nawet małe wydarzenie otacza się legendą. Może więc to były grzmoty, chociaż jako obserwator wszechświata nie dopuszczam takich zjawisk już drugiego dnia kalendarzowej wiosny. Do myślałam się, że do uszu ludzi dotarły świsty wydawane przez odłamki skalne spadające z ogromną prędkością. Opowiadano, że owe gwizdy niczym wystrzały armatnie słyszeli nie tylko fornale, lecz i mieszkańcy pobliskich wiosek. Odgłosy eksplozji dotarły także do Żagania, Sulechowa, nawet do Kozuchowa i Nowej Soli. W ukazujących się wówczas gazetach pojawiły się teksty, wedle których część ludzi słyszała poświsty przypominające dźwięki wydawane przez organy kościelne.

– Heinrich Pilz w kronice Zielonej Góry pisze, że „21 marca [1841 r.] po południu nieopodal pewnego dębu, z jasnego nieba z wielkim grzmotem, syczeniem i hukiem, który był słyszany również w Zielonej Górze, spadł dwukilogramowy meteoryt”.
– Pilz na pewno myli się w sprawie dnia i wagi tego, co spadło. Informacji o reszcie tego zapisu nie mam odwagi podważać.

– Co więc spadło?

– Fornale natychmiast pobiegli w kierunku miejsca, gdzie coś upadło „z wielkim grzmotem, syczeniem i hukiem”. W ziemi był otwór, w nim na głębokości około piętnastu centymetrów, jak potem opowiadali, znajdowała się osobiwa w kształcie i wyglądzie bryła. Z początku bali się wyciągnąć ją na powierzchnię.

– Dlaczego?

– Proszę pozwolić mi skończyć. Jedni uważali ją za bardziej gorącą niż rozżarzone żelazo, drudzy za żywe stworzenie, które może ugryźć albo wbić się w ciało jak kolce jeża. Nie zachowała się informacja, kto pierwszy odważył się dotknąć tego, co spadło. Gdy to zrobił, stwierdził, że bryła jest zimna, więc ją wyjął.

– To była jedna bryła?

– Najpierw fornale znaleźli coś „nieopodal pewnego dębu”. Gdy się przekonali, że jest podobne do kamieni, jakie spotykali na brzegach strumyków, przypomnieli sobie, że przecież słyszeli kilka wystrzałów. W niedalekiej odległości od miejsca, gdzie znaleźli pierwszą

bryłę, natknęli się na jeszcze jedno znalezisko, również przypominające kamień tkwiący długo w darni łąkowej. Opowiadano, że uważany za gorliwego miłośnika przyrody, zielonogórski aptekarz Weinmann na własną rękę penetrował pola i lasy w pobliżu miasta. Udało się to rolnikowi, który na ugorze pomiędzy wsiami Heinrichau i Schloin (pol. Słone) miał znaleźć trzecią bryłkę, podobną do dwu pierwszych.

– Ma Pan wątpliwości co do trzeciego znaleziska?

– Moje obiekcje są wynikiem wnikliwej analizy przekazów o tym wydarzeniu. Część kronikarzy odnotowała dwa znaleziska, część, tych jest wyraźnie mniej, trzy. Niektórzy przypuszczają, że bryła znaleziona przez rolnika po 22 marca, ważąca sześć uncji i półtorej drachmy, czyli niemal 172 gramy, to jedna z dwu znalezionych przez fornali.

– Pogubiłem się, Panie Profesorze. Ile skamielin spadło na pole koło Wilkanowa?

– Wedle większości faktografów i w miarę rzetelnych notatek w gazetach: dwie. Wedle mniejszości kronikarzy i aptekarza Weinmanna: trzy. A może i więcej.

– Więcej?

– Badacze sugerowali, że koło Grünbergu spadły odłamki większej całości, która nad ziemią rozkruszyła się na wiele części. Zdaniem znawców, przed rozkruszeniem się bryła mogła ważyć nawet kilogram albo i więcej.

– Ile ważyły bryłki zielonogórskie?

– Większa miała 757,5 grama, mniejsza, jak powiedziałem, niemal 172 gramy. O trzeciej, której znalezienie aptekarz Weinmann przypisywał nieznanemu z nazwiska rolnikowi, wolę nie mówić.

– Dokąd trafiło znalezisko?

– W królestwie pruskim, w którego granicach od 1741 roku leżał Grünberg, był nadzwyczajny porządek administracyjny. Nawet dziecko wiedziało, że o znalezieniu czegokolwiek należy powiadomić miejscowego policjanta, nauczyciela albo pastora. Dlatego,

na przykład, złoty skarb scytyjski z Vetttersfelde (pol. Witaszkowo) w całości nie dostał się w ręce handlarzy, tylko trafił do muzeum w Guben (pol. Gubin). Figurka antropomorficzna, wykopana na cmentarzysku kultury lużyckiej w pobliżu Dechsel (pol. Deszczno), znalazła się w muzeum archeologicznym w Berlinie. Wiadomość o naszym znalezisku dosłownie lotem błyskawicy obiegła okoliczne miejscowości. Ukrycie bryłek lub zatrzymanie ich, na przykład, w magistracie czy na plebanii było niemożliwe. Zgodnie z przepisami dotyczącymi postępowania w takiej sprawie, przewieziono je do Berlina.

– **A tam badacze stwierdzili, że jest to...**

– ... meteoryt. Opisali go jako szary żyłkowy chondryt, składający się głównie z oliwinu i piroksenów.

– **Tylko tyle?**

– Największą bryłkę otrzymał berliński uniwersytet. Mniejsza, o wadze 63,48 grama trafiła do Muzeum Mineralogicznego wrocławskiego uniwersytetu. Drobne cząstki pojechały do czterestu ośrodków badawczych, między innymi do Bukaresztu, Chicago, Kalkuty, Londynu, Watykanu, Wiednia.

– **Po maturze rozpoczął Pan studia matematyczne i astronomiczne. Czy meteoryt zielonogórski miał wpływ na wybór kierunku studiów?**

– Matematyka, a może lepiej powiedzieć inżynieria, interesowała mnie od dziecka. Proszę pamiętać, że urodziłem się na początku wieku pary i elektryczności. Że mój ojciec należał do światowej elity właścicieli fabryk sukienniczych. Gdy przejął manufakturę od swego ojca Jeremiasa Sigismunda, stały tam już maszyny przędzalnicze, wymyślone w Anglii przez Jamesa Hargreavesa. Z tego samego kraju ojciec sprowadził krosna mechaniczne. Bywając w fabryce, zachodziłem w głowę, gdzie się ukrył ten, który porusza mechanizmy. Jak to możliwe, aby maszyna była dokładniejsza od człowieka? Dlaczego krosna przesuwają się rytmicznie z wprost idealną prędkością? I tak dalej. Gdybym był najstarszym synem, pewnie ojciec przygotowywałby mnie na swego następcę. Urodziłem się jako drugi w rodzinie, chociaż w tym samym roku co pierworodny Friedrich

Gottlob Sigismund. Brat był ze stycznia, ja z grudnia. Wedle niepiśanego prawa majątek rodowy należy pomnażać, a nie rozdrabniać między potomkami. Dlatego właśnie musiałem zająć się czymś innym. Wbrew sugestii ojca, który widział we mnie inżyniera albo bankiera, ale za jego zgodą podjąłem studia astronomiczne na uniwersytecie w Berlinie.

– Spytałem, czy na wybór tego kierunku miał wpływ meteoryt zielonogórski.

– Gdybym zaprzeczył, byłoby to kłamstwo. Tak się złożyło, że cztery lata po znalezieniu owego meteorytu coś podobnego spadło koło Züllichau (pol. Sulechów). Sześć lat później mój najbliższy świat obiegła wiadomość o znalezieniu ogromnej bryły w Seeläsgaen (pol. Przelazy). Młodego człowieka, który zastanawiał się nad tym, czym ma się zająć, naprawdę to fascynowało i pobudzało zainteresowanie.

– Słyszał Pan o kraterach pozostawionych przez meteority około pięciu tysięcy lat temu w przypoznańskim Morasku?

– Jeszcze jedna sensacja, tym bardziej że owe miejsce odkrył niemiecki żołnierz podczas budowy umocnień wojskowych dopiero w 1914 roku. Mimo iż nie byłem już dyrektorem obserwatorium w Berlinie, namówiony przez kolegów astronomów pojechałem pod Poznań. Obejrzałem wiele miejsc zaznaczonych przez spadające bryły, ale czegoś tak fascynującego moje oczy wcześniej nie widziały, a miałem już osiemdziesiąt dwa lata. Sceneria jak z innego świata, jak z arcydzieł Goi. Wydobyta wtedy bryła została przewieziona do berlińskiego obserwatorium i poddana badaniom.

– Panie Profesorze, skąd spadają meteoryty?

– Najprostsza odpowiedź jest taka: z nieba.

– Aha, z nieba. Kto więc je zrzuca?

– To, co za chwile powiem, będzie trochę zawile, ale pan nie ma innego wyjścia, jak tylko uwierzyć, że nasz Układ Słoneczny powstał około pięciu miliardów lat temu. Formował się z pyłu i gazu. Ich drobinki łączyły się w drobiny, te z kolei w coś większego. A gdy się połączyły, to się topiły i krystalizowały w kuleczki, które

zderzały się i się rozkruszały albo zespały w bryłki. Te bryłki to chondryty, które w dalszej kolejności łączyły się w większe obiekty, zwane planetami. Jako pierwszy uformował się Jowisz. Co ważne, nie pozwalał on najbliższym sobie chondrytom łączyć się w większe bryły.

– **Dlaczego?**

– Pomiedzy orbitami Jowisza i Marsa znalazło się bardzo dużo obiektów skalnych. Niektóre mają średnicę przekraczającą tysiąc kilometrów. Są to meteoroidy. Nieustannie krążą, czasem wypadają ze swoich orbit i wtedy zderzają się z innymi oraz, uwaga, wyrzucają w przestrzeń odłamki skalne...

– **...które spadają na naszą planetę.**

– Bardzo dobrze.

– **To są meteoryty.**

– Odpowiedź celująca. Byłaby ona wprost idealna, gdyby pan powiedział, że meteoroid to część ciała niebieskiego, którą człowiek może wziąć do ręki.

– **Dziękuję za pochwałę.**

– Nie wszystkie odłamki skalne docierają na naszą planetę. Ponieważ spadają one z zawrotną prędkością, rozgrzewają się, więc te większe zaczynają się topić od środka, co powoduje, że cięższe pierwiastki przedostają się do centrum bryły, lżejsze zaś przemieszczają się na jej powierzchnię. Bywa, że nad naszą planetą rozpadają się na kawałki. Największe z nich złołią kraterę w ziemi, mniejsze robią zagłębienia jak ten koło Heinrichau.

– **Gdyby meteoroid zielonogórski spadł nie po południu, nie w pobliżu pracujących ludzi, pewnie nigdy nie zostałby odnaleziony.**

– Albo zostałby odnaleziony przez grzybiarza czy zbieraczkę jagód i potraktowany bez specjalnego zainteresowania. Albo, jak to się stało w 1908 roku w środkowej Syberii, nad rzeką Podkamienna Tunguska, przyciągał badaczy z całego świata, którzy na razie nie potrafili określić, co spowodowało katastrofę. Identycznie sprawa

wygląda w Morasku, gdzie uczeni nie są zgodni co do okoliczności powstania kraterów.

– Czy meteoryty: zielonogórski, sulechowski i przełazki spowodowały, że do miasta zaczęli zjeżdżać geolodzy, mineralodzy, astronomowie, geofizycy? Czy znaleziska miały wpływ na przemiany społeczne w Zielonej Górze?

– Nie potrafię powiedzieć, jakie było zainteresowanie badaczy berlińskich i wrocławskich tą sprawą tu, na miejscu. Z pewnością uświadomiło mieszkańcom, że można to wykorzystać do promocji miasta. Jeszcze zanim meteoryty spadły na okoliczne pola, mój ojciec zainicjował powstanie obywatelskiego stowarzyszenia miłośników rozwoju Grünbergu. Należeli do niego niemal wszyscy właściciele fabryk, kupcy, winoogrodnicy, nauczyciele, medycy, aptekarze. Sprawilo, że główne ulice kryły się w zieleni, skwery dawały cień i wytchnienie, a mocno zaniedbane winnice odzyskały dawny urok. I ono też, gdy przycichła wrzawa wokół meteorytów, z inicjatywy mojego ojca postanowiło zbudować wieżę widokową.

– Ma Pan na myśli wieżę nieopodal Wilkanowa, z której przy dobrej pogodzie można zobaczyć kominy huty w Głogowie?

– Przywołał pan wieżę postawioną w 1902 roku ku chwale kancлера Ottona von Bismarcka, który zjednoczył Niemcy. Została ona zbudowana z inicjatywy rzemieślników i winiarzy na najwyższym wzniesieniu w okolicy, czyli Meisberg (pol. Góra Wilkanowska). Takich wież, na pierwszy rzut oka identycznych, stanęło sporo na Środkowym Nadodrzu, bo i w Guben (Gubin), i w Sorau (Żary), i w Sagan (Żagań), i w Glogau, (Głogów), i w Fraustadt (Wschowa), i w Swiebus (Świebodzin), i w Drossen (Ośno Lubuskie). W Grünbergu, na szczycie wzgórza potocznie zwanego Halbmelmühle, stowarzyszenie postanowiło zbudować wieżę, w której będzie restauracja i winiarnia. Najpierw ogłoszono konkurs na nazwę tego miejsca, zwyciężyło określenie Grünbergshöhe (pol. Wzgórze Zielonogórskie). I chociaż nazwa ta przyjęła się w urzędowym języku, uruchomiony w 1860 roku obiekt mieszkańcy nazwali Keulenrondel (rondel z maczuga).

– Była to wyłącznie restauracja z winiarnią?

– Obiekt powstał za pieniądze zebrane przez członków stowarzyszenia upiększania miasta, którym z jednej strony zależało, aby Grünberg przyciągał turystów, z drugiej chcieli odzyskać włożony kapitał i zarobić na kolejne inwestycje. Dlatego prowadzeniem lokalu zajął się najlepszy w mieście restaurator August Pall i, trzeba mu to oddać, w błyskawicznym tempie wieża stała się popularna. Miejscowi fabrykanci i kupcy najczęściej tam świętowali udane kontrakty.

– **Czy Pan bywał w restauracji?**

– Mimo iż mieszkałem w Berlinie, bardzo lubiłem wracać do Grünbergu. A gdy już byłem w ojczystych stronach, najpierw ojciec, potem brat pokazywali mi to, co przybyło i co ich radowało. Proszę pana, Grünberg końca XIX i początku XX wieku był uroczym miastem parków i ogrodów, alei przemyskających pod zadbanymi drzewami, gustownie urządzonych kawiarenek i restauracji. Co prawda, dobiegała końca epoka wina wytwarzanego tradycyjnymi metodami, ale zaczynały się czasy koniaków, likierów, piwa, kawy i wykwinnego jadła. Zdawał sobie z tego sprawę Pall, który, aby przyciągnąć gości, na wieży nad restauracją urządził punkt widokowy. Gdy byłem tam pierwszy raz, pochwaliłem go za to i podpowiedziałem, aby zrobił w tym miejscu małe obserwatorium astronomiczne, na początek z lunetami. Ludzie bardzo lubią oglądać to, co jest wysoko nad nimi. Potrafię usmażyć sznycel, upiec strudel, uwarzyć piwo, ale nie znam się na gwiazdach. W takim razie... pomogę, powiedziałem trochę na wyrost.

– **Dziś budowla ta zwie się Wieżą Braniborską. Mieści się w niej Instytut Astronomii Uniwersytetu Zielonogórskiego i obserwatorium wyposażone w teleskopy do śledzenia tego, co się dzieje na niebie.**

– W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że w moim rodzinnym mieście powstanie obserwatorium uniwersyteckie... Jak powiedziałem, podczas rozmowy z Pallem trochę na wyrost złożyłem obietnicę udzielenia pomocy w urządzeniu obserwatorium amatorskiego. Ale to było słowo profesora z Berlina, syna cenionego fabrykanta, założyciela kasy chorych i kasy opieki emerytalnej, autora kroniki miasta. Nie mogłem się wycofać.

– I dotrzymał Pan danego słowa?

– W październiku 1887 roku teleskopy już stały na wieży, raz w tygodniu można było przez nie obejrzeć sklepienie niebieskie. Takiego zainteresowania mieszkańców miasta i okolicznych miejscowości się nie spodziewałem. Wzrosło ono jeszcze bardziej po moim wykładzie na temat komet i gwiazd.

– W kronice Zielonej Góry natknąłem się na informację o wizycie Sophusa Trombolta, norweskiego astronoma i matematyka z uniwersyteckiego Bergen.

– W grudniu 1888 roku doktor Trombolt przyjechał do Berlina badając na posiedzenie komisji metrycznej albo na zaproszenie kierowanego przeze mnie obserwatorium. Opowiedziałem mu o meteorach, które spadły w okolicach mojego rodzinnego miasta, a on rzekł, że chętnie zobaczy te miejsca. Podróż odbyła się w styczniu 1889 roku, Norweg nie tylko obejrzał interesujące go miejsca, lecz i wygłosił kilka prelekcji na temat zorzy polarnej i magnetyzmu ziemskiego. Mój starszy brat, który wysłuchał wystąpień doktora Trombolta, twierdził, że spotkały się one z ogromnym zaciekawieniem mieszkańców. Wiadomość o prelekcji norweskiego uczzonego musiała dotrzeć do Breslau. Ktoś z tamtejszych badaczy nieba uczestniczył w spotkaniach z doktorem Tromboltem i nawet wdał się z nim w polemikę.

– Czy zgodzi się Pan Profesor ze mną, że okolice Zielonej Góry mają jakiś magnetyzm? Spośród siedemnastu miejsc w Polsce, gdzie znaleziono meteoryty aż cztery z nich znaleziono na Środkowym Nadodrzu. W Żaganiu mieszkał Johann Kepler. Pan, wybitny badacz planetoid, komet i gwiazd, przyszedł na świat w Zielonej Górze. Tu, w 1989 roku powstało Zielonogórskie Centrum Astronomii, które urosło do rangi uniwersyteckiego instytutu astronomicznego z obserwatorium. Instytut zatrudnia trzynastu profesorów i doktorów oraz jako jeden z pięciu w Polsce kształci badaczy nieba. Doktorem honoris causa Uniwersytetu Zielonogórskiego jest profesor Uniwersytetu Harvarda Owen Gingerich, propagator astronomii kopernikańskiej i keplerowskiej.

– Nawet w najskrytszych, najbardziej nieprawdopodobnych marzeniach nie przypuszczałem, że moje miasto, gród winnic i sukieników, stanie się ośrodkiem uniwersyteckim. Że doczeka się stu profesorów tytularnych i niemal trzystu innych samodzielnych pracowników nauki. Że nie będzie tylko znakiem na naukowej mapie świata.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuskie meteoryty

W Polsce jest siedemnaście miejsc, gdzie spadły meteoryty. Cztery spośród nich są na Środkowym Nadodrzu.

Przełazy – wieś w gminie Lubrza, w powiecie świebodzińskim

Okolo 1847 r. niemiecki rolnik z Seeläsgaen (pol. Przełazy) podczas kopania rowu melioracyjnego natknął się na coś, co na pierwszy rzut oka przypominało masę żelaza. Bryłę ważącą 102 kilogramy sprzedał handlarzowi złomem, a ten, uważając, że jest to coś cennego, zainteresował nią mineralogów w Breslau (pol. Wrocław). Tam bryłę sklasyfikowano jako meteoryt, zaliczając go do deszczu grupy Morasko. Wedle Jerzego Pokrzywnickiego, jest to meteoryt żelazny, oktaedryt gruboziarnisty. Bryła została pocięta na siedemdziesiąt kawałków i przekazana do kolekcji na całym świecie. W internecie można spotkać informację, że od 2000 r. poszukiwacze znajdują w Przełazach meteoryty ważące nawet po kilka kilogramów.

Sulechów – miasto w powiecie zielonogórskim

Jak podaje Jerzy Pokrzywnicki, znaleziony tu meteoryt nie występuje w żadnym katalogu. Badacz odkrył go w 1954 r. zbiorach Uniwersytetu Wrocławskiego. Twierdzi, że jest to fragment meteorytu, jaki spadł wczesnym rankiem 20 stycznia 1845 r. koło Züllichau (pol. Sulechów). Nie wiadomo, kto i kiedy dostarczył bryłę do Wrocławia. J. Pokrzywnicki powołuje się na niemiecką notatkę z 1854 r., z której wynika, że odłamek znalazł się we Wrocławiu za pośrednictwem zielonogórskiego aptekarza Weinmanna. Jest to meteoryt żelazny, heksaedryt.

Dąbrowa Łużycka – wieś w gminie Przewóz, w powiecie żarskim

J. Pokrzywnicki nie ma pewności, czy chodzi o tę miejscowość. Wedle zapisków, meteoryt spadł rankiem 6 marca 1638 r. koło wsi Dubrow. Miejscowości o takiej nazwie było kilka. Powołując się na dawne zapiski, „w czasie archiwalno-bibliotecznych poszukiwań w Warszawie”, Krakowie i Wrocławiu badacz doszedł do wniosku, że meteoryt mógł ważyć nawet 52 kg (2 talenty). Miał on kształt misy, był kruchy, usiany gruzelkami metalu. Nie wiadomo, co się z nim stało.



Otto Bierbaum – zdjęcie z archiwum Haliny Bohuty-Stapel

Otto Julius Bierbaum

Urodził się 28 czerwca 1865 w Grünberg (pol. Zielona Góra), zmarł 1 lutego 1910 r. w Kötzschenbroda koło Drezna. Studiował w Berlinie, Monachium, Lipsku i Dreźnie. Tam też pracował jako prozaik, poeta, autor tekstów satyrycznych, dramaturg, dziennikarz, reportażysta i tłumacz. Zaprzyjaźniony ze Stanisławem Przybyszewskim, uczynił go bohaterem powieści *Prinz Kuckuck*. Związany z cyganerią berlińską, należał do najpopularniejszych twórców swojej epoki.

MUZY GOETHEGO

Rozmowa z Ottonem Bierbaumem,
poetą i pisarzem

– Czy kobiety mają wpływ na to, co piszą ludzie pióra?
– Mają, tyle że nie zawsze, nie wszędzie i zdecydowanie nie wszystkie.

– A które?

– Jedynie te, w których poeci się kochają na zabój albo których nienawidzą. To drugie zdarza się rzadko.

– Pana też to dotyczyło?

– Pierwszy raz zakochałem się w połowie gimnazjum. Już mi się wysypały wąsy, wiedziałem, co dziewczyny mają tam, gdzie nam, chłopcom, dyndają siusiory i że bocian nie przynosi dzieci. W szkole, na ulicy, nawet w kościele myślałem tylko o Johannie, w nocy długo nie mogłem zasnąć. Nie miałem wątpliwości, że Johanna jest najcudowniejszą dziewczyną w Grünbergu. Codziennie czekałem na nią przed szkołą, w kościele siadałem tak, aby mnie widziała, a ona nawet nie zerknęła w moją stronę. Potwornie cierpiałem z tego powodu, o czym próbowałem zawiadomić świat atramentem na papierze. Pierwszym wierszem, który dla niej ułożyłem była koślawka oda. Potem, wzorując się na Andreasie Gryphiusie, zacząłem pisać sonety, gdy niemal je skończyłem, zagadnęła mnie Catharina, córka piekarza. Szybko doszedłem do wniosku, że jest jeszcze cudowniejsza niż Johanna i nie mieszka aż na końcu miasta, bo przy

Postplatz (pol. plac Pocztowy), a to kilka minut piechotą od naszej kamienicy. I wtedy bohaterką sonetów, które zacząłem pisać dla Johanny, uczyniłem Catharinę.

– W której części Grünberga stała kamienica Pana rodziców?

– Ojciec oddziedziczył cukiernię po swoim ojcu. Mieszkanie zajmowało pierwsze i drugie piętro, do cukierni i pijalni kawy wchodziło się wprost z Johannis Strasse (pol. ul. Kupiecka).

– Gdyby nie wybrał się Pan na studia, czy zostałby cukiernikiem?

– W naszym domu, jak w porządnej niemieckiej rodzinie, najważniejszą osobą był ojciec. Tyle że on o niczym nie decydował. Mama postanowiła, że firmę przejmie mój młodszy brat, któremu kazała uczyć się fachu cukiernika pod okiem ojca. Mnie uznała za nieodpowiedzialnego zgrywusa, dlatego jej zdaniem powinienem skończyć jakieś studia, najlepiej muzyczne albo prawnicze, i potem się zobaczyć. Jeśli głupoty wywietrzeją ci z głowy, zostaniesz referendarzem, komornikiem, rejentem, a może nawet mecenasem lub sędzią, powiedziała całkiem poważnie, bo ona nigdy nie żartowała. Albo komediantem, dodał ojciec i skarcony wzrokiem mamy umknął do cukierni.

– Naprawdę interesowało Pana prawo?

– Tak samo jak filozofia, sinologia, literatura, dziennikarstwo, automobilizm czy satyra. Kończąc gimnazjum nie wiedziałem, gdzie i co będę studiował. Po wypiciu kilku kieliszków wina powiedziałem, że chciałbym być dyplomatą na Dalekim Wschodzie, najchętniej w Chinach lub Mongolii. Przypadek sprawił, że zapisałem się na uniwersytet berliński, ale niedługo potem wysiadłem z pociągu w Dreźnie, a jeszcze później w Lipsku. Niespokojny duszek dekadencji kazał mi nawet jechać do Monachium.

– Zielonogórski historyk Jerzy Piotr Majchrzak podaje, że w 1871 roku Pana rodzice sprzedali cukiernię i wyjechali do Berlina. Miał Pan wtedy zaledwie sześć lat.

– Boże, jak ten czas leci.

– Profesor Majchrzak dodaje, że kiedy osiągnął Pan sławę i rozgłos, magistrat grünberski słał zaproszenia do Lipska i Drezna, ale Pan nie odpowiadał na nie.

– A kto pierwszy przyjeżdżał na winobranie i wyjeżdżał ostatni? Kto ostatni wychodził z winiarni Dehmela i na niepewnych nogach szedł do Café Kaiserkrone? Kto nie raz wysyłał swój tekst do „Grünberger Wochenblatt”, kiedy uważał, że ma coś atrakcyjnego do przekazania? A jeszcze lepiej zabawnego.

– Historycy kabaretu uważają Pana za prekursora tej formy sztuki widowiskowej.

– Proszę Pana, satyrycznym spojrzeniem na świat obdarował mnie osobiście Stwórca. W domu rodzinnym powiadano, że jestem grubaskiem o oczach ufnego dziecka. Jako gimnazjalista chodziłem z kolegami na wygrzewające się w słońcu winnice, aureolą których Grünberg był okolony. Tam, z dala od nauczycieli, pastora i rodziców wygłupialiśmy się do woli, sprawdzając w międzyczasie, czy miejscowe napitki dorównują smakiem winom reńskim. To musiały być dobre lekcje humorystycznego widzenia świata, bo potem szło mi jak po maśle.

– Przecież wyjechał Pan z Grünbergu jako sześciolatek.

– Nie lubię, kiedy ktokolwiek mi przerywa.

– Chcę ustalić...

– Ponieważ moje oczy widziały najczęściej to, co gorzkie, ironiczne, co rodziło się ze spontanicznego kontaktu z ulicą, winiarnią, czego nie potrafili dostrzec inni, byłem panem sytuacji. Wzmacniając się winem, na poczekaniu pisałem kuplety, wierszyki satyryczne, teksty do śpiewania i co mi ślina przyniosła na język. Było to do śmiechu, wesoło i zabawnie. Inni mówili: o tym nie wypada, tego lepiej nie ruszać. A ja pisałem bez zahamowań. Co mi tam!... Im miałem więcej lat, tym częściej cisnęły się pod moje pióro erotyczne uwagi. Bawiłem się przy tym znakomicie.

– Ma Pan na myśli *Irrgarten der Liebe*?

– Sukces, jak Bożę kocham! Zazdrościło mi całe środowisko. Goethe pewnie w grobie z zazdrości się przewracał.

– Nawet i dziś rzadko bywa, aby zbiór wierszy kupiło co najmniej sto tysięcy Niemców, Austriaków, Szwajcarów, może i Polaków z Wielkopolski i Śląska. Tyłu zapłaciło za książkę, a przeczytało ją pewnie kilka razy więcej.

– Też tak uważam. Tylko niech pan nie pyta, co takiego było w tych utworach, że setki tysięcy czytelników zainteresowały moje miłosne rozterki, bo nie powiem.

– Skoro Pan nie chce ujawnić ich treści to ja wyjaśnię, że na 437 stronach znalazły się przede wszystkim utwory frywolne, miłosne, moralizatorskie. Ludzie lubią takie wiersze. Niektóre tak się spodobały Leopoldowi Staffowi, również synowi cukiernika, a przede wszystkim pocie trzech epok, że przełożył je na język polski.

– Nic o tym nie wiedziałem.

– Wracając do sztuki kabaretowej to wedle historyków literatury zredagował Pan i wydał zbiór swoich kupletów i najbardziej znanych autorów ze swojego otoczenia. Mówię o *Deutsche Chansons*.

– Udało mi się namówić kilkunastu kolegów od szklanki, rymowanek i śpiewanek, abyśmy wspólnie się zaprezentowali. Zbiór sprzedał się lepiej niż znakomicie. I przeszedł do historii światowego kabaretu.

– Historycy literatury zaliczyli Pana do największych XIX- i XX-wiecznych lirykopisarzy i autorów złotych myśli, które przetrwały do moich czasów.

– Uważałem, że najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości i pustą kieszeń jest dowcip. Humor polega na tym, aby śmiać się mimo wszystko. Tak przekonywałem ponuraków.

– „Piękno jest sensem istnienia świata”. To też Pan głosił.

– „Bo cóż mi tam niebo, wieczność i bóg? / Mam przecież ciebie. A chwila z tobą / Jest mi wiecznością. Gdy ręka moja / Gładzi krągłości twojego biustu, / Czuję że bliskim jest już boskości. / O, jesteś piękna – Piękno jest / sensem / istnienia świata. – Podziwiać piękno, / znaczy rozumieć świat”. To tytułowy *Irrgarten der Liebe*.

– Powiedział Pan również, że „Humor to gumowy miecz – pozwala trafić w sedno bez rozlewu krwi”.

– Akurat to powiedzonko urodziło się w mojej głowie wtedy, kiedy miłościwie nam panujący kajzer Wilhelm II uznał, że Niemcy muszą się zbroić, aby grać główną rolę w Europie, a jak się da, to i w świecie.

– Czy z tego powodu miał Pan kłopoty? Może policjanci nie dawali Panu spokoju?

– Kłopoty, mój panie, to miałem zawsze i wszędzie. Mówiono, że jestem hulaką, żyjącym barwnie, beztrosko. I zaraz dodawano, że jestem genialny i kiczowaty. Wielkoduszny i małostkowy. Solidny i niestały.

– Koledzy po piórze uważali Pana za autora, który nie oszczędził nawet własnego środowiska. W powieści *Stilpe* przedstawił Pan Bohemę berlińską, z czego nie było zadowolone otoczenie artystyczne. Podobno ci bardziej wyrozumiali usprawiedliwiali ten krok literacki nadużywaniem alkoholu.

– *Winoo, winoo, winoo, wino, ono na radost' nam dano*, śpiewał mój polski przyjaciel od kieliszka Stach Przybyszewski, kiedyśmy siadali w berlińskiej winiarni Pod Czarnym Prosiakiem. Urodziłem się w winnym grodzie, a nie w pokornym Bambergu czy bogobojnym Augsburgu. Nawet napisałem *Pieśń o młodym winie*.

– A moja znajoma Halina Bohuta-Stapel przełożyła ją na język polski.

– Jak brzmi po polsku?

– Mnie najbardziej podoba się ostatnia zwrotka. „Wlewajmy wino w nasze usta, / Pal lichy jesień, gdy rozpusta / Winna tumani głowę. / Hej, wiwat Stwórcu! Tyś jest wielki / Gdy wino wlewasz do butelki / I białe, i czerwone”.

– Ładne słowa. I mądrze brzmią.

– Biografowie podają, że był Pan, delikatnie mówiąc, wielbicielem płci pięknej. Potrafił zachwycać się dwiema kobietami

jednocześnie, nie mogąc się zdecydować, przy której pozostać.

– Czy tylko ja...? Miłość to jest trudna i poważna sprawa... Wziąłem przykład z geniusza poczciwej epoki romantyzmu – Johanna Wolfganga von Goethego. Mistrz z Weimaru napisał: „Życie bez miłości to czarodziejska latarnia bez światła”.

– Historycy literatury są zgodni co do liczby żon mistrza z Weimaru. Pogubili się, jeśli mowa o jego kochankach.

– Ale zgadzają się, że gdyby nie kobiety, a przede wszystkim Charlotta Buff, wielki Goethe nie napisałby takiego arcydzieła jak *Cierpienia młodego Wertera*. Potrafił kochać do szaleństwa i utraty tchu. Czy pan wie, że wśród jego muz były dwie moje krajanki?

– Pochodziły z Grünbergu?

– Pierwsza urodziła się w Guben (pol. Gubin), druga w Züllichau (pol. Sulechów).

– Co Pan wie o gubińskiej kochance autora *Fausta*?

– Corona Schröter była córką muzyka orkiestry wojskowej. Oznaczało to, że jej utalentowana rodzina często zmieniała miejsce zamieszkania. Corona uczyła się śpiewu w Lipsku. Mając czternaście lat wystąpiła na scenie. Wtedy dostrzegł ją dwudziestosześcioletni Goethe i po raz pierwszy się w niej zakochał.

– To znaczy, że był i kolejny raz?

– Orkiestra pułku, w której grał na oboju i waltorni pan Schröter, została przeniesiona z Lipska do Warszawy. Razem z głową rodziny przeniosła się Corona, szybko nauczyła się języka polskiego, a ponieważ była muzycznie utalentowana, świętowała sukcesy w warszawskich teatrach. Ale, jak to bywa, nieszczęścia chodzą parami, po śmierci Henryka von Brühla pułk został rozwiązany. Schröterowie wrócili do Lipska, a Corona znalazła pracę w teatrze książęcym w Weimarze, który prowadził Goethe. Nawiasem mówiąc, mający wówczas romans ze starszą od siebie o siedem lat Charlottą von Stein, matką siedmiorga dzieci.

– Który to był rok?

– 1786.

– **Wtedy odbyła się prapremiera *Ifigenii w Taurydzie*.**

– Tę sztukę Goethe napisał pod wpływem uczucia do Charlotty, jej przymiotami obdarowując główną bohaterkę. W roli Ifigenii obsadził Coronę Schröter, której cudowną grą wszyscy byli zachwyceni, wyłączając panią von Stein. Charlotta czuła, że Corona jest jej rywalką do serca kochliwego poety. Goethe zakochał się nie w scenicznej Ifigenii, a w Coronie, bo uważał, że lojalność nie ma żadnej szansy ze zdradą. Jak dobro ze złem. Kochał Coronę do szaleństwa i utraty tchu.

– **O względy urodziwej Corony Schröter zabiegało wielu przebywających na weimarskim dworze, wśród nich autor *Intrygi i miłości*...**

– Pewnie dlatego Friederich Schiller miał prawo obwieścić, że „Szaleństwo trwa krótko, a żal długo”.

– **Czy Corona odwzajemniała uczucia Goethego?**

– Z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, że nie osiągnęłaby sukcesu scenicznego, gdyby nie Goethe. Czy okazywała względy swemu patronowi? Kronikarze milczą na ten temat. Zresztą życie wśród artystów przy dworze książęcym nie odpowiadało jej, w dodatku zaczęła chorować najpierw na gardło, potem na płuca i wycofała się z teatru. Zmarła w 1802 roku, wedle jednych w leśniczówce koło Weimaru, wedle drugih w Ilmenau.

– **Wśród muz Goethego wymienił Pan również kobietę urodzoną w Züllichau.**

– To Wilhelmina Herzlieb, przez bliskich zwana Miną albo Minnchen. Czarnooka piękność, dojrzała mądrość i niebywała pewność siebie. Jej ojciec był zwierchnikiem okręgowym Kościoła protestanckiego i pracował jako drukarz w wydawnictwie Carla Frommanna w Züllichau. Po tym jak matka zmarła przy porodzie, a trzy lata później ojciec nagle odszedł z tego świata, właściciel wydawnictwa przyjął Minnę i jej brata Gottfrieda do swojej rodziny. Nie wiem, jaki rodzaj literatury wydawał Frommann, ale pewnie musiał być mistrzem w swoim fachu, skoro drukarnia uniwersytecka

w Jenie zaproponowała mu pracę. Oferta oznaczała awans finansowy i wyższą pozycję w gildii wydawców.

– W którym to było roku?

– Frommannowie wyjechali z Züllichau w 1798 roku. Wilhelmina miała wtedy dziewięć lat. W Jenie uczyła się śpiewu, gry na instrumentach muzycznych, rysunku i pobierała lekcje dobrego wychowania. Nadworny malarz książęcy, Luis Seidler, autor jej portretu, twierdził, że „Minna to najpiękniejszy kwiat wśród wszystkich dziewcząt, o dużych ciemnych oczach, bardziej łagodnych i przyjaznych aniżeli ognistych”.

– Czytałem, że Carl Frommann lubił przebywać wśród artystów, będąc duszą towarzystwa.

– W jego gościnnym domu spotykali się jeńscy poeci, powieściopisarze, malarze, śpiewacy i komedianci. W listopadzie 1807 roku zjawił się wielki Goethe, książęcy minister kultury. Wtedy niemal sześćdziesięcioletni poeta pierwszy raz zobaczył zaledwie osiemnastoletnią Wilhelminę. I natychmiast zakochał się jak sztubak. Biografowie mistrza z Weimaru twierdzą, że Minna stała się jego ostatnią największą miłością. Podobno zaimponowała mu i swoim śpiewem, i grą, i talentem plastycznym, a zauroczyła go przede wszystkim dziewczęcą niewinnością. Miał więc prawo ogłosić: „Żyję, aby się zachwycać”.

– Powiedział Pan, że był to rok 1798. Przecież wtedy Goethe się ożenił się z Christianą Vulpius, która nie była ani piękna, ani wywodząca się z dobrego domu.

– Na razie nikomu nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób Christiana zaprowadziła Goethego do ołtarza. Nie udało się to ani Fryderyce Brion, ani Lili Schönnemann, ani Marianne von Willener, ani Angelice Kauffmann, ani Ulryce Lewetzow. Christiana przez osiemnaście lat była jego kochanką, mieszkała w jego domu, urodziła pięcioro jego dzieci. Mimo obowiązków rodzinnych, Goethe często bywał w Jenie nie tylko w sprawie druku swoich książek. „Pączkiem ją widziałem u zanego Frommanna, gdy ten do Jeny przybył, napisał do swego przyjaciela Carla Zeltera. Różę bujnie rozwiniętą zastałem, gdy rok po Jenie do nich przybył”.

– Jak się zachowywała Minna wobec Goethego?

– Krew nie woda... Ją też ogarnęło miłosne bicie serca na widok, trzeba to tak określić, zakochanego starca. Może był pierwszym mężczyzną, który zwrócił na nią uwagę. Może swoją sławą i wielkością Goethe przesłonił jej świat. W każdym razie zaraz po poznaniu Minny zostawił Christianę w Weimarze i starał się jak najczęściej bywać w domu Frommannów. „Minna zawładnęła mną całkowicie i w żaden sposób nie mogłem memu sercu przywrócić tej równowagi, która wiekowi memu przystoi” – pisał do Zeltera. – „Gorzej jeszcze, gdyż i umysł nie oparł się odruchowi serca. Naprawdę ją kochałem”.

– A co na to opiekunowie Minny?

– Frommannowie znaleźli najlepsze wyjście, aby nie wywołać skandalu, nie urazić poety i uspokoić rozdygotane serce Minny: wiosną 1809 roku odesłali ją do swojej rodziny w Züllichau.

– Zna Pan jej losy?

– Wyszła za mąż za nauczyciela Hansa Wacha. Niczego dobrego o nim nie słyszałem. Przypuszczam, że w tym związku była niešťęśliwa, o czym świadczy choćby brak dzieci. Czy byłaby szczęśliwa z innym mężczyzną, nie wiem. Minna często trafiała do szpitala dla psychicznie chorych, a ostatnie lata swego życia spędziła w zakładzie dla obłąkanych w Görlitz.

– Czy mimo krótkiej, bo zaledwie półrocznej znajomości Minna Herzlieb stała się mużą Goethego i wodziła jego pióro po papierze jak Lotta Buff?

– Uważny czytelnik odnajdzie Minnę przede wszystkim w sonetach, uważanych za perełki poezji miłosnej. Kiedym pisał *Irrgarten der Liebe*, często zaglądałem do zbiorów jego wierszy uczuciowych. Wyraziściej Minna pojawia się w powieści psychologicznej *Powinowactwa z wyboru*, której akcja toczy się w posiadłości baronostwa Edwarda i Charlotty. To książka o uczuciu Edwarda do Otylii, siostrzenicy Charlotty, czyli o konflikcie między miłością a moralnością. Historycy literatury nie mają wątpliwości, że pisząc tę książkę, Goethe miał na uwadze Minnę i pełnymi garściami czerpał ze swoich przeżyć.

– Ani mieszkańcy Züllichau, ani Sulechowa nigdy nie potępili Minny. Pierwsi jej imieniem nazwali uliczkę w centrum miasteczka i urządzili izbę muzealną. Drudzy organizują konkurs literacki O wachlarz Wilhelminy.

– Wzruszające dowody szacunku i miłości.

– Podobnie zachowali się zielonogórzanie. Na kamienicy przy ulicy Kupieckiej 25, w której się Pan urodził, umieścili pamiątkową tablicę.

– Dziękuję za ten dowód pamięci.

– A ja dziękuję za rozmowę.

Pierwszy list miłosny

W zbiorach biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie znajduje się oryginał najstarszego listu napisanego po polsku, uważanego za pierwszy list miłosny. Jego autorem jest Marcin z Międzyrzecza, sekretarz biskupa poznańskiego Stanisława Ciołka. Oto treść listu w transkrypcji Wilhelma Bruchnalskiego:

„Ad dilectam. Służbę mą naprzód ustawiczną doskonała przez przestania. Panno ma najmilsza! Gdy chciałem na służbę od ciebie jechać precz, przyjąłem do domu twego, ciebie żegnając. Dziwne rzeczy, w miłości będąc, poczęły się między nama, toć jest, aby mnie nie zapomniała, barzociem twej miłości poczał prosić, a twa miłość, na mą prośbą, ślubila to uczynić. A tak to z tobą się rozstając, serce me jelo barzo płakać, a ja takż ślubuję twej miłości nie zapominać, ale wszędzie cześć, a lubość czynić.

Wiedz, moja najmilejsza panno, iż, aczkoliciem ja od ciebie daleko, a wszakoż nie była, ani nie będzie nad cię ina miła, jedna ty sama, panno najmilejsza ma. Niedawno mie rzecz była potkała, abych barzo krasną pannę miłował, ale gdym na cię wspominoł, tegom uczynić nie chciał. A o ty wszydki – rzeczy proszę twej miłości, aby były tajemny między mną a między tobą, a proszę twej miłości, abyś się mej matuchnie pokłoniła.

Dano w Szamotulech we śrzodę 1429 roku”.



Fritz Lubrich – zdjęcie z Izby Historii w Szprotawie

Fritz Lubrich

Urodził się 29 lipca 1862 w Bardsdorf (pol. Gołaszyn) koło Wolsztyna, zmarł 29 marca 1952 r. w Eberswalde pod Berlinem. Ukończył seminarium nauczycielskie w Sagan (pol. Żagań). Kształcił się w instytucie muzyki kościelnej w Berlinie. Był kompozytorem, dyrygentem, aranżerem, kantorem i nauczycielem. W 1899 r. otrzymał tytuł królewskiego dyrygenta muzycznego. Milton College w Wisconsin nadało mu doktorat honoris causa. W 1922 r. wygrał konkurs na hymn Niemiec. Od 1904 r. mieszkał w Sagan, ćwierć wieku później przeniósł się do Sprottau (pol. Szprotawa). W 1946 r. wyjechał do Eberswalde.

AUSTRIACKI HYMN NIEMIEC

Rozmowa z Fritzem Lubrichem, kompozytorem,
dyrygentem, kantorem kościelnym

– W szprotawskiej Izbie Historii natknąłem się na partyturę hymnu Niemiec z informacją „Komponirt von Fritz Lubrich”. Osoby, z którymi podzieliłem się tym odkryciem twierdzą, że to nie może być prawdą. Proszę o wyjaśnienie, czy Pan, mieszkaniec dawnego Żagania i Szprotawy, jest autorem hymnu niemieckiego?

– Tak i nie.

– Spodziewałem się potwierdzenia albo zaprzeczenia.

– Wymaga to dłuższego wyjaśnienia i zabierze nam dużo czasu

– Starożytny poeta grecki Menander rzekłby, że „czas zawsze prawdę ujawni”.

– Po ukończeniu szkół muzycznych mieszkałem i pracowałem w Neustädte (pol. Nowe Miasteczko) i Neukirch (pol. Nowy Kościół koło Złotoryi), Neisse (pol. Nysa). W 1904 roku osiedliłem się w Sagan (pol. Żagań). Jego świetność zmaląa, ale nadal był perełką na kulturalnej mapie Europy, chlubiącą się wspaniałymi budowlami i sławnymi mieszkańcami.

– Dlatego wybrał Pan Żagań?

– Miasto zapamiętałem z czasów nauki w seminarium nauczycielskim. Nie był to więc kolejny przystanek na mojej drodze życia, lecz powrót do gniazda, z którego wyfrunąłem z licencją nauczycielską. Wyfrunąłem, aby pracować z dużymi zespołami muzycznymi, a szczególnie z chórami kościelnymi i orkiestrami dętymi. Pełen zapału, nadal sam się kształciłem, ale i uczyłem innych. Ponieważ czasem brakowało przejrzystego materiału nutowego, wieczorami w domowym zaciszu dostosowywałem rozmaite kompozycje do możliwości wykonawczych amatorów.

– **Czy Pan również komponował?**

– Od dziecka pociągało mnie improwizowanie, które z upływem lat i doskonaleniem umiejętności przekształciło się w komponowanie. Z ogromną pasją pisałem muzykę do tekstów sakralnych przygotowywanych na specjalnie okazje przez wybitnych poetów niemieckich moich czasów.

– **Wybitnych poetów, czyli...?**

– Na przykład Petera Ulscha, którego zbiory wierszy są chyba w każdej bibliotece niemieckiej, a on sam jest patronem ulicy w Norymberdze. Mieszkającego w Schweidnitz (pol. Świdnica) Maksa Heinzela, uważanego za najlepszego poetę śląskiego końca XIX wieku, który tak jak ja wyznaje religię ewangelicką. Paula Kaisera... Po latach okazało się, że ich słowa i moja muzyka weszły do repertuaru światowego. Nasze utwory były znane i wykonywane nawet w Ameryce.

– **W 1899 roku jako jeden z najmłodszych Niemców otrzymał Pan tytuł królewskiego dyrygenta muzycznego.**

– Byłem z tego powodu bardzo dumny. Jeszcze bardziej dumny byłem, gdy Milton College w amerykańskim stanie Wisconsin nadało mi godność doktora honoris causa za „wkład w rozwój ewangelickiej muzyki kościelnej i popularyzację twórczości Bacha w Ameryce”. Niedługo po tym zostałem członkiem honorowym chóru południowoafrykańskiego w Windhuk. Do swego grona przyjęła mnie rzymska Akademia Świętej Cecylii. Prośby o skomponowanie utworów i zaproszenia do koncertowania płynęły do mnie niemal z całego świata.

– Kompozycję *Deutscher Saengespruch* dedykował Pan rektorowi towarzystwa muzycznego w Zielonej Górze, zespołowi śpiewaczemu i Arminowi Haagowi, który zapisał się w dziejach dawnej Zielonej Góry jako popularny kompozytor i organizator życia muzycznego.

– Bardzo lubiłem jeździć do Grünbergu (pol. Zielona Góra). We wszystkich miastach śląskich kwitła muzyka chóralna, szczególnie sakralna, powstawały orkiestry, tworzyły się szkoły. Niemal każdej letniej niedzieli odbywały się koncerty ogródkowe, zimą zespoły przenosiły się do restauracji i sal widowiskowych. W Grünbergu było jeszcze coś, co odróżniało to miasto od innych. Nie potrafię tego precyzyjnie nazwać. Była to specyficzna atmosfera wytworzona przez mnogie ogrody, balsamiczny, wręcz odurzający zapach winnic i magnolii roznoszący się między domami. Jeśli dodać do tego liczne winiarnie i gospody... Moje zauroczenie miastem potwierdza koncert sławnej orkiestry z Wiednia pod dyрекcją Jana Straussa (juniora), który odbył się w 1900 roku. Proszę sobie wyobrazić, że trwającego ponad trzy godziny koncertu słuchało więcej niż tysiąc osób. Orkiestra wykonała uwerturę z *Zemsty nietoperza* Jana Straussa (syna) i utwory pozostałych członków rodziny Straussów, a na bis kompozycje Mascagniego i Sarasatego.

– **Wróćmy do muzyki skomponowanej przez Pana.**

– Większość moich utworów, jak wcześniej powiedziałem, powstała do tekstów wybitnych mistrzów słowa. Były to w dużej części kompozycje religijne. Te, pisane dla chórów młodzieżowych, orkiestr miejskich i wojskowych były łatwiejsze w wykonaniu. Do utworów patriotycznych podchodziłem z należytyim szacunkiem, mam na myśli przede wszystkim kompozycje powstające w okresie Republiki Weimarskiej, kiedy Niemcom pokonanym przez aliantów groził kolejny rozpad na niewiele znaczące księstwka-państwka.

– **Republika Weimarska to lata dwudzieste. Kronikarze odnotowali Pana kompozycje powstałe już pod koniec XIX wieku.**

– To były najlepsze czasy, zapisane złotymi literami na kartach historii cesarstwa niemieckiego. Zachwycaliśmy się osiągnięciami nowoczesnego państwa pod władzą cesarzy z dynastii Hohenzollernów. Od Mozy po Niemen, od Adygi po Bałt, bez mała w każdym

mieście wznoszono wieże i obeliski upamiętniające władców, ich imionami nazywano centralne place i główne ulice. Ponieważ brakowało prostych, wpadających do uszu, a jednocześnie chwalebnych kompozycji, które by towarzyszyły uroczystościom, napisałem kilka utworów. Oto przykłady: *Cześć cesarzowi, Ku twojej czci, czcigodny cesarzu, Wspaniały cesarz, niech żyje*. Do pierwszej wojny światowej były one wykonywane niemal przez wszystkie orkiestry dęte w Niemczech.

– Wojna, wywołana przez Niemcy, zakończyła się upadkiem cesarstwa, a Wilhelm II Hohenzollern został zmuszony do abdykacji i wyjazdu do Holandii.

– To był bardzo trudny czas dla całej Europy. W Rosji bolszewicy obalili cara i przejęli władzę. W Niemczech również trwała rewolucja, powstawały rady robotniczo-żołnierskie, osoby związane z socjalistami usiłowwały przejąć władzę w państwie. Niemcy szybko zdali sobie sprawę, do czego może doprowadzić rewolta wzniecona przez Różę Luksemburg, Karla Liebknechta, Wilhelma Piecka. Mimo iż po pierwszej wojnie światowej Niemcy się zmieniły, bo stały się państwem demokratycznym, na czele którego stanął prezydent Friedrich Ebert, mocarstwa Ententy zmusiły nas do podpisania traktatu wersalskiego. Tym niesprawiedliwym aktem nałożyły na nas olbrzymie kontrybucje, nakazały demilitaryzację, zabroniły rozbudowy przemysłu zbrojeniowego. Krótko mówiąc: Niemcy zostały upokorzonym zakładnikiem Europy.

– I dlatego napisał Pan *Narody Europy, zachowajcie swe najświętsze dobra?*

– Chciałem jedynie wyrazić swój ból po tym, do czego alianci zmusili nas w traktacie wersalskim. Nie spodziewałem się, że moja kompozycja wywoła tak głębokie zainteresowanie i znajdzie się w repertuarze wielu zespołów, przede wszystkim niemieckich. Przyznam się panu, że byłem dumny z tego powodu, bo poderwałem rodaków do walki o swoją godność i jeszcze raz udowodniłem, że tytuł królewskiego dyrygenta muzycznego dostałem nie za piękne oczy.

– W 1922 roku władze Republiki Weimarskiej ogłosiły konkurs na hymn narodowy Niemiec. Nie udało mi się dotrzeć

do protokołu komisji konkursowej, nie wiem więc, którzy i ilu autorów nadesłało swoje propozycje.

– Na pewno znalazła się tam moja propozycja.

– Propozycja... tak, ale przecież to nie był utwór oryginalny.

– Co Pan ma na myśli?

– A to, że na konkurs wysłał Pan kopię partytury skomponowanej przez wiedeńskiego mistrza Josepha Haydna.

– Protestuję przeciw nazwaniu mojej propozycji kopią! Owszem, to, co posłałem na konkurs, było bardzo bliskie kompozycji Haydna, ale nie było przepisaniem jego utworu z 1797 roku z okazji urodzin cesarza Franciszka I. To była moja wersja.

– Porównajmy więc to, co Pan zaproponował jako hymn Niemiec z drugą częścią *Kwartetu cesarskiego* C-dur, opus 76 nr 3, Haydna, który w 1797 roku stał się hymnem Austrii.

– Powinien pan wiedzieć, że Haydn często przerabiał swoje utwory. Ten najpierw napisał na kwartet smyczkowy, potem zmienił na fortepian. Michael Haydn, brat kompozytora, przekształcił utwór w wersję wokalną na chór ośmiogłosowy do tekstu Josepha Kwarty. Nie pamiętam autora przeróbki, ale istniał też wariant wojskowy. Od pierwszego wykonania kwartetu w 1797 roku muzyka się nie zmieniała, wraz z nastaniem nowego władcy na tronie wiedeńskim, zmieniały się słowa. „Boże, zachowaj naszego cesarza Franciszka”, prosili poddani Franciszka I. Poddani Ferdynanda I Dobrotliwego śpiewali: „Boże, zachowaj naszego cesarza”. Wszystkie uroczystości w monarchii Franciszka Józefa I zaczynały się od odegrania i odśpiewania hymnu cesarskiego, nazywanego też ludowym. Słowa zostały przetłumaczone na czternaście języków obowiązujących w monarchii austro-węgierskiej, także na polski.

– Dlaczego więc w 1922 roku zaproponował Pan, aby hymnem Niemiec był stary hymn austriacki?

– Ta melodia była znana także w cesarstwie niemieckim. Stało się tak za sprawą profesora języka i literatury niemieckiej na uniwersytecie w Breslau (pol. Wrocław) Heinricha Hoffmanna von Fallersleben. Ten utalentowany poeta założył *Zwecklose Gesellschaft*

(pol. Towarzystwo Bezcelowe) i prywatny związek Latitia, skupiający ludzi różnych stanów. Dla nich pisał pieśni niepolityczne, w których szydził z administracji pruskiej i wręcz bałwochwalczego zachowania publicystów berlińskich. W połowie XIX wieku gazety podawały ze szczegółami, co robili członkowie dworu i władze państwa. Można się było dowiedzieć, na przykład, co cesarz zjadł wczoraj na kolację, którądy podróżował z Berlina do Frankfurtu, z kim rozmawiał, z czego się śmiał. Swoimi pieśniami Fallersleben musiał dopieć władcom, ponieważ minister oświecenia publicznego wydał zakaz rozpowszechniania jego utworów w całym państwie i pozbawił go uniwersyteckiej profesury. Poeta wyjechał na wyspę Helgoland na Morzu Północnym. Tam w 1841 roku napisał *Lied der Deutschen* (pol. Pieśń Niemców).

– Która śpiewana do melodii Haydna stała się hymnem Niemiec, czy tak?

– Nie ma dowodów na to, że Fallersleben napisał ten wiersz do muzyki Haydna. Jest prawdą, że tak melodia, jak i słowa spodobały się Niemcom. Wiersz składał się z trzech zwrotek, przypominał, że kiedyś istniało Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, że kraj rozciągał się „od Mozy aż po Niemen, od Adygi aż po Bełt”. Pewnie pan wie, że w 1841 roku Niemcy były podzielone na 39 królestw i księstw. Zjednoczenie miało się spełnić dopiero za trzydzieści lat pod przewodnictwem króla pruskiego. A ponieważ poeta wychwalał też „niemieckie kobiety, niemiecką wierność, niemieckie wino i niemiecką pieśń”, melodia powstała w Wiedniu znakomicie przyjęła się w cesarstwie niemieckim. Przypuszczam, że tak zwani zwyczajni Niemcy nie wiedzieli, że jest to również hymn monarchii austro-węgierskiej.

– Czy dobrze myślę, że bardziej podobały się Panu słowa wiersza Fallerslebena niż melodia Haydna?

– W 1922 roku Niemcy potrzebowali czegoś, co podniesie ich na duchu. Po podpisaniu traktatu wersalskiego kraj, pozbawiony Alzacji, części Lotaryngii, Prus Królewskich, dużej części Wielkopolski i Śląska, terytorium Luksemburga, znalazł się w katastrofalnym stanie, panowało ogromne bezrobocie, zakradł się nieznany wcześniej bałagan w administracji. Najgorsze było to, że żaden kandydat na

przywódcę narodu nie potrafił wskazać drogi, którą powinno pójść państwo. Zastanawiano się nawet, czy odnowić cesarstwo i zwrócić się do Wilhelma II o powrót na niemiecki tron.

– I wtedy przypomniał Pan sobie wiersz Fallerslebena.

– Ten wiersz odpowiadał na oczekiwania Niemców jak żaden inny. Zgadza się z Alanem Watsonem, który w książce *Niemcy – kim są teraz* napisał, że ten utwór Fallenslebena odzwierciedlał „zarówno autentyczne poczucie braterstwa łączące Niemców, jak i frustracje wynikające z braku politycznej jedności”. W dodatku był dobrze znany przez starsze pokolenie, a ono tęskniło przede wszystkim do ładu, solidności i porządku znanego w czasach cesarskich.

– Słowa są inne, ale melodia hymnu Niemiec brzmi tak samo jak *Kwartet cesarski* Haydna, który do 1945 roku był hymnem Austrii.

– Nie zmieniłem zapisu nutowego utworu Haydna. Zaproponowałem nową aranżację, która spodobała się komisji konkursowej. W mojej wersji hymn był grany i śpiewany w rytmie marsza, a marsze, jak pan pewnie wie, należały do najbardziej lubianych utworów muzycznych w Niemczech. Szczególnie, gdy były wykonywane przez orkiestry dęte i duże chóry.

– Co się zmieniło w Pana życiu po wygranym konkursie na hymn Republiki Weimarskiej?

– W życiu osobistym dotknęła mnie tragedia. Niedługo po wygraniu konkursu zmarła moja żona, osierocając pięcioro naszych dzieci. Ja nadal byłem nauczycielem muzyki w Sagan i rewizorem organowym, komponowałem, prowadziłem zespoły kościelne. Dwa lata po śmierci Mathilde w Sprottau poznałem Marthe, która została moją żoną i macochą moich dzieci z pierwszego małżeństwa.

– Pytając o zmiany w Pana życiu miałem na myśli przede wszystkim twórczość muzyczną.

– Hymn towarzyszył najważniejszym wydarzeniom w Niemczech. Bardzo szybko stał się popularny. W księgarniach muzycznych można było kupić partyturę utworu z informacją na okładce, że jest to kompozycja Fritza Lubricha (niem. Komponiert von Fritz Lubrich).

Ze sprzedaży partytur dochody mieli wydawcy, ja nie dostałem nawet jednego feniga honorarium, za to często zapraszano mnie na uroczystości i proszono o dyrygowanie wykonawcami, a to się opłacało.

– Hymn nabrał nowego znaczenia po 1933 roku, kiedy władzę w Niemczech zdobyli narodowi socjaliści. Słowa pierwszej zwrotki „Niemcy, Niemcy ponad wszystko” naziści postrzegali jako wezwanie do podbojów innych narodów.

– Idee narodowo-socjalistyczne nie były mi bliskie.

– Protestował Pan przeciw wykorzystaniu hymnu przez hitlerowców?

– Po 1933 roku byłem starszym panem, pewnie dlatego nie wysłałem żadnego listu w tej sprawie, nie podpisałem żadnego oświadczenia...

– W szprotawskiej Izbie Historii natknąłem się na pismo z berlińskiej kancelarii Trzeciej Rzeszy. „Szanowny Panie Doktorze! Führer przekazuje Panu najlepsze podziękowania za przesłane mu kompozycje. Sprawił Pan mu tym wiele radości”. Jakie utwory Pan wysłał?

– Nie przypominam sobie tego zdarzenia. Może zrobił to ktoś, nie pytając mnie o zgodę. Może nawet ja sam, namówiony przez kogoś, kto pragnął zwrócić uwagę führera i jego otoczenia. Nie wiem, nie pamiętam, w czyjej głowie narodził się pomysł, aby hymnem Trzeciej Rzeszy było to, co odpowiadało większości Niemców.

– W 1950 roku władzom Republiki Federalnej nie udało się wprowadzić nowego hymnu. Podczas uroczystości jest grana melodia Haydna i bywają śpiewane słowa trzeciej zwrotki Fallerslebena.

– Świadczy to o głębi umysłowej i uniwersalności utworów patriotycznych. Proszę sobie przypomnieć, ile narodów słowiańskich wzorowało swoje hymny na *Pieśni legionów polskich we Włoszech*, która stała się oficjalnym hymnem państwowym Polski dopiero w 1927 roku. W 1834 roku słowacki poeta Samuel Tomášik napisał hymn wszechsłowiański do melodii *Mazurka Dąbrowskiego*, zaczynający

się od słów „Hej, Słowianie”. Od połowy XIX wieku Chorwaci śpiewali „Još Hrvatska ni propala” (pol. Jeszcze Chorwacja nie umarła), Ukraińcy – „Szcze ne umierła Ukraina” (pol. Jeszcze nie umarła Ukraina), Słowacy – „Hej, Slováci, ešte naša slovenska reč žije” (pol. Hej, Słowacy, jeszcze nasz język słowacki żyje), Serbowie Łużyccy – „Hišcie Serbstwo njezlubieno” (pol. Jeszcze Serbia nie zginęła). Po drugiej wojnie światowej pieśń *Hej Słowianie* była oficjalnym hymnem Jugosławii, a po jej rozpadzie za swój hymn uważali ją Serbowie i Czarnogórzanie.

– Po upadku imperium radzieckiego Rosjanie próbowali wprowadzić *Pieśń patriotyczną* Michaiła Glinki. Po dziewięciu latach wrócili do melodii hymnu Związku Radzieckiego z nowym tekstem Siergieja Michałkowa. W 1993 roku Słowacy przypomnieli sobie pieśń *Nad Tatrou sa blýska* (pol. Nad Tatrami błyska) z połowy XIX wieku. Hymn nowej Serbii *Bože pravde* (pol. Sprawiedliwy Boże) pochodzi z 1872 roku. Mniej więcej z tego samego okresu są hymny Litwy, Słowenii, Estonii...

– Hymny i narody nie przemijają.

– Dziękuję za rozmowę.

Sławni szprotawianie

Historycy są zgodni co do tego, że w marcu 1000 r. w Ilui (dziś podszprotawska Ilawa) Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III. Od 1329 r. znajdująca się na Śląsku Szprotawa przeszła pod panowanie czeskiej linii Jagiellonów. W 1519 r. władcą Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego został Karol V z austriackiej dynastii Habsburgów. Siedem lat później królestwo czeskie, a wraz z nim Śląsk znalazło się pod władzą austriacką. Po 215 latach miasto przeszło w ręce pruskie i niemieckie, które nim władowały do 13 lutego 1945 r. Od tego dnia Szprotawa znowu jest w granicach państwa polskiego. W dziejach miasta, należącego do Śląska, Polski, Niemiec, Czech, Austrii i Austro-Węgier zapisało się wielu wybitnych szprotawian.

Jacob Nickel (1505-1576) – napisał podręcznik do nauki pszczelarstwa, wydany w 1568 r. Była to pierwsza taka publikacja w języku niemieckim.

Krzysztof Prejbisz (1580-1651) – urodził się w Sprottau (pol. Szprotawa), gdzie ukończył gimnazjum klasyczne. Studiował filozofię i prawo. Uważany za wybitnego filozofa, osiągnął godność rektora uniwersytetu w Lipsku.

Jonas Sculetus (1603-1664) – urodził się w Sprottau, gdzie rozpoczął naukę, potem kształcił się w Legnicy oraz na uniwersytetach we Frankfurcie nad Odrą i Lipsku. Był profesjonalnym kartografem, twórcą pierwszych map Śląska.

Karl Keller (1794-1860) – był pastorem i pisarzem mieszkającym w Sprottau. Jego autorstwa jest powieść *Wahnglaube oder die Hexenprozesse in Grünberg* (pol. *Szaleństwa wiary albo procesy czarownic w Zielonej Górze*). Wydał też zbiór legend i podań szprotawskich *Der arme Sunder von der Sprotte* (pol. *Biedny grzesznik znad Szproty*).

Heinrich Robert Goeppert (1800-1884) – urodził się w Sprottau, gdzie ukończył szkołę początkową i aptekarską w Nysie, studiował medycynę we Wrocławiu i Berlinie. Był profesorem botaniki i kuratorem wrocławskiego Ogrodu Botanicznego. Do historii nauki przeszedł jako twórca paleobotaniki.

Heinrich Laube (1806-1884) – urodził się w Sprottau. Uczył się w gimnazjum w Głogowie, studiował teologię w Halle i Wrocławiu. W 1849 r. został dyrektorem wiedeńskiego Burgtheater. Jest

autorem powieści *Polonia*, trylogii *Młoda Europa*, historii wojny trzydziestoletniej.

Konrad Goldbach (1853-1929) – urodził się w Sprottau. Odkrył złoża uranu w Szwarewaldzie.

Felix Matuszkiewicz (1885-1956) – urodził się w Sprottau, gdzie ukończył szkołę powszechną. Studiował prawo w Heidelbergu, Lipsku, Greifswaldzie i Wrocławiu. Miał stopień naukowy doktora. Oprócz pracy prawniczej zajmował się historią Śląska.

Klaus Hänsch (1938-) – urodził się w Sprottau. Studiował nauki polityczne, historię i socjologię m.in. w Kolonii, Paryżu i Berlinie. Pracując jako profesor na uniwersytecie w Duisburgu opublikował wiele książek na temat europejskości. W latach 1994-1997 był przewodniczącym Parlamentu Europejskiego.

Wojciech Czerniawski (1945-) – urodził się w Gołębiewku na Pomorzu Gdańskim. Ukończył technikum rolnicze w Szprotawie, gdzie mieszka. Jest autorem zbiorów wierszy, opowiadań i powieści, m.in. *Za las, Jest już chyba kobieta, Puszkina w Paryżu, Katedra w Kolonii, Meduzy wloką się za mną*.



*Płyta nagrobna ks. Leona Bindera na cmentarzu
w Dąbrówce Wielkopolskiej*

Ks. Leon Binder

Urodził się 18 lutego 1876 w Kalau (pol. Kaława) jako Niemiec, zmarł 28 stycznia 1952 r. w Dąbrówce Wielkopolskiej jako Polak. Po studiach teologicznych w katolickim seminarium w 1902 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Najpierw był wikariuszem, potem proboszczem w Meseritz (pol. Międzyrzecz). W 1923 r. objął parafię w Gross Dammer (pol. Dąbrówka Wielka, potem Dąbrówka Wielkopolska). Znał język polski i głosił w nim kazania. W 1939 r. został aresztowany, następnie osadzony najpierw w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, potem w Dachau. W 1945 r. wrócił do Dąbrówki i do śmierci był proboszczem parafii. Otrzymał polskie obywatelstwo.

JAK NIEMIEC ZOSTAŁ POLAKIEM

**Rozmowa z ks. Leonem Binderem,
proboszczem parafii w Dąbrowce Wielkopolskiej**

– W jakim języku rozmawiali rodzice Księdza?

– Gdy byłem dzieckiem, a i później gdy cza-czasem odwiedzałem dom rodzinny z matką i ojcem tylko po niemiecku rozmawiałem. Oni, jak i ich rodzice, a moi dziadziadkowie, stryjowie, ciotki i kuzyni innego języka nie znali. Urodziłem się w niemieckiej rodzinie od pokoleń i skończyłem niemieckie szkoły.

– Ksiądz zawsze się zacinał?

– Wada wymowy czasem mi dokuczała, ludzie nigdy.

– W Kaławie, gdzie Ksiądz się urodził, większość mieszkańców stanowili katolicy czy ewangelicy?

– Kalau (pol. Kaława), Paradies (pol. Gościkowo), Hochwalde (pol. Wysoka), Kainschit (pol. Kęszyca) były wsiami zamieszkałymi niemal w całości przez wyznawców wiary luterkańskiej. Pod względem religijnym moja rodzina stanowiła wy-wyjątek, pod każdym innym była wręcz wzorcowo niemiecka. Matka starała się przede wszystkim postępować wedle zasady trzech K: Kinder, Küche, Kirche (pol. dzieci, kuchnia, kościół), sformułowanej jeszcze przez Bismarcka, a podkreślającej cnoty niemieckiej ko-kobiety. Najważniejszym zadaniem ojca było zarobienie na codzienne potrzeby rodziny.

– Rozumiem, że w Kaławie nie było katolickiego kościoła, więc rodzina Księdza jeździła do Międzyrzecza.

– Raz w tygodniu, wypadało to zawsze w niedzielę po południu, nasz proboszcz, o księdzu katolickim mówię, odprawiał mszę świętą. Uczestniczyła w niej dosłownie garstka wiernych narodowości niemieckiej, którzy przyjeżdżali z pa-parafii rozsianej po całym powiecie.

– Wasz ksiądz odprawiał mszę po łacinie, a w jakim języku głosił kazanie?

– Po niemiecku. Wśród osób uczestniczących we mszy świętej najczęściej było osób dwujęzycznych. Do rzadkości należał Niemiec katolik. Na dawnym pograniczu ludzi z korzeniami polskimi bardzo dużo było. Niektóre wsie, na przykład te położone koło Bomst (pol. Babimost) i Betsche (pol. Pszczew), w większości zamieszkiwała ludność mówiąca między sobą po polsku. W urzędach, szkołach, ko-kościółach obowiązywał niemiecki, chociaż i tam tego obowiązku nie przestrzegano.

– Nie przestrzegano?

– Do 1933 roku, czyli do czasu dojścia nazistów do władzy, była większa swoboda językowa. Wła-władze wprawdzie robiły wszystko, aby wyeliminować polską kulturę, obyczaje, język, ale i zdawały sobie sprawę, że uparta walka narodowościowa spodziewanych efektów nie przyniesie.

– Ksiądz był rdzennym Niemcem, a mimo to znał polską mowę.

– Jako dziecko bywałem wśród kolegów, którzy mie-mieli polskie pochodzenie. Od nich usłyszałem tyle polskich słów, że potrafiłem złożyć kilka prostych zdań. Jako wikariusz posługiwałem się wyłącznie językiem niemieckim, chociaż zdarzało się, że do rozmowy z parafianinem, o którym wiedziałem, że ma polskie pochodzenie wtrącałem polskie słowa.

– Władze o tym wiedziały?

– Z tego powodu władze kościelne nie stawiały mi żadnych zarzutów. Władze administracyjne traktowały Kościół rzymskokatolicki i duchownych katolickich z rezerwą.

– W 1923 roku został Ksiądz proboszczem parafii w Dąbrówce. Stało się tak z inicjatywy władz kościelnych czy administracyjnych?

– Już czterdzieści siedem lat miałem i jeszcze wikariuszem byłem. Propozycję objęcia probostwa w Dąbrówce przyjąłem więc z wdzięcznością. Nie zastanawiałem się nad tym, że będę kapłanem w parafii, gdzie większość stanowią osoby z polskimi korzeniami. Fakt, byłem Niemcem, ale byłem przede wszystkim katolikiem. Przyjmując sakrament kapłaństwa, ślubowałem posłuszeństwo biskupowi diecezjalnemu. Dlatego jako ksiądz starałem się ze wszystkich sił służyć Bogu i memu Kościołowi, być wśród parafian, wspierać ich, pomagać im, znosić ich cierpienia i z nimi się radować. Język znalazł się na dalszym planie, tym bardziej że językiem liturgicznym obowiązującym przy ołtarzu była łacina.

– Tego oczekiwaly władze kościelne?

– Władze kościelne ani w administraturze apostolskiej w Tütz (pol. Tuczo), potem w prałaturze w Schneidemüh (pol. Piła), ani w dekanacie Bomst nie postawiły przede mną szczególnych zadań. Miałem być dobrym pasterzem, czyli głosić słowo Boże i nauczać, sprawować eucharystię, udzielać sakramentów pokuty i namaszczenia chorych, udzielać chrztu i asystować przy składaniu ślubów małżeńskich. Zadaniem każdego proboszcza, w tym i moim troska o jedność parafii była.

– A czego oczekiwaly władze państwowe?

– Niczego nie nakazywały, jednak ich przedstawiciel przypominał, że jestem Niemcem we wsi mniejszościowej i powinienem podczas codziennych posług starać się przekonywać parafian do wierności państwu niemieckiemu. Najlepiej byłoby, gdybym poprzez kazania ukazywał wy-wyższość kultury i tradycji tysiącletniej Rzeszy nad kulturą innych nacji. Odpowiedziałem, że w moim sercu i sumieniu istnieje tylko jedna najwyższa kultura i tradycja. Jest nią Chrystus.

– Co Ksiądz wiedział o mieszkańcach Dąbrówki zanim został proboszczem parafii?

– Jak już powiedziałem, urodziłem się i wychowałem na pograniczu niemiecko-polskim. Zdawałem sobie sprawę z tego, że w pojęciu Niemców z Brandenburgii każdy Polak to katolik. Gdy przypominałem, że w Kolonii albo Bawarii religią dominującą również jest katolicyzm, nie było komentarza.

– Spytałem, czy Ksiądz dużo wiedział o Dąbrówce i jej mieszkańcach.

– Uwierzyłem pięknej legendzie, że nazwa wsi pochodzi od imienia córki czeskiego księcia Bolesława Srogiego z rodu Przemyślidów, Dąbrówki. Podobno jej orszak podążający z Czech do Gniezna zatrzymał się na leśnej polanie, gdzie potem stanął pałac w Dąbrówce. Dąbrówka, jako żona Mieszka I, przekonała swego męża i władcę Polan, aby 14 kwietnia 966 roku przyjął chrzest w obrządku rzymskim. Do 1795 roku ta wieś jak i całe Poznańskie była w królestwie polskim. W 1920 roku traktat wersalski wytyczył granicę niemiecko-polską kilka kilometrów na wschód od Dąbrówki, zostawiając wieś po stronie niemieckiej. Moim zdaniem był to błąd logistyczny, gdyż Dąbrówka identycznie jak Podmokle Małe i Wielkie, Nowe i Stare Kramsko dawała dowody przywiązania do Polski. Od 1459 roku, kiedy właściciel wsi Stanisław Zbąski ufundował kościół, istniała tu parafia katolicka. Miejscowa ludność kultywowała polską tradycję, co ujawniało się w kuchni, strojach czy związkach rodzinnych. O tym, do jakiej nacji należeli parafianie, najlepiej świadczyły ich nazwiska, na przykład: Budych, Grzeszak, Młodystach, Spychała, Wieczorek, Kwaśnik, Stachecki, Kubacki, Kasprzak...

– Poprzednikiem Księdza Proboszcza w Dąbrówce był ksiądz Józef Braun, od urodzenia mieszkaniec Poznania.

– Ksiądz Braun w przeciwieństwie do mnie Polakiem był, absolwentem seminarium duchownego w Poznaniu i Gnieźnie. Zarządzał parafią, kiedy administracja niemiecka robiła wszystko, aby wyrwać z tej ziemi polskość razem z korzeniami. Na jej drodze stał ksiądz Braun. Jeszcze przed pierwszą wojną światową z jego inicjatywy powstało wiele sto-stowarzyszeń i komitetów. W 1919 roku słał petycje do władz w sprawie przyłączenia Dąbrówki do Polski,

a nawet interweniował w międzynarodowej komisji. Był dwukrotnie więziony, a gdy zapadła decyzja o pozostawieniu Dąbrówki po stronie niemieckiej, został przeniesiony do Kähme (pol. Kamionna) i tam Pan powołał go do wieczności.

– Dotąd ani razu Ksiądz nie powiedział Gross Dammer, tylko Dąbrówka.

– Tak większość parafian określała naszą wieś. Nawet Niemcy zapominali, gdzie mieszkają. Niemiecka nazwa była kalką językową nazwy polskiej: Dąbrówka Wielka. Po 1945 roku, kiedy wieś znalazła się w granicach Polski, dla odróżnienia od wielu Dą-Dąbrówek Wielkich naszą nazwano Wielkopolską, chociaż w województwie zielonogórskim leżała.

– Jakim językiem posługiwali się dąbrówczanie?

– Większość znała niemiecką mo-mowę, ale między sobą gwarzyła w sobie zrozumiałym dialekcie. Na przykład, na wiadro Niemiec powiedział *der Eimer*, parafianin z Dąbrówki – wąborek. Co Niemiec nazwał *der Boden* albo *der Fussboden*, czyli podłoga, to dąbrowszczanin – dylem. Na bambosze ludzie mówili patynki, na drożdże – młódzie, piłka to hopka, staw – kalisko, katar – niezdrowisko.

– Czy sami Polacy mieszkali w Dąbrówce?

– Mimo że Polaków było cztery razy więcej niż Niemców, państwo sprzyjało tym ostatnim. Właścicielem ziemi z rozparcelowanego majątku Samsonki nie mógł zostać Polak, ponieważ była ona przeznaczona dla kolonistów z głębi Rzeszy. Polak, choćby nie miał za co kupić chleba, nie dostał zapomogi z funduszu wspierania niemczyzny. Niemiecki robotnik sezonowy miał większą szansę przyjęcia do cegielni, cukrowni czy tartaku niż robotnik polski. Warunki życia były korzystniejsze dla Niemców, a mimo to liczba wiernych Kościoła luterańskiego nie rosła. Wedle oficjalnych danych w 1925 roku 324 mieszkańców Dąbrówki przyznawało się do religii luterańskiej, dziewięć lat później o 120 mniej.

– A ilu było katolików?

– Niemiecka administracja państwowa w Grenzmark Posen-Westpreussen (pol. marchia graniczna poznańsko-zachodniopruska)

uważała, że kto jest katolikiem, ten należy do mniejszości, inaczej mówiąc jest pochodzenia polskiego. Uznawałem to za błędne rozumowanie urzędników państwowych i jako przykład podawałem siebie: jestem katolikiem i jestem Niemcem od u-urodzenia. Wracając do pytania o liczbę dąbrowieckich katolików wyjaśniam, że była ona stała. W 1925 roku religię tę 1051 mieszkańców wyznawało, w 1938 – 1079.

– Co jeszcze w zachowaniu Polaków zwróciło uwagę Księdza Proboszcza?

– A to, że wszelkimi sposobami starali się być lepsi od niemieckich mieszkańców. W sobotę po południu żaden gospodarz nie wyszedł w pole nawet w żniwa. Każdej soboty bez względu na pogodę wszyscy sprząтали podwórza i odcinki wspólnej drogi przed swoimi zagrodami. Sadzili kwiaty w ogródkach, malowali płoty, a wieczorami zbierali się na ławkach przed domami i gaworzyli. Sobotni wieczór często kończyli przy piwie w restauracji Reimanna albo Weissa.

– Czy mniejszość, czyli Polacy, miała takie same prawa obywatelskie jak rodowici Niemcy?

– Teoretycznie tak. Praktycznie byli traktowani podejrzanie. Oto przykład. Jeśli o pracę w leśnictwie albo w drogownictwie, czyli gałęziach gospodarki uzależnionych od państwa, starał się Niemiec i Polak, dostał ją Niemiec. To samo dotyczyło pomocy finansowej w trudnych sytuacjach życiowych... 'Tò, co za chwilę powiem, może się panu nie spodobać.

– Co takiego?

– W jakiś sposób Polacy byli sobie sami wi-winni.

– Winni?

– Gdyby Polacy stosowali się do zaleceń władz państwowych... Gdyby nie utworzyli Banku Ludowego, Kółka Rolniczego, Sokoła i jeszcze kilku organizacji w Dąbrówce, a przystąpili do istniejących w całych Niemczech stowarzyszeń o identycznym charakterze, byliby traktowani na równi z wszystkimi.

– Polacy, będący mniejszością narodową w Niemczech, wywalczyli sobie prawo do zakładania własnych organizacji, nauki w ojczystym języku, kultywowania swoich zwyczajów.

– Przed pierwszą wojną światową weszły w życie ustawy antypolskie o języku urzędowym, o funduszu osadniczym, o wywłaszczaniu majątków, o zgromadzeniach i stowarzyszeniach. W 1919 roku ustawy te zostały zniesione ze względu na międzynarodową ochronę praw mniejszości. Niektórzy znawcy prawa uważali jednak, że żyjący w państwie niemieckim Polacy podobnie jak Mazurzy i Kaszubi nie są mniejszością. Po dojściu nazistów do władzy w 1933 roku prawodawstwo wobec mniejszości pozostało bez zmian, ale powoływanie się na normy prawne nie miało sensu. Naziści głosili, że prawem jest to, co służy narodowi niemieckiemu. Co dla je-ego życia i rozwoju wydaje się niekorzystnym, prawem nie jest. Mimo że w 1937 roku została podpisana niemiecko-polska deklaracja mniejszościowa, w tym samym roku ukazała się ustawa o ochronie granic i środkach odwetowych, szczególnie nieprzyjazna wobec Polaków mieszkających w takich wsiach jak Dąbrówka.

– **Ksiądz sprzyjał Polakom, na przykład wspierając ich stowarzyszenia?**

– Nie byłem ani za, ani przeciw Związkowi Polaków w Niemczech. Nie przeszkadzał mi Polski Związek Gimnastyczny „Sokół” ani też Towarzystwo Robotników Polskich. W miarę swoich możliwości, jako kapłan katolicki, pomagałem związkowi śpiewaczemu Święta Cecylia, który często uczestniczył w uroczystościach religijnych. Popierałem Polsko-Katolicki Związek Młodzieży, ponieważ on przyciągał najmłodsze pokolenie do Kościoła. Uważałem to za swój obowiązek, tym bardziej że wśród 5 Prawd Polaków, czyli czegoś w rodzaju konstytucji uchwalonej w 1938 roku na Kongresie Polactwa w Berlinie, było i takie zawołanie: „Wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci”.

– **Jak zareagował Ksiądz na wojnę administracji państwowej z przedszkolakami?**

– Pyta pan o zakład opiekuńczy dla dzieci mniejszości?

– Pytam o polskie przedszkole w Dąbrówce, zwane dziecińcem.

– We wsi istniało niemieckie przedszkole z jedną wychowawczynią. Władze administracyjne były gotowe zwiększyć obsadę do dwu przedszkolańek, gdyby do placówki chodziło więcej dzieci. Nadzieja przeto była w dzieciach mniejszości, a ta powoływała się na prawo do utworzenia własnego przedszkola. Ponieważ do pla-placówki mniejszościowej chodziło więcej dzieci niż do niemieckiej, udało się nawet zatrudnić tam dwie-c siły fachowe. Na krótko, bo potem władze administracyjne z urzędu zmniejszyły o-obsadę i jedna przedszkolanka opiekowała się maluchami od rana do wieczora.

– W Dąbrówce była też polska szkoła, największa na pograniczu.

– Szkoła niemiecka mieściła się w dużym budynku, za dużym jak na potrzeby niewielkiej ilości uczniów. Klasy szkoły mniejszościowej, do której chodziło ponad sto dzieci, znajdowały się w domach prywatnych. Proszę pana, obie strony doskonale zdawały sobie sprawę z tego, że szkoła to bardzo ważna instytucja wychowawcza, oświatowa i kulturowa. Jedni, czyli mniejszość, robili wszystko, aby szkoła służyła ich nacji, drudzy, czyli władze administracyjne, wszelkimi sposobami starały się temu przeciwdziałać. Nawet bła-błahy powód wystarczał, aby nauczyciel szkoły mniejszościowej, a była to zawsze osoba wzorowo wykwalifikowana, został pozbawiony prawa wykonywania zawodu w Rzeszy. W to miejsce Związek Polskich Towarzystw Szkolnych przysyłał nowego nauczyciela, ale zanim on poznał środowisko, mijały miesiące. Nauczyciele w Dąbrówce, zresztą jak we wszystkich szkołach mniejszościowych, to nie byli wyłącznie pracownicy szkolni, wieczorami pomagali zespołom śpiewaczym, tanecznym, muzycznym, prowadzili czytelnie gazet i książek.

– Władze państwowe pewnie wiedziały, że Ksiądz Proboszcz ma ogromny autorytet wśród Polaków. Czy nakazywały albo prosiły, aby Ksiądz, użyję tu urzędniczego słowa, germanizował mniejszość?

– Wielokrotnie był u mnie burmistrz Bürger z prośbą w tej sprawie. Odpowiadałem, że jestem tylko kapłanem, staram się dobrze wypełniać swoje zadania wobec Boga, Kościoła powszechnego i parafian.

Podczas jednej z wizyt na plebanii zarzucił mi, że u-upowszechniam polski język, bo głosząc kazania po po-polsku. Że na msze przychodzą również Niemcy i nie rozumieją, o czym mówię. Panie burmistrzu, czy uważa pan, że modlitwa po niemiecku jest lepsza niż po polsku? Jednak dla świętego spokoju wprowadziłem dodatkową mszę niedzielną, podczas której kazanie po niemiecku głosiłem.

– Burmistrz już więcej nie przychodził na plebanie?

– Gdy raz uległem, znowu przyszedł i zaczął od przypomnienia, że przede wszystkim Niemcem jestem. Nie, szanowny panie burmistrzu, przede wszystkim jestem człowiekiem, wyświęconym na kapłana katolickiego. Jestem również Niemcem, ale często się tego wsty-wstydzę. Jeszcze ksiądz tego pożałuje, zagroził.

– Co miał na myśli?

– Doszło do mnie, że berlińska centrala organizacji Kraft durch Freude wniosowała do ministra odpowiedzialnego za wyznania, aby mnie zastąpić kimś młodszym. Najlepiej z kraju sudeckiego albo z Bawarii. Kimś, kto będzie posłuszenie robił to, o co go poprosi administracja i organizacje nazistowskie. Czyli będzie germanizował katolicką mniejszość polską. Jestem pewny, że gdyby władze miały kogoś młodego, kto jest księdzem katolickim i, co było bardzo ważne, zna polską mowę, spełniłyby prośbę tej organizacji.

– Podobno jednak Ksiądz raz uległ władzom. Było to związane ze zmianą organisty.

– Nie tyle uległem, co zmusiło mnie do tego prawo, które nakazywało dać pracę Niemcowi, jeśli kandydatów jest więcej. W takiej sytuacji jako organistę w kościele zatrudniłem Königsmanna, imienia nie pamiętam, i po kilku tygodniach go zwo-zwolniłem. Musiałem tak postąpić, ponieważ parafianie zaczęli sabotować świątynię. Gdy władze administracyjne pytały, dlaczego nie przeciwstawiłem się sabotażowi, odpowiedziałem, że to mogło doprowadzić do strajku kościelnego. Takiego samego zdania byli moi zwierzchnicy w dekanacie i prałaturze.

– Jak podają kronikarze, w niedzielę, 3 września 1939 roku, odprawił Ksiądz sumę, wygłosił kazanie po polsku

i zaintonował polską pieśń *Chwała i dziękczynienie*. Dziewięć dni później został Ksiądz Proboszcz aresztowany.

– A-aresztowania parafian pod zarzutem zdrady stanu rozpoczęły się wcześniej. 11 września władze pozbawiły wolności 29 mieszkańców Dąbrówki, osadzając część w więzieniach, część w obozach koncentracyjnych. Po-potem były kolejne aresztowania i wywózki za Odrę, najczęściej w okolice Frankfurtu. W pozostawionych gospodarstwach władze osadzały Niemców.

– Ksiądz trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen koło Berlina.

– Stamtąd przewieziono mnie do Dachau w południowych Niemczech, gdzie naziści osadzili kapłanów katolickich, protestanckich i prawosławnych. W grupie więzionych najczęściej było księży i zakonników z terenów polskich. Dzięki Bogu przetrzymałem to nie-ludzkie traktowanie i o własnych siłach do parafii wróciłem.

– Żołnierze Wehrmachtu mieli na sprzączkach pasów wypisane „Gott mit uns” (pol. Bóg z nami). Dywizje wyruszające na front błogosławili kapelani.

– „Gott mit uns” to sentencja z prastarego Orderu Łabędzia, przejęta w 1701 roku jako dewiza państwowa Prus i potem stosowana w wojsku niemieckim. Większość armii europejskich zwracała się do Pana Boga. Od 1943 roku na polskich sztandarach wojskowych widniała dewiza „Bóg Honor Ojczyzna”. Przed wyruszeniem do boju kapelani wojskowi odprawiali polowe msze święte. Na tym zakończmy dyskusję na temat obecności Kościoła w wojsku.

– Po oswobodzeniu obozu w Dachau wrócił Ksiądz nie do Gross Dammer, a do Dąbrówki w granicach państwa polskiego, na plebanie, do kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i Świętego Jakuba Apostoła. Nie obawiał się Ksiądz, że...?

– Niczego i nikogo się nie obawiałem, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że z urodzenia jestem Niemcem. I że po tym, czego byłem świadkiem w Dąbrówce, w Sachsenhausen, w Dachau nie będzie mi łatwo żyć. Zre-zresztą niełatwo było wszystkim Budy-chom, Kleszkom, Młodystachom, Spychałam, Gołkom, Maniom,

Dudkom... Przede wszystkim każdy musiał udowodnić, że jest Polakiem.

– Komu udowodnić? W jaki sposób?

– Po pierwsze, że do końca sierpnia 1939 roku mieszkał na nowo o-odzyskanych ziemiach i należał do mniejszości polskiej w Niemczech. Po drugie, że nie był członkiem organizacji na-nazistowskiej. Po trzecie, musiał złożyć deklarację wierności narodowi polskiemu. Nawet po spełnieniu tych warunków niektórzy mieli problemy z uzyskaniem obywatelstwa polskiego. Szykanowano, straszono ludzi, a nawet grożono wy-wysiedleniem za Odrę. Było kilka takich sytuacji, że bezrolni parafianie starali się o gospodarstwa pozostawione przez Niemców, ale władze nie chciały przydzielić im ziemi.

– Ksiądz Proboszcz zdawał sobie sprawę z tego, że też może zostać wysiedlony?

– Z taką ewentualnością się liczyłem. Póki brakowało kapłanów, nikt ze mną nawet nie dyskutował na ten temat. Oto przykład z Grünbergu (pol. Zielona Góra). Od 1928 roku proboszczem katolickiej parafii Świętej Jadwigi był ksiądz Georg Gottwald. Po wkroczeniu Rosjan do miasta i utworzeniu potem polskiej administracji, to on pełnił obowiązki administratora parafii. W tym czasie odprawiał msze święte, udzielał sakramentu ostatniego namaszczenia, chrztu, małżeństwa, szedł za trumnami zmarłych i celebrował uroczystości. Czynił te posługi tak wobec Niemców, jak i wobec Polaków. Przede wszystkim był kapłanem. W październiku 1945 roku wraz z ludnością niemiecką zo-został wywieziony za Odrę.

– Czy ksiądz Gottwald starał się o polskie obywatelstwo?

– Nikt mu nie dał takiej możliwości. Zresztą gdyby nawet starał się pozostać w Zielonej Górze, miałby problemy, ponieważ nie znał polskiego. W tamtym czasie Niemców traktowano bezwzględnie, do tego stopnia, że nawet łamano zasady językowe, pisząc narodowość małą literą. Był Polak i Niemiec.

– A czy Ksiądz Proboszcz po powrocie z Dachau do Dąbrówki starał się o polskie obywatelstwo?

– Było to zbyt wiele. Na wniosek parafian władze Rzeczypospolitej nadały mi polskie obywatelstwo honorowe.

– **Dziękuję za rozmowę.**

– Panu Bogu niech będą dzięki.

Zakorzeni w dwóch kulturach

Na pograniczu polsko-niemieckim było wiele rodzin mieszanych. Na decyzję, czy zostaną obywatelami Niemiec czy Polski najczęściej miała wpływ wyznawana religia. Księża również wyżej stawiali wiarę nad przynależność narodową. Zresztą przyjęło się, że Polak to katolik, a Niemiec to ewangelik, co nie zawsze było prawdą.

Przed drugą wojną światową ksiądz Richard Platz odprawiał msze po niemiecku i po polsku w Kaszczorze koło Wolsztyna. Po wojnie był duchownym w pobliskich Łupicach koło Sławy, zamieszkałych przez ludność polską.

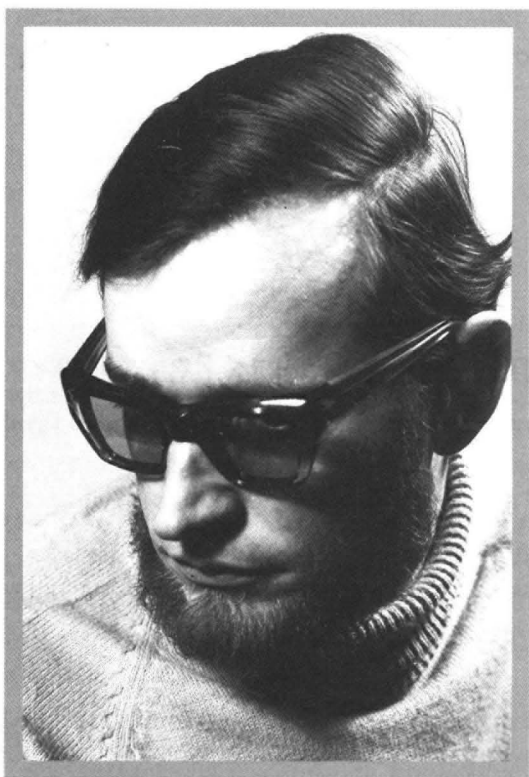
Ks. Adalbert Grün (1875-1955) był proboszczem katolickim w Bojanowie koło Rawicza większości zamieszkałym przez Polaków. W Lgen (pol. Lgini) koło Wschowy, w większości zamieszkałym przez Niemców, msze odprawiał ks. Stanisław Klemt. W 1919 r. niemieccy katolicy oskarżyli go o kontakt z powstańcami wielkopolskimi. Obawiając się wykluczenia, ks. Klemt zamienił się na parafię z ks. Grünem. Ten po zakończeniu drugiej wojny pozostał w Lginiu i przyjąwszy polskie imię Wojciech w latach 1945-1955 był proboszczem parafii Świętego Bartłomieja Apostoła.

W pobliskim Kolsku od lat przedwojennych do 1958 r. proboszczem parafii Świętego Jana Chrzciciela był ks. Feliks Galisz (1905-1958) wywodzący się z rodziny mieszanej, który po 1945 r. otrzymał obywatelstwo polskie.

Proboszczem parafii Świętej Marii Magdaleny w Zamyślowie koło Szlichtyngowy był ks. Karol Rohloff (1892-1959), Niemiec (?) znający język polski.

Mimo że niemieccy mieszkańcy Otynia wyjechali z parafii w 1945 r., plebanii nie opuścił ks. Otto Stephen (1911-1946), pragnąc sprawować tam urząd proboszcza. Został pochowany na miejscowym cmentarzu.

Od lat przedwojennych aż do śmierci proboszczem parafii Świętego Wawrzyńca i dziekanem babimojskim był ks. prałat Karol Meissner (1871-1949), radca honorowy. Jego grób znajduje się na cmentarzu w Babimoście.



Zygmunt Trziszka – fotografia Czesława Łuniewicza – ze zbiorów Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

Zygmunt Trziszka

Urodził się 10 grudnia 1936 r. w Wełdirzu koło Stanisławowa, zmarł 11 sierpnia 2000 r. w Warszawie. Ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. W latach 1955-1962 był nauczycielem w szkołach powiatu gorzowskiego i strzeleckiego. Potem mieszkał w Zielonej Górze, pracował m.in. jako publicysta w „Gazecie Zielonogórskiej”. W 1970 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie związał się z prasą ludową. Debiutował zbiorem opowiadań *Wielkie świniobicie* w 1965 r. Jest autorem jedenastu powieści, ośmiu tomów opowiadań i czterech zbiorów szkiców. Za powieść *Romansoid* dostał nagrodę im. Stanisława Piętaka.

TROCHE KARGULA, TROCHE PAWLAKA

Rozmowa z Zygmuntem Trziszką, pisarzem i publicystą

– Nie mam wątpliwości, że czytelnicy i historycy literatury zawsze będą uważali Pana za polskiego pisarza.

– Bo wszystko, co wyszło spod mojego pióra, najpierw ukazało się po polsku?

– Tak.

– Formalnie ma pan rację. Podkreślam: formalnie. Gdyby nie druga wojna, gdyby nie ta wielka wędrówka ludów ze wschodu na zachód, pewnie pozostałbym w Wędrzku. Skończyłbym tamtejszą szkołę powszechną, może i gimnazjum w powiatowych Dolanach i Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Byłbym pisarzem. Tylko jakim? Czeskim? Rusińskim?

– Polskim.

– Albo ukraińskim? A może sowieckim, czyli, jak się niedawno mówiło, radzieckim?

– Dlaczego radzieckim?

– W starym dowodzie osobistym, tym książeczkowym, stało czarno na białym, że urodziłem się w Związku Radzieckim. Wedle Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Zielonej Górze, która wydała mi tamten dowód, w 1936 roku Wędrzko nie leżał w powiecie dolińskim województwa stanisławowskiego. Dzieci w podstawówce wiedzą, że dopiero 17 września 1939 roku Ruscy przyłączyli Beskidy

Wschodnie do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Urodziłem się trzy lata wcześniej, kiedy miasteczko należało do Rzeczypospolitej Polskiej. I tak powinno być napisane w dowodzie osobistym. A było: tam, gdzie miejsce urodzenia / miejscowość – Wełdirz, gdzie gmina – Związek Radziecki. To już lepsza byłaby Ukraina, bo większość mieszkańców powiatu dołińskiego stanowili Rusini.

– Czym zajmował się Pana ojciec?

– Tato pochodził z Niagryna, to dwie godziny piechotą od Wełdirza. Jego ojciec, czyli mój dziadek Josef Třiška przyjechał tam z czeskich Moraw, gdy Austriacy założyli hutę zwaną Michtą. Razem z nim przyjechali Halla i Forster, Kaniuk i Drehler, Sztodler i Kafka. Wymieniłem ich nazwiska dlatego, że trzymali się razem do przyjazdu do Jastrzębnika i aż do śmierci. Teraz leżą w ziemi na górze w Goszczanowie. Tato był chyba pierwszym niagryńskim Czechem, który ożenił się z Polką, Heleną z domu Polańską, moją matką. Jeszcze za życia dziadka nauczył się fachu hutnika, ale porzucił Niagryn i pracował jako robotnik tartaczny przy gatrze w Wygodzie. To gminna wieś niedaleko Wełdirza.

– Jak wyglądał przedwojenny Wełdirz?

– Jak większość miścin na wschodnich kresach: kamienicy naszy, ulicy waszy. Było to rusińsko-żydowsko-polskie miasteczko gminne z jedną uliczką, jesienią grząską, zimą zasypaną śniegiem, przy której stały żydowskie kamienice. Nie pamiętam, co zrobili Ruscy, kiedy w 1939 roku weszli do Wełdirza, bo nie miałem jeszcze trzech lat. Jak dali łupnia Niemcom pod Stalingradem, miałem siedem lat, wtedy w naszym miasteczku nie było już nikogo ani z Morgensternów, Lichtensztajnow, Zygielbajmów, ani z Cukiermanów. W 1945 roku umiałem liczyć i pisać po rosyjsku i wiedziałem, że dziewczyny nie mają między nogami tego, co dynda chłopakom, dlatego jak sikają, to kucają. Wiedziałem też, skąd się biorą dzieci. Słowem: byłem tak samo mądry jak stary Kaniuk, tyle że nie potrafiłem napisać podania do gminy.

– I pewnie w rosyjskiej szkole, do której Pan chodził, nauczyciel nie powiedział, że na konferencji jałtańskiej w 1945 roku

Polska utraciła wschodnie kresy, a zyskała to, co później propaganda nazwała ziemiami odzyskanymi?

– Ani mój tato, ani moja matenka, a ona w naszym domu była najważniejsza, ani nikt z sąsiadów nie miał większego pojęcia, co się dzieje na świecie. O Polsce jałtańskiej dowiedziałem się dopiero w liceum w Skwierzynie. Tak samo jak o Manifeście PKWN, o budowie Nowej Huty, o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Tam, w Wełdirzu, nie było kogo spytać. Przysłany z głębi Rosji nauczyciel nosił się wysoko, pop bał się rozmawiać, a większość zdrowych i rozumnych mężczyzn, nie z własnej woli, pod sztandarem Drugiej Armii Wojska Polskiego obrała kierunek na Berlin. Jakby który dzieciaty próbował się wymigać od wojaczki, to enkawudziści uznawali go za dezertira. Kula w łeb albo *hajda* na Sybir!

– Pana ojciec też poszedł na front?

– Tato miał jakiś poważny feler, o czym nie wiedział. Odkryli to wojskowi medycy, gdy stanął przed komisją lekarską jak go Pan Bóg stworzył. Po co komu felerny żołnierz nawet w Drugiej Armii Wojska Polskiego?

– Czy pamięta Pan ostatnie dni w Wełdirzu?

– Tato przyszedł do chatki, usiadł na zydlu przy stole, zapalił skręta i powiedział do matenki, że w tartaku ludzie mówili o końcu wojny. Że tu, gdzie mieszkamy, będzie Rosja. Wełdirz ma się nazywać Szewczenkowie. Kto chce zostać, może zostać. Jemu dobrze, ma robotę, a rodzina co jeść, to by został. *Naczalnik* tartaku chce go zrobić *brygadirem*. Większe pieniądze. A jak nie podpisze *bumagi*, że zrzeka się polskiego *grażdanktwa*, natychmiast koniec z robotą. W naszym domu rządziła matenka, powiedziała więc, że przez pięć lat poznała Ruskich, dlatego niczego nie podpisze i nie wyrzeknie się polskiego obywatelstwa. Przypomniła ojcu, że ona jest z domu Polańska. Dwa razy powiedziała: Polańska. Jakby to wyglądało, gdyby Polańska została ruską graždanką?

– Rodzice zostawili dom i nie oglądając się za siebie wyjechali?

– Ten dom to była chatynka z jedną izbą, podłogą ubitą gliną, tyćimi oknami, bez prądu, z wychodkiem na podwórzu. Tylko że

najpierw w mojej pamięci, a potem w moich opowieściach i książkach ta chatynka stała się dworem. Co ja mówię? Pałacem!

– Zapamiętał Pan, jak rodzice ładowali wasz dobytek do wagonu, jak zagwizdał parowóz na pożegnanie Węldirza, jak pociąg odjeżdżał ze stacji?

– Niewiele było tego ładowania. Ruskie pozwolili wziąć do dwóch ton mienia na rodzinę. Nie pamiętam, czy parowóz zagwizdał, kto jechał z nami w wagonie. Nic nie pamiętam. Może ta pustka z przejęcia... bo to była moja pierwsza podróż pociągiem. Pierwsza i od razu daleka, do stacji na końcu świata.

– Gdzie była ta stacja na końcu świata?

– Wiele lat później matenka wspominała, że jechaliśmy z sześć tygodni. Pociąg często zatrzymywał się w polu, ponieważ pierwszeństwo miały transporty wojskowe, wagony stały dobę, dwie, nawet dłużej. Nie wolno było daleko odchodzić od torów, bo nikt nie wiedział, kiedy parowóz ruszy. Na stacji w Krzyżu kolejarze odczepili kilka wagonów z końca składu. Stary Kaniuk spytał ni to wojskowego, ni cywila, czy to już koniec naszej jazdy i co będzie dalej. Usłyszał, że jak przyturla się nowy parowóz, to pociągnie wagony do Schwerin an der Warthe. Tam jest powiatowy punkt docelowy PUR-u i tam będą wiedzieli, dokąd nas skierować. PUR, szanowny panie, stary Kaniuk spytał uniżenie, co to takiego? Państwowy Urząd Repatriacyjny, tamten odpowiedział.

– „Dopalał się tułaczzy czas. Drabiniaste fury tarabaniły się po drodze”, to pierwsze zdania z powieści *Dopala się noc*. Dokąd ta droga prowadziła?

– Rozumiem, że pyta pan nie o powieściową, a o rzeczywistą drogę ze Schwerin an der Warthe, czyli ze Skwierzyny do Christophswalde, czyli Jastrzębnika. Ona prowadziła przez Morm i Lipke. To pierwsze spojrzenie na nową ziemię przeniosłem do *Domu nadodrzańskiego*. Mój bohater widział po prawej stronie „jedno wielkie bagnisko na służbie wody rozleniwionej. Takiej drugiej wsi nie ma w tym państwie. Słyszał kto o rzece, żeby była leniwa? Tylko ta Notec przewielebna sunie przez dolinę jak ciało bez duszy. Wychłapie z siebie wodę i nie umie jej zebrać. Słońce tego także nie wypije”.

– Jakie było Christophswalde?

– Podobne do Węldirza. Też jedna ulica. Po jej lewej i prawej stronie rozsiadły się murowane domy, przykryte czerwonymi dachami, nie za wysokie. Tato chciał mieszkać w większym domu, takim jak kamienica, matenka w mniejszym, jakby była przekonana, że większy jej się nie należy. Po co zajmować cztery pokoje na dole, dwa na górze, sień, spiżarnię, piwnicę? Do tego też murowaną stodołę, stajnię, oborę, kurnik, wiatę na maszyny, drewnutnię? Tato przytaknął. Przecież nie będzie orał i obsiewał hektarów pola, najwyżej posadzi kartofle za domem dla nas i prosiaków. A krowa sama się wyżywi na nadnoteckich łąkach. Wokół lasy sosnowe, robota akuratna dla takiego, co umie ścinać drzewa piłą i ciachać siekierą. Tato z matenką w zgodzie zajęli chyba najmniejszy domek w Jastrzębniku, a razem z nimi nasza czwórka miała dach nad głową.

– Czy we wsi mieszkali jeszcze Niemcy?

– Na palcach jednej ręki można było policzyć tych, którzy zostali w swoich gospodarstwach, najczęściej były to kobiety z dziećmi. Stary Kaniuk mówił, że nie dali dyla przed Ruskimi, bo nie uważali się za Niemców. Byli potomkowie kolonistów olenderskich z Fryzji i Niderlandów, sprowadzeni nad Noteć w XVIII wieku, w czasach pruskich. Mimo że mieli nazwiska holenderskie i z wyglądu nie przypominali Niemców, jesienią 1945 roku ich też zaczęto wysiedlać za Odrę. Mogli ze sobą zabrać niewiele więcej niż byli w stanie donieść do punktu zbornego. Oznaczało to, że w domach zostawili garnki i talerze, meble, nawet pierzyny i poduszki. W wędzarniach dyndały kiełbasy, w spiżarniach stały rzędy okurzonych weków, myszy rajcowały w spichrzach, gdzie leżały worki z mąką. W oborach nie było krów, w chlewach świń, bo co młodsze bydłota i kabany Ruscy popędzili na wschód, a mięsem starszych i tłuszczejszych karmili swoich żołnierzy. Stajnie też były puste, ale nie z powodu Ruskich. Niemcy wcześniej zarekwirowali konie.

– Wszyscy wędłirzanie, którzy jechali z wami tym samym pociągami, osiedlili się w Jastrzębniku?

– Jechały nas setki. Pierwsza grupa miała dość jazdy w Murzynowie, druga w Lipkach Wielkich, trzecia w Goszczanowie. Do Jastrzębnika dojechali ci, którzy nie mogli się zdecydować na pozostanie

najpierw w Murzynowie, potem w Ludziszawicach, później w Lipkach Wielkich i Goszczanowie. Gdyby wieźli nas do Gościmia albo jeszcze dalej, na przykład do Trzebicza, pewnie bylibyśmy chętni do jazdy.

– Czy w Jastrzębniku oprócz repatriantów z Węldirza mieszkali ludzie z innych kresowych miejscowości?

– Zanim odpowiem na pytanie, wygłoszę uwagę. Rzeczywiście w urzędzie gminy, w starostwie powiatowym, nawet na plebanii nazywano nas repatriantami. Wedle *Słownika języka polskiego*, repatriant to „osoba powracająca do kraju po długim pobycie na obczyźnie (zwykle jeniec wojenny, przesiedleńca, uchodźca itp.)”. Ale przecież nie wracaliśmy ani z długiego, ani z krótkiego pobytu za granicą. W 1945 roku mieliśmy ograniczony wybór: albo pozostać w Węldirzu i przyjąć obywatelstwo radzieckie, albo zostawić dom, zabrać swoje bambetle i wyjechać. Dopiero w punkcie PUR-u w Skwierzynie usłyszeliśmy, że przyjechaliliśmy na prastare ziemie piastowskie. Potem propagandziści powtarzali jak pacierz: „Byliśmy, jesteście, będziemy”... Pan jeszcze o coś spytał.

– Spytałem, czy nowi mieszkańcy Jastrzębnika pochodzili wyłącznie z Węldirza.

– Trochę ich było z naszych stron. Halla i Forster, Kaniuk i Drehler, Sztodler i Kafka. Ci sami, których ojcowie i dziadkowie jeszcze za cesarza Franciszka Józefa przyjechali z czeskich Moraw do roboty w hucie w Niagrynie. Spod Węldirza był Boratyn, Hajdasz. Osiedliło się kilku Poleszuków. Kiliański, Słonimski, Błatkiewicz, Depa, Śniegowski. Nie było Wołyniaków. Przyjechały ze dwie, trzy rodziny z centralnej Polski. I byli piracy.

– Piracy? Co to za jedni?

– Pirakami nazywaliśmy komorników, dworusów i wszelką biedotę z Poznańskiego. Przed wojną nie mieli nawet ara własnej ziemi, więc jak się nadarzyła okazja wyjazdu na zachód, najodważniejsi pojawili się we wsiach przy dawnej granicy polsko-niemieckiej. Choć wszyscy mówili po polsku, obcokrajowiec, który na studiach polonistycznych nauczył się języka polskiego, nie zrozumiałby ich. „Młodość ma swoje prawa. Zaczął Manuśko zalecanki. Mota sobie

dziewuchę-pyrę. Będzie z tego Sodoma. Helka już w domu zaczęła bosiny. Oplakuje swego mołojca. – Manuško na smert udusił – skarży się sąsiadkom. – Dla mnie newistku-pyru wybrał. Hałyba się go uczepliła. Żeby jeszcze się rozmyślił, na to zawsze czas. Rzuci ją może, taj szlus. Uczepliła się go. Manušku, mój ty królewiczu, nie daj się, bo przy takiej skapcaniejesz”.

– Przypomniał Pan fragmencik debiutanckiego *Wielkiego świ-niobicia*. Książka ukazała się w 1965 roku. Krytyk literacki Stefan Jurkowski napisał w „Tygodniku Kulturalnym”, że tym zbiorem opowiadań zwrócił Pan na siebie uwagę, stając „w szeregu pisarzy rokujących nadzieję”.

– Całe moje pisanie brało się z doświadczeń wyniesionych z Jastrzębnika, z Ulimia i Kłodawy, gdzie byłem nauczycielczakiem. Z pamiętników mówionych mojej rodziny. Kiedy zaczął się repatriancki exodus, miałem osiem lat, a to najlepszy wiek, żeby zapisać sobie w podświadomości dni wyjścia do nowej ziemi. W tym miejscu powinienem powtórzyć za Edwardem Stachurą, że „Mało wymyśliłem fabuł. Było to niepotrzebne. Każdy człowiek jest wielką tajemnicą i wystarczy, żeby zgłębiał siebie i spisywał swoje doznania i stany, i to jest ciekawe”.

– Jastrzębnik był językową i kulturową wieżą Babel. Inaczej to wyglądało w Złotniku koło Żar, gdzie zamieszkali górale czadecy z Nowego Sokońca na Bukowinie. Jeszcze inaczej w Białkowie koło Cybinki, wsi niemal w całości przeniesionej z Polesia.

– Niewielu wioskom kresowym udało się w całości zmienić adres. Oczywiście było i tak, jak pan powiedział: wyjechali wszyscy, ze swoim księdzem, nauczycielką, nawet ze swoim młynarzem, jeśli go Ruscy wcześniej nie wywieźli na Sybir. Oficjalnie ludzie zabierali swój lichy dobytek i w tajemnicy wyposażenie kościołów. Tą drogą uważany za cudowny obraz Matki Bożej Klewańskiej, namalowany prawdopodobnie w XVII wieku w Klewaniu na Wołyniu, przyjechał do Skwierzyny. Przywiozła go Stanisława Basaj i dopiero na miejscu przekazała proboszczowi. Ten najpierw umieścił wizerunek na plebanii, a w 1950 roku przeniósł go do kościoła Świętego Mikołaja.

– Kościół, mam na myśli nie tylko wspólnotę religijną, ale i budowlę, jednoczył mieszkańców podczas mszy i nabożeństw. Księża udzielali sakramentów i byli z wiernymi do ich ostatnich dni. Pisali podania, doradzali i pewnie bronili, a kiedy było można, bawili się razem z parafianami.

– „Parafia – w moim opowiadaniu *Hulają bez pamięci* – nie to samo co gmina, gromada. W naszej parafii hulają bez pamięci. Tylko wtedy wiadomo, gdzie hulają, bo co inna wieś, to inna pieśń, w każdej wsi inaczej biegnie hulacka tołoka. Rozparły się wioszczyny jedna przy drugiej, ale w każdej inna niesie się pieśń. Bo rozległa ta parafia. W dwóch powiatach rozsiała się, a na dobre, to nawet w trzech, zaczęła skrawiny trzeciego. Mówią, nasza parafia, ale nie dlatego, żeby labusiowi nie wszystkim zawierzyli, nawet przeciwnie, coraz mniej ich kimsztuje, ale taka gładźba się utarła. Lipy, Jany, Goszcz – przyłgnęły wioszczyny do płaszczyzny asfaltu, wypinają chałupy, waśniackie piersi. Wieś przy szosie to już prawie nie-wieś. A tamte, chociaż z tej samej parafii, a już niżej postawione, bo przy polnych drożynach, pokutane między chałackimi wierzbami. Goszcz, Goszczyki – to jeszcze wsie, a już reszta parafialna, szkoda słów. Bartoszek, Lipina – rozbiegane tam chałupy, zagubione w torfowiskach, podmokłe, zalewane mętną wodą Noteci, pożał się Boże, toż to już zwykle półwsie, bez kościoła, bez klubu”.

– Kościoły były wspólną własnością, podobnie jak szkoły, świetlice, kluby. Domy, zabudowania gospodarskie i ziemię wszyscy, którzy mieli odwagę osiąść na ziemiach odzyskanych, dostali za darmo.

– Ci, którzy przywieźli papiery, że na Wileńszczyźnie, Polesiu, Podolu coś zostawili, dostali mienie za darmo. Prawda, wschodnie domy i zabudowania przy nowych były mizerniutkie. Inni, czyli najczęściej ci z centralnej Polski i z Poznańskiego za pozostawione przez Niemców budynki i ziemię musieli zapłacić. Trochę gotówką, resztę zbożem, mięsem i mlekiem. Repatriant, dla wygody rozumienia pozostaliśmy przy tym określeniu, chociaż jest nieprawdziwe, najpierw wypełniał formularz *Wniosku o przyznanie prawa własności*. Potem Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego w Strzelcach Krajeńskich wydawała mu *Akt nadania*. Inaczej to wyglądało, jeśli chodzi o frontowców. Ci, mimo że nie mieli żadnych dowodów

pozostawienia majątku na wschodzie, dostali wszystko za darmo. Gdy szli na front, a było już po konferencji jałtańskiej, obiecano im nagrodę w postaci gospodarstw na ziemiach odebranych Niemcom. Zdemobilizowani żołnierze osiedlali się w powiatach wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej. Ponadto dostali krowy, świnie i konie odebrane Niemcom oraz z rozformowanej dywizji kawalerii. Potem pomagała im UNRRA.

– **Czyli było im lepiej.**

– Lepiej? Najlepiej byłoby wszystkim, gdyby pozostali tam, gdzie się urodzili. Gdzie czuli się u siebie. Tu, w Jastrzębniku, w Goszczanowie, w Goszczanówku, nawet w parafialnym Trzebiczu i gminnym Drezdenku, długo nikt nie uważał się za gospodarza. A kto słuchał Radia Wolna Europa (słuchali niemal wszyscy), bał się, że Niemcy wrócą. Czy jest sens dbać o domy, stodoły, płoty... jeśli wrócą Niemcy?

– **Nie wrócili.**

– Nie wrócili... Część sąsiadów, tych z Polesia, nie mam na to dowodów, chodziła do kościoła katolickiego dlatego, że w okolicy nie było cerkwi prawosławnej. Oni pewnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że nie byli ochrzczeni po katolicku. Przyjmowali księdza, jak chodził po kołędzie, bo wszyscy przyjmowali księdza. Brali ślub w kościele, bo gdzie mieli brać, żeby było po Bożemu? Ksiądz nie pytał, kto jest katolikiem, kto prawosławnym, tylko szedł za trumną w kondukcje pogrzebowym na cmentarz i robił to, co do niego należało. Czy pan wie, że ja dopiero w Warszawie doszedłem do wniosku, że nie jestem katolikiem?

– **A kim? Może prawosławnym?**

– Akurat panowała moda na szukanie swoich korzeni. Pojechałem do Stanisławowa, który nazywa się Iwano-Frankowskim, tam zapytałem o drogę do Węldirza. Młodzi nie słyszeli o takiej miejscowości. Tłumaczyłem, że do 1945 roku miasteczko leżało w dolińskim powiecie. Może Bolechiw? Albo Wigoda? Ja na to, że gdzieś niedaleko, bo w Wygodzie mój tato pracował w tartaku. Jak niedaleko to tylko *sieło* Szewczenkowie. Mieli rację. Mój Węldirz nazywał się Szewczenkowie. Przed wojną w miasteczku była synagoga i cerkiew greckokatolicka. Spytałem o drogę do cerkwi.

– I...?

– I się okazało, że nigdy nie byłem katolikiem rytu rzymskiego. Od chrztu musiałem być grekokatolikiem, bo część mieszkańców Wełdirza chodziła do cerkwi, częśćka do synagogi. O tym, kim jestem wedle religii, dowiedziałem się u kresu swego życia.

– Jak w komedii Sylwestra Chęcińskiego *Sami swoi*.

– To, co Chęciński zrobił na podstawie scenariusza Andrzeja Mularczyka, nigdy mnie nie śmieszyło. We wszystkich wioskach ziem zwanych odzyskanymi, gdzie uczyłem dzieci, albo do których zaprowadził mnie dziennikarski nos, jedni mieszkańcy mieli trochę cech Karguła, drudzy trochę Pawlaka. Ja też.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuszanie nie tylko ze wschodu

Pierwsza repatriacja z kresów wschodnich rozpoczęła się w 1944, trwała do 1946 r. Na Środkowe Nadodrze transporty zaczęły przyjeżdżać w maju 1945 r., 31 grudnia 1945 r. mieszkało tu 101.338 repatriantów, najwięcej z Polesia, Wołynia i Podola oraz 116.723 przesiedleńców, głównie z Wielkopolski, Mazowsza, Łódzkiego, Krakowskiego i Rzeszowskiego. W powiatach międzyrzeckim, babimojskim i zielonogórskim mieszkali tzw. autochtoni. Reemigranci przyjeżdżali przede wszystkim z Francji, Niemiec, Rumunii i Jugosławii.

Według spisu powszechnego ludności 3 grudnia 1950 r. w województwie zielonogórskim (dużym) mieszkało 560.613 osób:

autochtoni	– 14.569
przesiedleńcy	– 293.108
reemigranci	– 15.581
repatrianci	– 229.996
niewiadomego pochodzenia	– 7.389

Druga repatriacja z kresów wschodnich miała miejsce w latach 1955-1959. Wcześniej, bo w latach 1947-1950 na Środkowym Nadodrzu zostali osadzeni mieszkańcy południowej Polski, wyznania grekokatolickiego i prawosławnego, wywiezieni ze swoich miejscowości w ramach Akcji „Wisła”.

W 1939 r. na Środkowym Nadodrzu mieszkało około 960 tys. Niemców. Około połowa z nich uciekła lub została wypędzona za Odrę i Nysę Łużycką jeszcze przed końcem wojny. Resztę wywieziono do 1949 r. W 1970 r. w województwie zielonogórskim (dużym) mieszkało 880 tys. osób, czyli mniej niż w 1939 r. na tym samym obszarze.



Edward Jancarz – zdjęcie Kazimierza Ligockiego

Edward Jancarz

Urodził się 20 sierpnia 1946 w Gorzowie Wielkopolskim, tam zmarł 11 stycznia 1992 r. Ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową. Karierę sportową rozpoczął w szkółce gorzowskiego klubu Stal, z którym był związany do końca swego życia. Uważany za jednego z najbardziej utalentowanych żużlowców, reprezentował też barwy klubów angielskich. W swojej karierze zdobył dwanaście medali podczas mistrzostw świata: w 1968 r. zajął trzecie miejsce na indywidualnych mistrzostwach, cztery razy stawał na podium na zawodach parami i siedem razy w drużynie. Jego imię nosi stadion w Gorzowie i jedna z nadwarciańskich ulic. Na jego cześć postawiono w mieście pierwszy i zarazem jedyny na świecie pomnik żużlowca.

JAZDA TYLKO W LEWO

Rozmowa z Edwardem Jancarzem,
dwunastokrotnym medalistą mistrzostw świata na żużlu

– Tuż po studiach pod koniec czerwca 1970 roku zamieszkałem w Brzozie koło Strzelec Krajeńskich. W niedzielę po południu miejscowa młodzież wybierała się na mecz żużlowy. Wtedy pierwszy raz byłem na stadionie przy Śląskiej w Gorzowie.

– Łe, tak późno? Ja pierwszy raz oglądałem takie zawody w 1952 roku. Jak miałem z sześć lat. Ojciec zabrał mnie na stadion, gdzie, jak się później dowiedziałem ze spisanej historii klubu, było coś koło pięć tysięcy ludzi. Niewiele rozumiałem, ale, kurcze, podobał mi się ten wiwatujący tłum. I kurz wylatujący spod kół pędzących maszyn. Do tego taki specyficzny warkot silników...

– Wtedy, w czerwcu 1970 roku wyszedłem ze stadionu szary od pyłu wzbijanego przez maszyny na wirażach i odurzony specyficzną wonią czegoś, czego nie umiałem określić.

– Metanol, paliwo do silników żużlowych. Niektórzy nazywają je karbinolem albo spirytusem drzewnym. Dla tego zapachu, kurcze, ludzie walili na stadion przy Śląskiej jak w niedzielę do katedry. Nie tylko z Gorzowa. Przyjeżdżali też ze Skwierzyny, Kostrzyna, Witnicy, Sulęcina, Myśliborza. Chyba ze wszystkich mieścin i wioseczek po obu stronach Warty i Noteci.

– Zaraz, zaraz, motocykl żużlowy nie jest napędzany najzwyczajszą benzyną albo mieszkanką benzyny z olejem, a silną trucizną, jaką jest alkohol metylowy?

– Łe, to wie każdy chłopak w Gorzowie.

– Ja nie jestem z Gorzowa.

– Pomiedzy motocyklami żużłowymi i takimi, którymi ludzie jeżdżą na wycieczki jest dużo różnic...

– Czego one dotyczą?

– Maszyna żużlowa nie ma skrzyni biegów i hamulców. Jest zrobiona tak, aby jeździła w lewo i pokonywała łuki ślizgiem kontrolowanym. Motocykl, który w 1970 roku pan widział przy Śląskiej to pewnie była maszyna z czeskiej Jawy... Później pojawiły się włoskie silniki firmy GM...

– Czy dużo metanolu spalał taki silnik?

– Litr.

– Na jaką odległość?

– Na kilometr.

– Bardzo dużo.

– No.

– O tym, że Polacy umieli budować motocykle na światowym poziomie, świadczy przedwojenny sokół albo powojenny junak. A skoro żużel jest sportem popularnym w Polsce, szczególnie w zachodniej części kraju, dlaczego nasi inżynierowie nie skonstruowali silnika żużlowego?

– Kiedy jako brzdąc chodziłem z ojcem na stadion przy Śląskiej, stalowcy jeździli na motocyklach przystosowanych przez miejscowych fachurów. W 1955 roku zrobili sześć silników. Stal 001-55 czy jakoś tak. Wsadzili je w ramy, ktoś mówił, że to były ramy ZMG (od Zakładów Mechanicznych „Gorzów”, bo w nich robili konstruktorzy). Na nich stalowcy jeździli w sezonie 1955. W następnym roku z warsztatów wyjechało jeszcze sześć maszyn.

- Zawodnicy innych klubów również jeździli na stalach?
- Silnik z Gorzowa nie był pierwszym, który powstał dla żużlowców.

- A gdzie powstał pierwszy silnik żużlowy?
- W Anglii.

– Pytam o Polskę.

– Podobno w 1954 roku, w Rzeszowie, gdzie jak w Gorzowie było dużo fanów motoryzacji. Tam zrobili pierwsze silniki dla żużlowców. Nazywały się fisy. Były wzorowane na angielskich japach. Jak opowiadał Kazimierz Wiśniewski w szkółce żużlowej, silniki spisywały się nawet lepiej niż ich oryginalne egzemplarze. Na fisach zawodnicy jeździli do 1959 roku. Wtedy pojawiły się czeskie jawy.

– W Krakowie najważniejszym sportem pewnie jest piłka nożna. Podobnie na Śląsku, w Zagłębiu, w Warszawie, w Łodzi... Na Środkowym Nadodrzu najwięcej kibiców przyciąga żużel.

– W Gorzowie po wojnie uprawiano chyba wszystkie dyscypliny. Byli nawet łucznicy, bokserzy, żeglarze, narciarze, hokeiści...

- Hokeiści na trawie czy na lodzie?
- Na lodzie.

– Żeglarze mieli jeziora w pobliżu Dobiegniewa i Pszczewa. Narciarze mogli zjeżdżać chociażby z Góry Wisielców lub z innych wzniesień, ponieważ Gorzów, jak podają autorzy przewodników turystycznych, leży na siedmiu wzgórzach. A gdzie znaleźli swoje miejsce miłośnicy hokeja na lodzie?

– Pierwsze mecze hokeistów były na zamrożniętych rozlewiskach Warty. Potem zbudowano lodowisko w parku Słowiańskim, jeszcze później sztuczne przy Pomorskiej. Gorzowiacy występowali nawet w drugiej lidze. Niech pan sobie wyobrazi, że piłkarze wodni Stilonu piętnaście razy byli mistrzami Polski. Łucznicy należeli do krajowej czołówki. Nie potrafię wymienić wszystkich sukcesów wodniaków na igrzyskach olimpijskich. Mówię o wioślarzach i kajakarzach. Tyle ich się nazbierało, że trudno zapamiętać.

– Czy wśród pierwszych, odważnych mieszkańców Gorzowa, którzy po 1945 roku osiedlili się w mieście nad Wartą, byli miłośnicy żużla?

– Żużel jako dyscyplina sportowa w Polsce międzywojennej nie był szerzej znany. Trener mówił, że pierwsze mistrzostwa kraju rozegrano w 1932 roku w Mysłowicach na Śląsku. Wydaje mi się, że wpływ na wzrost jego popularności miał rozwój powojennej motoryzacji. Jak się popatrzy na mapę Polski... Najwięcej drużyn żużlowych powstało w zachodniej i południowej części kraju.

– Dlaczego akurat tu?

– Przy fabrykach.

– W Gorzowie ten sport związał się z Zakładami Mechanicznymi przy Fabrycznej, Przemysłowej i Obrońców Stalingradu.

– Robili tam naprawdę łebscy konstruktorzy. Zrobili nawet ciężki traktor na gąsienicach Mazur. Potem czterośladowy traktor C451 i uniwersalny C316. A wie pan, że w Gorzowie montowali popularne w leśnictwie i gospodarce komunalnej dwukołowe dziki?

– Domyślałem się, że pierwsi gorzowscy konstruktorzy po pracy w fabrycznych warsztatach majsterkowali w szopach, czyli przerabiali powojenne niemieckie cyndapy i dekawki na cywilne motocykle.

– W tamtym czasie robotnik brał wędkę i siedł nad Wartą. Albo na działkę. Inżynier szukał czegoś innego...

– Czego?

– Pewnie dlatego już w 1945 roku zawiązała się sekcja motorowa. Była ona bardziej nastawiona na przebudowę maszyn niż na rajdowanie. Swoje maszyny inżynierowie sprawdzali na polnych drogach pod Baczyną. Na pagórkach koło Nowin Wielkich. Na mokradłach za Santokiem, które zastępowały im tory motocrossowe.

– Co jest takiego ciekawego w ściganiu się czterech mężczyzn, że stadiony w Gorzowie i Zielonej Górze zawsze są pełne?

Że następnego dnia podczas przerw w pracy ludzie zażarcie dyskutują na temat zawodów?

– Teraz, kurecze, nazywa się to adrenaliną. Dawniej chodziło o to samo. Czyli o wyścig. O to, żeby wygrał najlepszy. A najlepiej było, gdy jako pierwszy metę mijał nasz zawodnik.

– Kibice za to płacą, mają więc prawo wymagać, aby wygrał ich zawodnik.

– W tamtym czasie sportowcy biegali, rzucali, skakali, zdobywali medale, ale nie tylko dla sportu. Bo i dla uczczenia takich świąt jak 1 Maja albo Dni Gorzowa.

– Pan też został sportowcem nie dla sportu?

– W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, jak Królak wygrywał etapy Wyścigu Pokoju, u nas na podwórku wszyscy byli kolarzami. Jak w 1957 roku w Chorzowie Cieślík dwa razy pokonał ruskiego bramkarza, każdy chłopak ganiał za piłką. Potem każdy był Lubańskim. Deyną. Szarmachem. Latą. Na naszym podwórku było też trochę Krzyszkowiaków, Sidłów, tych... no... Chromików, Szmidtów, Zimnych... Wtedy miałem żal do rodziców, że nie mogę być jak ci wielcy sportowcy, bo jestem mizerny. Takie nic. Żadna dziewczyna nie chciała ze mną pogadać.

– I na przekór wszystkim został Pan żuźlowcem. Jak to się stało?

– Jak już powiedziałem, jako dziecko chodziłem z ojcem na stadion. Podobały mi się ubrania zawodników. I to, że jak żuźlowiec dojeżdża do mety, ludzie zrywają się z ławek. Wiwatują. Gdy w 1961 roku gorzowska Stal dostała się do pierwszej ligi, chyba nie opuściłem żadnych zawodów na Śląskiej.

– Takich kibiców były w Gorzowie tysiące.

– Pewnie. Gorzów to żużel.

– Kto chociaż troszkę interesował się żużlem, wiedział, kim jest Jerzy Padewski, czym się zajmuje Edward Pilarczyk...

– Andrzej Pogorzelski. Edmund Migoś, Bronek Rogal byli jak święci... To i jak wiosną 1965 roku Stal ogłosiła nabór do szkółki

żuźlowej, byłem wśród pierwszych ochotników. Razem ze mną zgłosił się kolega z podwórka Marian Owczarski, ale nie przeszedł badań lekarskich. Po pierwszych zajęciach miałem dość robienia tego, co kazał trener. I przestałem chodzić na treningi. Potem mówiono, że zrezygnowałem na znak solidarności z Marianem.

– Autor historii Pana życia Jan Delijewski pisze, że „miłość do żuźła okazała się silniejsza” i kilka tygodni później jednak wrócił Pan do szkoły.

– Skończyłem zawodówkę. Coś niecoś wiedziałem o silnikach, ale nie o maszynach żuźlowych. Mimo to po teoretycznym przygotowaniu wskoczyłem na motor. I, jak potem często opowiadał trener Wiśniewski, a był to znakomity żuźlowiec, zrobiłem coś, czego on w życiu nie widział.

– Co takiego pan zrobił?

– Na kolejne zajęcia trener zaprosił Migosia, czynnego zawodnika i opiekuna pierwszego zespołu Stali. Migoś powiedział do Wiśniewskiego, że mam to coś.

– Czyli co...?

– Łe, no to, co jest potrzebne żuźlowcowi. I natychmiast wziął mnie pod swoje skrzydła.

– Co miał na myśli?

– Tego nie da się opowiedzieć. To coś się ma albo nie, kurcze.

– Predyspozycje?

– Pre... co?

– Taki dar od Pana Boga. Zdolności.

– No.

– Kronikarze żuźła uważają, że w 1968 roku podczas indywidualnych mistrzostw świata w Göteborgu przekonał Pan kibiców i Polski Związek Motorowy do swego talentu.

– Do 1968 poza Gorzowem nikt mnie nie znał. Jeździłem dopiero trzeci sezon. W Polsce liczyli się Pocięjkowicz, Andrzej Wyglenda,

Paweł Waloszek, Woryna... O, jeszcze Zygmunt Pytko, Mucha, Maj... Padewski i Pogorzelski z Gorzowa. W eliminacjach do finału kontynentalnego w Rybniku zająłem ósme miejsce. W finale, który odbył się w rosyjskiej Ufie, byłem czwarty. Potem odbył się finał europejski we Wrocławiu, gdzie zająłem siódme miejsce.

– Mimo to Związek wysłał Pana na mistrzostwa świata do Göteborga.

– Im chodziło o to, abym się otarł o wielki sport. Wtedy pierwszy raz wyjechałem za zachodnią granicę. Dopiero w Szwecji zobaczyłem, jakie maszyny mają Australijczycy. Na czym jeżdżą Nowozelandczycy. Niemcy. Duńczycy. Anglicy. Szwedzi. Podpatrywałem ich jak mały Kazio swoją siostrę w kąpiel. I z zawziętością walczyłem do tego stopnia, że w finale wygrałem aż trzy biegi. Dwa razy byłem trzeci.

– Zdobył Pan jedenaście punktów. Jedenaście punktów miał też Genadij Kurylenko.

– W biegu barażowym o trzecie miejsce byłem lepszy od Ruska. Na najwyższym stopniu podium stał Mauger z Nowej Zelandii. Z jednej strony jego rodak Barry Briggs. Z drugiej ja. Na centralnym miejscu stadionu Ullevi powiewały trzy flagi, jedna była białoczerwona. Kurcze, ale...

– „Polska sensacja na Ullevi” – tak o sukcesie Pana pisały gazety sportowe. Na pytanie dziennikarzy o marzenia, odpowiadał Pan najczęściej: „Stanąc na najwyższym podium indywidualnych mistrzostw świata”.

– No, tak było.

– Duma Pana rozsadzała.

– Żaden polski żuźlowiec przede mną nie osiągnął aż tyle w wyścigach indywidualnych co ja. Po mnie w 1973 roku Jurek Szczakiel podczas mistrzostw w Chorzowie, w biegu barażowym o pierwsze miejsce objechał legendę światowego żużla Maugera. Najpierw Nowozelandczyk zasnął na starcie. Potem się przewrócił. I pomimo tego, że leżał na torze, sędzia nie przerwał wyścigu. Gdyby zawody odbywały się w innym kraju albo Mauger walczył o złoto nie z Polakiem,

reakcja sędziego byłaby natychmiastowa i taka, jaka powinna być. W 2010 roku mistrzem świata został Tomek Gollob ze Stali.

– Czy sukces w Göteborgu przewrócił Panu w głowie?

– Łe, na pewno czułem się kimś szczególnym, tym bardziej że go-rzowscy kibice już nie szli na stadion przy Śląskiej, a na Jancarza. Byłem na ustach całego miasta. W klubie mogłem sobie pozwolić na strojenie fochów. Na żądania i takie tam.

– Woda sodowa uderzyła Panu do głowy.

– Trochę, kurcze.

– Potem wielokrotnie reprezentował Pan Polskę we wszelkich kombinacjach jazdy na żużlu, mam na myśli wyścigi drużynowe, zawody parami, biegi indywidualne.

– Zdawałem sobie sprawę z tego, że Związek na mnie liczy. Że nie mogę przegrać startu. Że z Wembley, z Landshut, z White City, z Vojens, z Krska, z Los Angeles muszę wrócić z sukcesem. Najlepiej z medalem. Udało się to dwanaście razy indywidualnie, w parach i z drużyną.

– Stal z Pana udziałem wielokrotnie była mistrzem kraju.

– Pogubiłem się w tym, ile razy Stal zdobyła mistrzostwo Polski. Ile razy dominowaliśmy w parach. Ile razy wygrałem indywidualnie. Naprawdę byliśmy bardzo dobrzy. Wszyscy w żużlowym świecie zazdrościli nam takiego składu. A jak w 1970 roku w zespole pojawili się nasi wychowankowie Zenek Plech i Boguś Nowak, na Stal nie było mocnych. Wygrywaliśmy z Unią Leszno, Rowem Rybnik, Spartą Wrocław. Potem, gdy do czołówki ligi doszedł częstochowski Włóknierz i zielonogórski Falubaz, im także dawaliśmy wciry. Myśmy rozumieli, że można mieć indywidualistów, ale przede wszystkim trzeba mieć drużynę. Kurcze, trzeba jeździć dla zespołu. Współpracować. Trzeba sobie pomagać, kurcze, a nie ścigać się między sobą.

– Fachowcy twierdzą, że w żadnej dyscyplinie nie ma aż tylu okazji do przygotowania nawierzchni pod umiejętności własnych zawodników i z krzywdą dla rywali.

– Święta prawda.

– Pan na każdej nawierzchni dawał sobie radę?

– Nigdy nie lubiłem nawierzchni wybronowanej albo błotnistej. Albo przygotowanej w jeszcze dziwniejszy sposób. Mnie odpowiadała jazda środkiem toru, gdzie nawierzchnia była lekko przyczepna i się odsypywała.

– Dlaczego?

– Wtedy można jechać nie gęsiego, jak za panią matką, tylko szeroko. Wyrzedzać. Wymijać. Sypać żużlem spod tylnego koła. Taka jazda najbardziej cieszy kibiców, bo wyraźnie widać, kurcze, że to jest prawdziwy wyścig. Wygrywa najlepszy.

– Żużel należy do najbardziej niebezpiecznych dyscyplin sportu. Zawodnicy często łamią sobie nogi, ręce, żebra. Pan z każdej kraksy wychodził cało.

– Udało mi się podczas zawodów, a nie udało się uniknąć kraksy na treningu w 1971 roku...

– Jak to się stało?

– Zderzyłem się z Ryśkiem Działkowiakiem. Kontuzja prawej nogi była aż tak poważna, że groziło mi usztywnienie kolana. To mogło oznaczać koniec kariery. Dzięki Bogu, ortopedom udało się wykaraśkać mnie z kontuzji. W kolejnym sezonie nie było nawet śladu po złamaniu.

– Pana sława musiała być wielka, skoro w styczniu 1974 roku Ivan Mauger zaprosił Pana i Zenona Plecha na cykl zawodów w Australii i Nowej Zelandii.

– Mauger organizował takie zawody przez wiele lat, upowszechniając w ten sposób żużel w Australii i Nowej Zelandii. Na antypodach, jak mówili w klubie. Ja pojechałem tam bardziej z ciekawości. Po przygodę. Wyjazd nie wiązał się z żadnymi wydatkami.

– Sam Pan pojechał do Australii?

– Oprócz Zenka Plecha i mnie z Gorzowa, był Woryna z Rybnika, Duńczyk Olsen, Anglik Martin Ashby, Szwed Johansson, którzy z Niemców. Gospodarzy reprezentowali Billy Sanders, Barry Briggs, Phil Crump, oczywiście Mauger i jeszcze jacyś zawodnicy, których

nazwiska wyleciały mi z głowy. W kilku miastach odbywały się wyścigi Australia – reszta świata. Rozmawiałem z żyjącymi tam Polakami. Gadali, że rozsądek nakazywał im kibicowanie za Australijczykami, serce podpowiadało, aby wspierali Plecha, Worynę i mnie.

– Podobno w Australii zaczął Pan prowadzić dziennik, co się rzadko zdarza wśród sportowców, a częściej wśród literatów.

– No.

– W jakim celu wziął się Pan za pisanie?

– Niezgrabnie szło mi notowanie tego, czego byłem świadkiem i w czym uczestniczyłem. Gdyby nie odpowiedź Romana Siudy z *Gazety Lubuskiej*, pewnie dałbym sobie spokój z pisanem, ale tak prosił... Od trzynastego stycznia do dziewiętnastego marca zapisałem czterdzieści trzy kartki. Nigdy więcej nie wróciłem do dziennika. Pisanie nie było dla mnie.

– Od sezonu 1977, oprócz tego, że reprezentował Pan gorzowską Stal w lidze polskiej, to jeździł Pan również na torach angielskich.

– Sprzęt w żuźlowym świecie zmieniał się w mgnieniu oka. Aby dorównać najlepszym zawodnikom, trzeba było jeździć na najlepszych maszynach. Ani Stal nie miała dolarów na silniki z najwyższej półki, ani Związek. Jedynym sposobem zdobycia, jak się wtedy mówiło, dewiz, była robota na Zachodzie. Dlatego Związek zgodził się, aby Marek Cieślak z Włókniarza Częstochowa jeździł w White City Rebels i ja w Wimbledon Dons.

– Wszystko poszło po Pana myśli?

– Tam w Anglii, okazało się, jak potrzebny był mój pobyt Australii.

– Ze względu na język angielski?

– Panie, w Stali zawodnik miał dużo trenować i jeszcze więcej wygrywać. Reszta była na głowie działaczy klubowych.

– A na Wyspach...?

– Na Wyspach zawodnik dostawał tylko terminarz i adresy stadionów, gdzie miały się odbywać wyścigi. Nikogo w klubie nie

interesowało, kurcze, w jaki sposób dostanę się na stadion. Czy mam na czym jeździć? Kto mi pomoże przygotować maszynę? Anglicy płacili i wymagali wyników na najwyższym poziomie.

– **Tak było od pierwszego dnia?**

– Menedżer angielski dobrze wiedział, jakie zasady obowiązują w polskim żużlu i do czego zawodnik jest przyzwyczajony. Na początku dał mi zaliczkę w funtach. Pomógł w zakupie sprzętu. Wskazał mechanika i nawet przyprowadził tłumacza-opiekuna. Później sam musiałem sobie radzić. A że w pierwszym sezonie znalazłem się na szczycie brytyjskiej ligi, pomocników i doradców nie brakowało.

– **Dostał Pan nawet przydomek Steady Eddy, co oznaczało mniej więcej: niezawodny, pewniak.**

– W kolejnym sezonie jeździłem z numerem 1 na plastronie. To dowodziło, że jestem liderem zespołu. Rok później podczas zawodów z Cradley Heath zdarzyła się poważniejsza kraksa. Wyglądało to na koniec mojej kariery na żużlu.

– **W Anglii jeździł Pan jeszcze przez dwa sezony, chociaż Stal chciała mieć Pana tylko dla siebie. Bez pełnego udziału Eddy'ego w Gorzowie, klub nie miał szansy na zdobycie mistrzostwa Polski.**

– Po latach pełnych sukcesów zaczął się nie najlepszy okres w dziejach klubu.

– **Dlaczego?**

– Rozpoczęła się przebudowa stadionu przy Śląskiej. To zmusiło nas do jazdy w Poznaniu. W dodatku Proch przeniósł się do Bydgoszczy. A chyba najlepszy trener w polskim żużlu doktor Ryszard Nieścieruk zamienił Gorzów na Grudziądz.

– **Kto został trenerem Stali?**

– Ja, kurcze.

– **Przestał Pan być zawodnikiem?**

– Byłem jeżdżącym trenerem, na co patrzono krzywo. Ale jak gorzowiacy znowu zdobyli mistrzostwo Polski, krytykanci ucichli.

– Długo trwała ta sytuacja: trener i zawodnik?

– 9 sierpnia 1984 roku podczas zawodów testowych w Gorzowie pechowo zderzyłem się z młodym Włochem Valentino Furlanettą. Najpierw wyleciałem w powietrze, potem upadłem na głowę. Na koniec przygnoiły mnie szczepione maszyny.

– Po pobycie w szpitalu i rekonwalescencji wrócił Pan na tor?

– Wróciłem jako zawodnik i szkoleniowiec w Stali. I jeszcze, kurcze, byłem za trenera kadry narodowej. Niestety, coraz bardziej dawały mi się we znaki skutki tamtego wypadku...

– Zaczął Pan przegrywać.

– Łe, na żużlu wygrywają ci, którzy nie boją się szybkości. Potrafią ominąć nawet niewidoczną przeszkodę.

– I którzy pewnie nie zdają sobie sprawę z konsekwencji upadku.

– Żebyś pan wiedział.

– Żużel to połączenie sportu z cyrkiem.

– Zawodnik nie może się bać, a ja zacząłem się bać. Taki, co się boi, jest, kurcze niepotrzebny. Dlatego w 1985 roku postanowiłem, że koniec kariery.

– Po dwudziestu jeden latach nieprzerwanego reprezentowania gorzowskiego klubu Pan zdjął plastron Stali ze swoich piersi.

– Miałem łzy w oczach, jak dawałem go Piotrkowi Świstowi.

– Bogusław Nowak powiedział, że był Pan pierwszym polskim zawodowcem wśród amatorów.

– Co jak co, ale dbałość o szczegóły miałem we krwi.

– Na początku kariery to był tylko sport. Potem chyba Pan zrozumiał, że można z tego nieźle żyć.

– Za późno zrozumiałem, kurcze.

– Dziękuję za rozmowę.

Sławni landsberezcy i gorzowianie

Urodzili się w mieście nad Wartą:

Carl Wilhelm Frölich (1759-1828) – pisarz niemiecki

Theodor Heinrich Burchardt (1771-1853) – prawnik, pomolog

Johann Gottlieb Paucksch (1816-1899) – fabrykant

Hermann Gustav Ende (1829-1907) – architekt niemiecki

Otto Julius Girndt (1835-1911) – pisarz i librecista niemiecki

Max Gottlieb Bahr (1848-1930) – fabrykant

Victor Klemperer (1881-1960) – pisarz niemiecki

Kurt Franz Scharf (1902-1990) – biskup ewangelicki, dr h.c. Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie

Christa Wolf (1929-2011) – pisarka niemiecka

Krystyna Prońko (1947) – piosenkarka

Krzysztof Pulkowski (1956) – scenarzysta, aktor

Kazimierz Marcinkiewicz (1959) – polityk, premier rządu Rzeczypospolitej w latach 2005-2006

Marek Jurek (1960) – polityk, marszałek Sejmu w latach 2005-2007

Tadeusz Kucharski (1974) – wioślarz, mistrz olimpijski w 2000 i 2004 r.

Michał Jeliński (1980) – wioślarz, mistrz olimpijski w 2008 r.

Adam Bałdych (1986) – kompozytor, skrzypek, aranżer



Jerzy Kołakowski – zdjęcie z archiwum Uniwersytetu Zielonogórskiego

Jerzy Kołakowski

Urodził się 30 czerwca 1907 w Częstochowie i tam zmarł 19 listopada 1980 r. Studia ukończył w 1936 r. na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej. Był więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Buchenwald. W 1946 r. na uniwersytecie w Getyndze obronił dysertację doktorską, dziewięć lat później został docentem. Tytuł profesora nauk technicznych otrzymał w 1965 r. Jego zainteresowania badawcze koncentrowały się wokół technologii przeróbki plastycznej metali. W 1949 r. zorganizował Wyższą Szkołę Inżynierską w Częstochowie. Potem tworzył wydziały techniczne uniwersytetu w Bagdadzie. W 1965 r. stworzył Wyższą Szkołę Inżynierską w Zielonej Górze.

DROGA DO UNIWERSYTETU

Rozmowa z prof. dr. hab. Jerzym Kołakowskim, pierwszym rektorem zielonogórskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej

– Moje pokolenie dzieli czas na ten przed drugą wojną światową i po wojnie. Przed wojną na Środkowym Nadodrzu nie było ani jednej wyższej uczelni.

– Co do tego mam wątpliwości. Po tamtej stronie Odry, we Frankfurcie w 1506 roku powstał uniwersytet Viadrina, trzysta lat później przeniesiony do Breslau, czyli dzisiejszego Wrocławia. We Frankfurcie studiowała młodzież z Niemiec, Polski, Szwecji, Norwegii, Danii. Do najznakomitszych absolwentów Viadriny należy kompozytor i pianista Carl Emanuel Bach, syn sławnego Sebastiana Bacha, patron frankfurckiej filharmonii. Tę uczelnię skończył pisarz i dramaturg Heinrich Kleist, którego imię nosi teatr we Frankfurcie. Dyplom Viadriny zdobył też Anastazy Raczyński, którego kolekcja malarstwa obcego stanowi trzon Muzeum Narodowego w Poznaniu. Absolwentami Viadriny byli najslawniejsi niemieccy uczeni, patroni uniwersytetu w Berlinie, Aleksander i Wilhelm Humboldtowie.

– Poprawiam tezę: po przeniesieniu Viadriny do stolicy Dolnego Śląska Środkowe Nadodrze aż do 1965 roku było białą plamą, jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe.

– Dalej mam wątpliwości. W Beuthen, znanym dziś jako Bytom Odrzański, na początku XVII wieku Jerzy Schönaich założył gimnazjum, które miało ambicje akademickie. W Sorau, czyli Żarach

położonych na historycznych Łużycach, w 1886 roku powstała wyższa szkoła zawodowa kształcąca kadry dla przemysłu tkackiego: Preussische Höhere Fachschule für Textilindustrie. Jak podaje autor historii Żar Tomasz Jaworski, w szkole studiowała „młodzież z Indii, Skandynawii oraz z południowej i wschodniej Europy”. Jej integralną część stanowiło laboratorium naukowo-badawcze. Od 1766 roku istniało Königliches Pädagogium zu Züllichau, znane nam pod nazwą Sulechów. Była to uczelnia przygotowująca kadry dla szkolnictwa pruskiego, nie w pełni wyższa, jak twierdzi badacz dziejów lubuskich Jerzy Piotr Majchrzak, poziomem kształcenia przewyższająca podobne pedagogium w Berlinie. Wedle niego dyplom ukończenia tej szkoły mieli: Bernhard zur Lippe-Biersterfeld, mąż królowej Holandii Juliany; Walter Krickenberg, znawca kultury dawnej Ameryki i dyrektor berlińskiego muzeum etnograficznego; Albert Schulz, tłumacz *Pana Tadeusza* na niemiecki.

– Idąc tą drogą, można trafić do Gościkowa, gdzie od 1836 do 1926 roku w klasztorze pocysterskim mieściło się seminarium nauczycielskie, kształcące młodzież z Wielkopolski, Śląska, Łużyc, Brandenburgii.

– Gościkowo ze swoim Paradyżem to bardzo ważne miejsce na umysłowej mapie regionu lubuskiego. W murach klasztoru cysterskiego przez sześćset lat mnisi przepisywali dzieła cywilizacji chrześcijańskiej. Potem była przerwa intelektualna, ale nie pustka, bo istniało seminarium nauczycielskie i gimnazjum. O tym, co się działo w dawnym opactwie tuż przed drugą wojną i w czasie jej trwania, nie mam ochoty opowiadać. W 1945 roku powstała apostołska administracja kamieńska, lubuska i prałatury pilskiej w Gorzowie. Dwa lata później rządcą administracji ksiądz doktor Edmund Nowicki utworzył Wyższe Seminarium Duchowne. Od czasu przeniesienia Viadriny do Wrocławia była to pierwsza szkoła wyższa z prawdziwego zdarzenia na Środkowym Nadodrzu. Niektórzy historycy szkolnictwa traktują seminaria duchowne na równi z innymi seminariami, a jeszcze inni uważają je za wyższe szkoły zawodowe. Gdyby chodziło o inżynierię mechaniczną, miałbym pole do popisu, w sprawach dotyczących standardów kształcenia duchownych nie jestem autorytetem.

– W 1950 roku Zielona Góra stała się administracyjną stolicą województwa, najmniejszą w kraju. W tym czasie Koszalin nie odzyskał jeszcze przedwojennej wielkości. Podobnie Opole, które obok Koszalina i Zielonej Góry było trzecim miastem podniesionym do rangi stolicy regionu.

– Przed administracjami nowych województw stawiało to poważne wyzwania. W żadnym z tych miast nie było uczelni kształcącej kadry. Dopiero w 1954 roku, po przeniesieniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Wrocławia, Opole stało się miastem akademickim. Koszalin i Zielona Góra oglądały się na Poznań. Szczecin miał jedynie szkołę inżynierską i ledwo radził sobie z kadrami. Zresztą identyczna sytuacja była w Kielcach, Olsztynie i Rzeszowie.

– Mój kolega po piórze Janusz Koniusz opowiadał, że po wydarzeniach październikowych 1956 roku ówczesny premier Józef Cyrankiewicz nazwał województwo zielonogórskie białą plamą na kulturalnej i umysłowej mapie Polski.

– W tamtym czasie Józef Cyrankiewicz miał prawo tak powiedzieć. W Gorzowie i Zielonej Górze było po jednym teatrze, po jednym muzeum, po jednej bibliotece. W Zielonej Górze istniała zawodowa orkiestra symfoniczna. Źródłami informacji była gazeta codzienna i rozgłośnia Polskiego Radia. Dopiero co powstał okręg związku artystów plastyków, a oddział związku literatów był marzeniem garstki poetów. Środowisko naukowe Zielonej Góry skupiało się wokół archiwum państwowego i stacji Polskiego Towarzystwa Historycznego. Nieliczne badania prowadzili na Środkowym Nadodrzu uczeni z Poznania, rzadziej z Wrocławia i Warszawy, bardzo rzadko z Krakowa i Łodzi. Sytuacja nieco się zmieniła po powstaniu Lubuskiego Towarzystwa Kultury w 1957 roku. Zupełnie inna była pięć lat później, kiedy *Gazeta Zielonogórska* ogłosiła hasło „Lubuska droga do uniwersytetu”. W 1962 roku uczelnie poznańskie utworzyły punkty konsultacyjne w Zielonej Górze. W tym samym roku przy LTK powstał Ośrodek Badawczo-Naukowy, a dwa lata później zawiązało się Lubuskie Towarzystwo Naukowe, do którego należało blisko trzysta osób. To drzewo musiało dać owoce.

– Zielonogórska droga do szkoły wyższej prowadziła innym traktem niż opolska. Wyłożonym brukiem politycznym.

– Od końca lat pięćdziesiątych XX wieku polski Kościół katolicki przygotowywał się do obchodów millenijnych. W tym samym czasie państwo z wielką propagandową pompą czyniło przygotowania do tysiąclecia chrztu, chociaż oficjalnie nie było za dużo mowy o tym, że w 966 roku Mieszko I go przyjął. Państwo rzuciło hasło „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Szkoły były bardzo potrzebne szczególnie w małych miejscowościach. Potem okazało się, że niektóre zbudowano trochę na wyrost i ze względu na brak młodzieży trzeba je było zamienić na placówki opieki społecznej czy domy starców albo poprawczaki. W Zielonej Górze hasło padło na żyzny grunt i dało najbardziej potrzebny owoc, ale zanim do tego doszło, delikatnie mówiąc, wydarzyło się coś niebywałego. Kuriozum! Temu, w czyjej głowie się ono ulęгло, zielonogórzanie powinni postawić pomnik przy wejździe do kampusu szkoły nauk technicznych.

– Wedle autorów *Słownika języka polskiego* PWN kuriozum to „zjawisko osobliwe, niezwykle, dziwaczne; osobliwość, fenomen, dziwoląg”.

– W tym przypadku było wszystkiego po trosze z przewagą fenomenu. Spośród wielu akcji propagandowych Związku Młodzieży Socjalistycznej zielonogórska zasługuje na więcej niż pochwałę. Zapisala się złotymi literami w dziejach szkolnictwa wyższego. Nawiasem mówiąc w niej również było niemało politykierstwa. Akcja ZMS wiązała się z Władysławem Gomułką, który w październiku 1956 roku przejął władzę w rządzącej partii i zapowiedział odwilż demokratyczną. Zapowiedź została przyjęta z ogromnym entuzjazmem, ponieważ, dawała nadzieję na zmianę warunków życia Polaków.

– Mówi Pan o tym samym Gomułce, który zanim w 1948 roku został oskarżony o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i aresztowany, który wcześniej był w polskiej grupie na konferencję poczdamską, a potem wicepremierem i ministrem ziem odzyskanych?

– Prawdopodobnie dlatego w jego postępowaniu po wyborze na szefa rządzącej partii bardzo ważne miejsce zajmowały ziemie zwane odzyskanymi. „Polska jest jedna. Polska jest tu – między Bugiem a Odrą i Nysą Łużycką. Nigdzie indziej” – przypomniał w 1957 roku w swoim najsłynniejszym przemówieniu do narodu. I robił wszystko,

aby zachodnie Niemcy nie uważały Śląska, Nadodrza i Pomorza za terytoria znajdujące się czasowo pod zarządem polskim. Gomułka doprowadził do tego, że kanclerz Willy Brandt padł na kolana przy pomniku Bohaterów Getta w Warszawie. Wprawdzie uprzedzili go polscy biskupi, wysyłając list do biskupów niemieckich ze sławnym „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Krótko mówiąc, Gomułce bardzo zależało na zmianie oblicza ziem odzyskanych, z czego one próbowały korzystać.

– Czy to ma coś wspólnego z pierwszą zielonogóorską szkołą wyższą?

– Przepraszam, za daleko odbiegłem od tematu naszej rozmowy... Nigdy nie dowiedziałem się, kto z imienia i nazwiska rzucił hasło, aby Związek Młodzieży Socjalistycznej zbierał pieniądze na budowę gmachów II Studium Nauczycielskiego w Zielonej Górze. Gdy w 1961 roku na koncie związku było osiem milionów złotych, uroczyście wmurowano kamień węgielny pod kompleks obiektów dla studium. Prawdę mówiąc, jak na potrzeby słuchaczy nauczycielskiej polonistyki, historii i muzyki było to wyrażnie za dużo, jakby ktoś, czyli osoba nieznana mi z imienia i nazwiska, chciał okrężną drogą doprowadzić do uruchomienia szkoły akademickiej z prawdziwego zdarzenia.

– Gdzie powstał projekt obiektów uczelnianych?

– Jego autorem był architekt Witold Piasecki z pracowni Blok w Warszawie. Zaprojektował kompleks budynków składających się z bloku dydaktycznego dla blisko pięciuset słuchaczy, auli, sali gimnastycznej, stołówki i internatu. Budynki miały powstać na terenie pofałdowanym przy ulicy Podgórnej, architekt przewidział więc podziemne przejścia i korytarze. Potem, kiedy uczelnia była faktem, śmiano się, że to jedyna szkoła wyższa w Polsce, gdzie można zdobyć dyplom inżynierski, chodząc na wykłady i ćwiczenia w kapciach.

– To było w 1961 roku.

– Akt erekcyjny wmurowano 21 lipca, w przeddzień w tamtym czasie z wielką pompą obchodzonego Święta Odrodzenia Polski. Następnego dnia Zielona Góra gościła Jurija Gagarina, pierwszego kosmonautę świata. Temu wydarzeniu nadano wielką oprawę propagandową.

Gagarina poproszono o złożenie podpisu na kopii aktu erekcyjnego. Podkreślam: na kopii, a nie na oryginale, który dzień wcześniej został wmurowany pod kompleks budynków studium nauczycielskiego.

– Dlaczego nie skoordynowano obu uroczystości?

– Byłem wtedy mieszkańcem Częstochowy, więc nie wyjaśnię, dlaczego tak się stało... Niebawem zaczęto szeptać, że w Zielonej Górze przy ulicy Podgórnej rosną mury szkoły, której patronem zostanie Jurij Gagarin. Czy w tej sprawie ktokolwiek rozmawiał z Rosjaninem, nigdy się tego nie dowiedziałem.

– Dlaczego Gagarin miał zostać patronem studium, skoro ani nie był pedagogiem, ani nie miał osiągnięć naukowych? Miał gwiazdki oficera lotnictwa, który poleciał w kosmos i szczęśliwie wrócił na Ziemię.

– Nigdy nie opowiadałem się za tym, aby patronami placówek naukowych i kształcących młodzież były osoby niewiele mające wspólnego z nauką. Proszę jednak pamiętać, jakie to były czasy. Gagarin został mianowany patronem uczelni w 1969 roku, rok po tym, jak zginął w katastrofie lotniczej. A ponieważ w Zielonej Górze odbywały się festiwale piosenki radzieckiej, przeciw Gagarinowi jako kandydatowi na patrona szkoły nikt nie protestował. Lepszy taki patron niż ten, którego miał Uniwersytet Wrocławski.

– O kim Pan mówi?

– Uniwersytet Wrocławski nosił imię Bolesława Bieruta.

– A czyje imię mogła nosić uczelnia w Zielonej Górze?

– Najlepszy byłby patron wybierany spośród tych, którzy tu się urodzili albo tu mieszkali i przeszli do historii nauki.

– Byli tacy?

– Byli, tyle że nawet najodważniejsi bali się głośno wypowiadać ich imiona, nazwiska i zasługi dla ludzkości.

– Dlaczego?

– Nikt nie ma wątpliwości, że mieszkający w Żaganiu Johann Kepler był wielkim astronomem. Podobnie jak Wilhelm Foerster, który

urodził się w dawnej Zielonej Górze i doszedł do godności rektora uniwersytetu w Berlinie. Stąd pochodził znakomity chemik Fritz Foerster. W Łagowie urodził się noblista Gerharrrd Domagk, do szkoły chodził w Lubsku. W Niwicy żył noblista Walter Nernst, autor trzeciej zasady termodynamiki, konstruktor żarówek, którymi oświetlono wieżę Eiffla w 1899 roku podczas Światowej Wystawy w Paryżu, rektor uniwersytetu berlińskiego. Kandydaci na patronów wprost idealni.

– **Ale Niemcy.**

– Ale Niemcy.

– **Po trzech latach budowy kompleks budynków II Studium Nauczycielskiego przy ulicy Podgórnej były gotowy na przyjęcie słuchaczy. Studium jednak nigdy nie powstało.**

– Wiele razy pytałem Bronisława Ratusia, czy to w jego głowie uląkł się pomysł utworzenia Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Zawsze odpowiadał bardziej jak polityk niż uczony, wskazując zbiorowość niemożliwą do określenia. Jedno jest pewne: w grudniu 1964 roku Ratus z trybuny zjazdu krajowego ZMS w Warszawie wezwał swoją organizację, aby pomogła w powołaniu, jak się wtedy mówiło, Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w Zielonej Górze. Takiej samej, jaka powstała w Lublinie, Rzeszowie, Bydgoszczy, Białymstoku. Niemal identyczną drogą podążyły potem władze opolskie, koszalińskie i kieleckie.

– **Czy Bronisław Ratus, który z polityki przeszedł do nauki i był profesorem, nie powinien zostać patronem uczelni?**

– Profesor Ratus z pewnością był wspaniałym pedagogiem, dociekliwym badaczem, ale, to wyłącznie moja teza, powiedział na zjeździe ZMS to, co zostało wcześniej przesądzone. Tym bardziej że zaledwie kilka miesięcy po tym zdarzeniu powołano komitet organizacyjny uczelni.

– **Pan Profesor również był w Komitecie.**

– Minister szkolnictwa wyższego spytał mnie, czy pomogę w zorganizowaniu szkoły inżynieryjnej w Zielonej Górze. Miałem zamiar odpowiedzieć, że chcę się zająć nauką i badaniami w swojej

uczelni, czyli na Politechnice Częstochowskiej, ale minister tak mi, jak to mówią młodzi, kadził, tak na mnie naciskał, że uległem jego prośbie. Ma pan ogromne doświadczenie w uruchamianiu uczelni, powiedział i przypomniał, że byłem organizatorem szkoły częstochowskiej i uczelni technicznej w bagdadzkim uniwersytecie. Że nie prosi mnie o przeniesienie się na stałe do Zielonej Góry, a tylko o pomoc.

– W czerwcu 1965 roku Rada Ministrów ogłosiła swoją decyzję o utworzeniu szkoły inżynierskiej w Zielonej Górze. Pan został jej pierwszym rektorem.

– W rozporządzeniu rządu była mowa o utworzeniu Wyższej Szkoły Inżynierskiej z wydziałami: ogólnotechnicznym, mechanicznym i elektrycznym. Studia dzienne miały trwać cztery lata, wieczorowe pół roku dłużej. Po zdaniu wszystkich egzaminów przewidzianych regulaminem studiów, absolwenci mieli otrzymywać dyplomy inżynierskie.

– Kiedy ruszyła uczelnia?

– Nabór na studia dzienne ogłoszono 12 czerwca 1965 roku. Chętnych na pierwszy rok było kilka razy więcej niż przewidziano miejsc, dlatego po uzyskaniu zgody ministerstwa szkolnictwa zwiększyliśmy limit przyjęć. Dominowała młodzież z Zielonej Góry i najbliższych miejscowości. Wśród studentów, zapamiętałem to dobrze, byli też absolwenci liceów i techników z Legnicy, Leszna, Głogowa, Jeleniej Góry, a nawet z akademickiego Wrocławia i Poznania.

– Może spodziewali się, że tu będzie łatwiej zdać egzamin wstępny.

– Pierwszy egzamin wstępny przeprowadzili pracownicy Politechniki Częstochowskiej, a więc osoby z doświadczeniem dydaktycznym. Trochę się obawiałem, że zielonogórcy prominenci będą naciskali na mnie i egzaminatorów, aby ich dzieci potraktować ulgowo. Nie zaprzeczam, że w tej sprawie kilka razy odezwał się telefon w rektoracie. Większych nacisków spodziewałem się po pierwszym semestrze, kiedy trudów studiów nie wytrzymała córka sekretarza komitetu wojewódzkiego rządzącej partii, syn wiceprzewodniczącego

wojewódzkiej rady narodowej, potomkowie działaczy partyjnych i dzieci ich znajomych.

– **Naprawdę miejscowi prominenci nie naciskali na Pana?**

– Nie tylko nie naciskali, ale mnie unikali, jakby się wstydziło tego, że oni zajmują ważne stanowiska w administracji czy partii, powinni być wzorem do naśladowania, a dzieci tak ich zawiodły.

– **Przypuszczam, że większość wykładowców stanowili pracownicy Politechniki Częstochowskiej.**

– Otóż nie. Z Częstochowy razem ze mną pochodziło tylko czterech nauczycieli akademickich. Pozostali byli miejscowi, wśród nich osoby z przemysłu z zacięciem naukowym i osiągnięciami badawczymi. Na przykład Ryszard Malentowicz był autorem patentów, miał doświadczenie w zakresie spawalnictwa i zastosowania materiałów wybuchowych w warunkach przemysłowych. Kilku wykładowców łączyło zajęcia na uczelni z pracą w Lumelu, którego kadra reprezentowała bardzo wysoki poziom. Część nauczycieli przeszła do nas ze szkół średnich. Regina Orzełek została kierownikiem studium języków obcych, a po latach obroniła rozprawę doktorską i pracę habilitacyjną, kierowała instytutem filologii germańskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Piotr Chocianowski jako wykładowca obronił dysertację doktorską z fizyki. Niektórzy mieli stopień naukowy doktora nauk humanistycznych, a więc niezbyt przydatny w szkole technicznej. Mimo to historyk doktor Hieronim Szczegółka ze Szprotawy był niezastąpiony w uczelni, zresztą identycznie jak historyk doktor Marian Eckert z Rzepina. Obaj byli wśród tych pierwszych zielonogórzan, którzy otrzymali tytuły profesorskie.

– **Czy wykładowcy z Politechniki Wrocławskiej i innych starszych uczelni nie mieli ochoty przenieść się do Zielonej Góry?**

– Wraz z rozwojem uczelni narastał problem braku wykładowców. Wszyscy miejscowi specjaliści, którzy spełniali wymogi i mieli ambicje akademickie, zostali zaangażowani do pracy w uczelni. Warunki nauczania w Zielonej Górze nie były złe. Nie brakowało miejsc w domach studenckich, była przychodnia lekarska, klub, sala gimnastyczna, sale kreslarskie, laboratoria. Brakowało jedynie tego, czego brakowało w całym kraju: mieszkań dla pracowników.

Gdyby nasza szkoła miała mieszkania, pewnie sprawę udałooby się rozwiązać od ręki. Z pewnością młodszy wykładowcy z Politechniki Wrocławskiej, Poznańskiej, Częstochowskiej ustawialiby się w kolejce pod moimi drzwiami.

– W jaki sposób uczelnia rozwiązała ten problem?

– Na starszych latach studiów, gdzie odbywa się kształcenie wyspecjalizowane, zajęcia prowadzili nauczyciele akademicy głównie z Wrocławia i Poznania. W czasie wolnym od wykładów i ćwiczeń w swoich politechnikach przyjeżdżali do nas na kilka dni w miesiącu. Część spośród nich tak się związała ze szkołą zielonogórską, że zamieniła macierzyste politechniki na naszą uczelnię.

– Wyższa Szkoła Inżynierska była bardziej placówką badawczą, czy tylko szkołą zawodową, kształcącą inżynierów?

– W założeniu było kształcenie kadry dla zielonogórskiego Zastalu, Zgrzeblarek, Lumelu, nowosolskiego Dozamet, świebodzińskiej Eltery, gorzowskiego Ursusa, głogowskiej Huty Miedzi, dla przedsiębiorstw budowlanych i zakładów energetycznych. Staraliśmy się być mniej politechniką, gdzie dominuje teoria techniki, a bardziej uczelnią przygotowującą absolwentów do wykorzystywania nowych technologii. Jestem przekonany, że z tego zadania WSI wywiązywała się wzorowo.

– Rok 1969 był bardzo ważny dla uczelni. Wtedy jej mury opuścili pierwsi absolwenci z dyplomami inżynierskimi.

– A ja wtedy powiedziałem: zrobiłem, co do mnie należało. To, co cztery lata wcześniej obiecałem ministrowi szkolnictwa wyższego. Do czego zobowiązałem się władzom województwa podczas pierwszej rozmowy. Uczelnia stała mocno na nogach i dawała nadzieję na szybki rozwój. Zielona Góra nie była już białą plamą na umysłowej mapie Polski. Mogłem wrócić do Częstochowy i wreszcie zająć się tym, co mnie pasjonowało jeszcze na Politechnice Lwowskiej. Tam zdobyłem dyplom inżynierski, byłem specjalistą w zakresie teorii obróbki plastycznej.

– Dziękuję za rozmowę.

Daty z historii Uniwersytetu Zielonogórskiego

Uczelnia powstała w wyniku połączenia Politechniki Zielonogórskiej z Wyższą Szkołą Pedagogiczną. W pierwszym projekcie miał to być Uniwersytet Lubuski z wydziałami w Zielonej Górze i Gorzowie.

Szkoła techniczna

21 czerwca 1961 – wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę gmachu II Studium Nauczycielskiego przy ul. Podgórnej w Zielonej Górze

3 czerwca 1965 – powołanie Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze

Czerwiec 1969 – pierwsi absolwenci z dyplomami inżynierów opuścili mury WSI

22 września 1969 – nadanie WSI imienia Jurija Gagarina

Czerwiec 1973 – uczelnię opuścili absolwenci z dyplomami magistrów inżynierów

Lipiec 1987 – WSI otrzymała pierwsze uprawnienie do nadawania stopnia naukowego doktora nauk technicznych w zakresie budownictwa

Wrzesień 1996 – zmiana nazwy WSI na Politechnikę Zielonogórską

Szkoła humanistyczna

20 lipca 1971 – powołanie Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Zielonej Górze

29 września 1973 – zmiana nazwy WSN na Wyższą Szkołę Pedagogiczną

Czerwiec 1975 – uczelnię opuścili pierwsi absolwenci z dyplomami magisterskimi

15 lutego 1989 – nadanie WSP imienia Tadeusza Kotarbińskiego

26 września 1994 – WSP otrzymała pierwsze uprawnienie do nadawania stopnia naukowego doktora nauk humanistycznych w zakresie historii

Uniwersytet

1 września 2001 – w wyniku połączenia Politechniki Zielonogórskiej i Wyższej Szkoły Pedagogicznej powstał Uniwersytet Zielonogórski, na którym studiuje 16,3 tys. osób (2012 r.). Uczelnia jest podzielona na szkoły nauk: technicznych, ścisłych i ekonomicznych oraz humanistycznych i społecznych. Pracuje w niej 1.710

osób, wśród nich 934 pracowników naukowych, m.in. 72 profesorów tytularnych, 166 profesorów nadzwyczajnych i doktorów habilitowanych oraz blisko 500 doktorów. Na dziesięciu wydziałach prowadzi 42 kierunki studiów licencjackich, inżynierskich i magisterskich oraz osiem kierunków doktoranckich na wydziałach: artystycznym, ekonomii i zarządzania, radiotechniki, informatyki i telekomunikacji, fizyki i astronomii, humanistycznym, inżynierii lądowej i środowiska, matematyki, informatyki i ekonometrii, mechanicznym, nauk biologicznych oraz pedagogiki, socjologii i nauk o zdrowiu. Uniwersytet nadaje stopnie naukowe doktora w zakresie: astronomii, budowy i eksploatacji maszyn, budownictwa, elektrotechniki, filozofii, fizyki, historii, informatyki, inżynierii środowiska, literatury, matematyki i pedagogiki, a doktora habilitowanego w zakresie: elektrotechniki, historii i matematyki. Uczelnia przygotowuje się do uruchomienia studiów lekarskich w 2013 r.



Joachim Benyskiewicz - zdjęcie z archiwum Krzysztofa Benyskiewicza

Joachim Benyskiewicz

Urodził się 7 marca 1936 w Neu Kramzig (pol. Nowe Kramsko) na Babimojszczyźnie, zmarł 12 kwietnia 2011 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracował jako historyk na Uniwersytecie Zielonogórskim. W 1998 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Zajmował się głównie nowszymi dziejami Środkowego Nadodrza. Napisał m.in. *3:0 dla polskości. Z dziejów lubuskiego sportu*, *Posłowie polscy w Berlinie w latach 1866-1890*, *Naród bez państwa*, *Spółeczeństwo – władza – państwo 1918-1939*.

NOWA ZIEMIA LUBUSKA

Rozmowa z prof. dr. hab. Joachimem Benyskiewiczem,
historykiem

– Porozmawiajmy o przynależności państwowej Środkowego Nadodrza w przeszłości.

– Czy chodzi panu o ziemię po obu stronach Odry? Od Śląska Opolskiego po Pomorze Zachodnie?

– Środkowe Nadodrze rozumiem jako terytorium zajmowane dawniej przez duże województwo zielonogórskie, dziś przez diecezję zielonogórsko-gorzowską. Obecnie jest to administracyjny region lubuski i ziemia głogowska.

– Między nami nie dojdzie do sprzeczki, ponieważ ja też uważam, że Środkowe Nadodrze zaczyna się koło Głogowa i kończy tuż za Kostrzynem.

– Zanim zaczniemy rozmowę, zgódźmy się, że geograficzne i administracyjne Środkowe Nadodrze to części dawnych regionów: Pomorza, Ziemi Lubuskiej, Wielkopolski, Śląska i Łużyc.

– Można jeszcze dodać skrawek Krajny, która według jednych badaczy stanowi samodzielny region historyczny, według drugih – jest częścią północnej Wielkopolski.

– Zacznijmy od wskazania historycznej Ziemi Lubuskiej, której wschodnią część niektórzy regionaliści zaliczają do Wielkopolski.

– Granice księstwa lubuskiego pokrywały się z granicami diecezji lubuskiej utworzonej jeszcze za panowania Bolesława Krzywoustego. Biskupstwo powstało między 1123 a 1125 rokiem w Lubuszu, obejmowało parafie po obu stronach środkowej Odry. Andrzej Toczewski podaje, że „południową granicę diecezji lubuskiej, oddzielającą ją od miśnieńskiej, stanowiła Odra na odcinku między Szydłowem a Przybrzegiem (dziś Fürstenberg, część Eisenhüttenstadt). Następnie pradoliną kierowała się ona na zachód do Sprewy i wzdłuż tej rzeki dochodziła do punktu, w którym wpada do niej Łęknica. W tym miejscu skręcała na północny wschód, granicząc z diecezją brandenburską. Granica lubusko-brandenburska biegiem rzeki Łęknicy dochodziła do pradoliny Odry. Po przekroczeniu Odry granica diecezji biegła wzdłuż rzeczki Myśli, następnie skręcała do Warty. Na południu od Warty, granicząc już z diecezją poznańską, biegła w kierunku Łagowa, ale pozostawiała tę miejscowość w granicach diecezji lubuskiej. Pod Łagowem granica skręcała gwałtownie na południowy zachód do rzeki Pliszki, biegła przez pewien odcinek wzdłuż tej rzeki, by skręcić na południe i dojść do Szydłowa nad Odrą”.

– Stolicą księstwa i diecezji był lewobrzeżny Lubusz, po niemiecku Leubus, miasteczko liczące dziś niewiele ponad trzy tysiące mieszkańców.

– Diecezja składała się z ośmiu dekanatów, na prawym brzegu Odry ośrodki dekanalne znajdowały się w Kostrzynie, Ośnie, Rzepinie i Sulęcinie. Parafie istniały w trzech czwartych miejscowości prowincji kościelnej. Lubusz był stolicą diecezji do 1276 roku, kiedy siedzibę biskupa przeniesiono do podkostrzyńskiej Górzycy. W 1373 roku kościół w Fürstenwalde otrzymał rangę katedry. Co ciekawe, na Ziemi Lubuskiej, opanowanej przez Brandenburgię, luteranizm bardzo szybko zdobył zwolenników. Oznaczało to powolną likwidację diecezji katolickiej, jej majątek przejął Kościół protestancki wspierany przez władcę Nowej Marchii, Johanna von Hohenzollerna.

– Granice dawnego księstwa lubuskiego i diecezji pokrywały się. W porównaniu z diecezją poznańską czy wrocławską był to niewielki obszar.

– Po stronie wschodniej, czyli obecnie należącej do Polski leży połowa gmin powiatu gorzowskiego, ale bez Gorzowa, całe powiaty słubicki i sulciński, części powiatów międzyrzeckiego, świebodzińskiego i krośnieńskiego. Około pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, a więc troszkę mniej niż trzecia część powierzchni województwa lubuskiego.

– **Największą część województwa lubuskiego stanowi historyczny Śląsk.**

– W uproszczeniu można przyjąć, że do Śląska należą części dzisiejszych powiatów krośnieńskiego, świebodzińskiego, wschowskiego i zielonogórskiego, cały powiat nowosolski i niemal cały powiat żagański. Powiat żarski leży na historycznych Łużycach, do których należy też gubińska część powiatu krośnieńskiego i nowogrodzka z powiatu zielonogórskiego. W przeszłości granice administracyjne na Środkowym Nadodrzu nie były trwałe, szczególnie gdy Ziemię Lubuską opanowali brandenburczycy. W pewnych okresach Wielkopolska sięgała za Międzyrzecz, tak jak i Nowa Marchia obejmowała tereny aż pod Sulchowem.

– **Po drugiej wojnie światowej propaganda polska używała określenia: ziemie odzyskane, prastare ziemie piastowskie, albo: *byliśmy, jesteśmy, będziemy*.**

– Była to odpowiedź na międzywojenną próbę udowodnienia przez Niemców, że w dawnych wiekach terytoria zajmowane przez ludy germańskie ciągnęły się daleko na wschód od Odry. Czy pan wie, że w czasie drugiej wojny światowej archeolodzy niemieccy poszukiwali śladów germańskich aż w Biskupinie, osadzie założonej w epoce brązu, a więc przed trzema tysiącami lat, mimo iż wybitny badacz z Poznania, profesor Kostrzewski orzekł, że żyła tam ludność kultury łużyckiej?

– **Czy na pewno w 1945 roku Polska wróciła na stare ziemie piastowskie, jak głosili propagandyści i ciszej mówili historycy?**

– Gdyby nie emocje towarzyszące przypominaniu tego faktu przez propagandyistów, nie byłoby w nim niczego nieprawdziwego. Nie jest łatwo precyzyjnie podać, kiedy plemiona Słowian Połabskich

i Serbskich osiedliły się przy Odrze i Nysie. Badacze przyjmują, że stało się to najwcześniej w szóstym, najpóźniej w ósmym wieku naszej ery. Mniej więcej na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia ich terytoria podbili Germanie, wschodnie – Słowianie. Za panowania Mieszka I całe Środkowe Nadodrze było w granicach państwa Polan.

– Jego syn, pierwszy koronowany władca Polski, Bolesław Chrobry przesunął granice swego państwa jeszcze dalej na zachód.

– Chrobry umocnił państwo, zakładając trwałe grody w Drzeniu (Drezdenku), Santoku, Międzyrzeczu, Głogowie, Bytomiu, Krośnie i Lubuszu. W późniejszym czasie powstały kolejno kasztelanie, między innymi w Żaganiu, Niemczy (Polanowicach), Szydłowie. W tym czasie centrum państwa znajdowało się w Gnieźnie i Poznaniu, a Środkowe Nadodrze było więcej niż węzłową częścią terytorium polskiego królestwa. Tędy Germanie usiłowali wtargnąć na ziemie Piastów i tu rozgrywały się najważniejsze bitwy niemiecko-polskie w średniowieczu. Zresztą nie tylko wtedy, bo i w czasach późniejszych, na przykład, bitwy prusko-rosyjskie pod Sarbinowem w 1758 roku i dwa lata później pod Kunowicami. W 1945 roku tu toczyła się bitwa o klucz do Berlina, czyli o Odrę.

– Czy zgadza się Pan ze mną, że najgorsze czasy dla Środkowego Nadodrza zaczęły się po śmierci Bolesława Krzywoustego?

– Jeśli ma pan na myśli testament Krzywoustego z 1138 roku, w którym władca podzielił królestwo na sześć części – Małopolskę jako dzielnicę senioralną i Ziemię Łęczycką, Ziemię Sandomierską, Mazowsze, Wielkopolskę oraz Śląsk – to zgadzam się z tą tezą. Dzielnicą śląską obejmowała też Ziemię Lubuską. Póki władcą tego terytorium był Henryk Brodaty, ekspansja Brandenburczyków nie ustawała, ale nie trwałego się nie wydarzyło. Po nim na trzy lata władzę przejął Henryk Pobożny, który zginął w bitwie z Mongołami pod Legnicą w 1241 roku. Jego następcą został Mieszko zwany przez dziejopisarzy Lubuskim. Zmarł po roku panowania. Interesująca nas ziemia dostała się najstarszemu synowi Pobożnego, Bolesławowi Rogatce.

– Rogatka, niepokorny książę śląski i lubuski, prowadził wojnę ze swoim bratem Henrykiem, księciem wrocławskim. O co?

– Po śmierci Pobożnego jego synowie podzielili dzielnicę śląską na część wrocławską, którą władał młodszy z braci Henryk Biały i legnicko-głogowsko-lubuską, w której władzę twardą ręką dzierżył Bolesław Rogatka, zwany też Srogim. Ambicją tego ostatniego było władanie obiema częściami dzielnicy śląskiej, a ponieważ jego siły były zbyt skromne, zdecydował się na zaciąg wojsk obcych, co musiało kosztować. Niestety, w skarbcu książęcym Rogatki było widać dno, więc w 1249 roku zwrócił się do arcybiskupa magdeburskiego o pożyczkę. Jako zastaw wskazał połowę Ziemi Lubuskiej. Jego brat Henryk również nie miał pieniędzy na wojnę, pożyczył je od margrabiego Miśni, oferując mu gród w Szydłowie i ziemię krośnieńską, ale dopiero po pokonaniu Bolesława.

– Lekkomysłny Rogatka przegrał tę bratobójczą wojnę.

– Sytuacja pewnie wyglądałaby inaczej, korzystniej z punktu widzenia Rogatki, gdyby z Passawy nie wrócił trzeci z braci, Konrad, przeznaczony do stanu duchownego. Konrad zażądał wydzielenia mu dzielnicy, a ponieważ Bolesław nie chciał spełnić jego oczekiwania, znalazł wsparcie u księcia wielkopolskiego Przemysła. Połączone siły Henryka i Przemysła rozbiły wojska zaciężne Rogatki, zostawiając mu tylko dzielnicę legnicką, okrojoną o kasztelanie głogowską. Przyjmuje się, że w 1251 roku powstała dzielnica, obejmująca między innymi Głogów i Bytom, potem również i Krosno, a jeszcze później Ścinawę i Żagań.

– A co się stało z Ziemią Lubuską?

– Ponieważ Rogatka przegrał wojnę z braćmi i nie miał z czego zwrócić długu, w 1252 roku arcybiskup magdeburski przejął zastawioną część księstwa lubuskiego i sprzedał ją margrabiom brandenburskim. To jeszcze nie oznaczało katastrofy terytorialnej, gdyż tak lewobrzeżna, jak i wschodnia część Ziemi Lubuskiej często zmieniała właściciela. Henryk Brodaty dwukrotnie odstępował tę ziemię Władysławowi Laskonogiemu i dwukrotnie odbijał ją z rąk brandenburskich.

– Czy można przyjąć, że Piastowie utracili Ziemię Lubuską w 1252 roku?

– Jan Długosz pisał: „Od tego czasu zamek i powiat lubuski od Królestwa Polskiego odpadł i niesłusznie wcielony został do Marchii Brandenburskiej”. Oznaczało to, że Rogatka otworzył Brandenburczykom bramę na wschód. Na nowych ziemiach utworzyli oni prowincję zwaną Nową Marchią. Najpierw na południu sięgała ona dolnej Warty i Noteci, na zachodzie okolic podszczecińskiej Widuchowej, na północy obejmowała ziemię świdwińską, a na wschodzie po Drawę. Na początku XV wieku przez pół stulecia należała do zakonu krzyżackiego. W 1482 roku przyłączono do niej ziemię krośnieńską, lubską i bobrowicką. W latach 1535-1571 była samodzielnym państwem w ramach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, wtedy też należała do niej ziemia torzyska. W 1571 roku wróciła do Brandenburgii, z którą najpierw weszła do królestwa Prus i Brandenburgii, w 1871 roku do cesarstwa niemieckiego, po pierwszej wojnie światowej należała do Republiki Weimarskiej i na końcu do Trzeciej Rzeszy. Zimą 1945 roku terytorium to znalazło się w granicach Polski.

– W międzyczasie tak władcy Polski, jak i książęta śląscy walczyli o utracone terytorium.

– W 1329 roku Władysław Łokietek odebrał Brandenburczykom Skwierzynę, Międzyrzecz i Babimost. Jego następcą Kazimierz Wielki odzyskał Drezdenko, Santok i Wschowę. Okazja powrotu Ziemi Lubuskiej do Polski nadarzyła się w 1402 roku, kiedy krzyżacy kupili ją od Luksemburgów i po wojnie trzynastoletniej, kiedy zakon sprzedał ją Hohenzollernom. W 1477 roku książę żagański Jan Szalony próbował ją odbić z rąk brandenburskich, ze swoimi wojskami doszedł aż do Ośna i Rzepina. Wcześniej takie plany miał Henryk Żagański, który chciał zostać władcą Środkowego Nadodrza od Żagania po Santok i Drezdenko, w czym miał mu dopomóc Kazimierz Wielki.

– Pod władzą brandenburską, pruską i niemiecką Ziemia Lubuska nazywała się inaczej. Jej historyczną prawobrzeżną część była Sternberger Land, co w 1945 roku Polacy przetłumaczyli jako ziemia torzyska.

– Terytoria zaodrzańskie na północ od Warty, które były bogatsze i większe, Brandenburczycy nazwali Nową Marchią, krainę mniejszą i biedniejszą – ziemią torzymską. Nowa Marchia leżała w granicach diecezji kamieńskiej, z wyłączeniem ziemi kostrzyńskiej, która tak jak ziemia torzymska była w diecezji lubuskiej. Nazwa ziemia torzymska pierwszy raz pojawiła się w 1375 roku. Za Johanna von Hohenzollerna, władającego elektoratem z Kostrzyna, została podporządkowana Nowej Marchii. Wtedy też jej częścią było księstwo krośnieńskie z Lubskiem i Sulechowem.

– W 1723 roku Brandenburgia połączona z Prusami wyrosła na potężne państwo. Na północ od granic Rzeczypospolitej były Prusy z Królewcem, po zachodniej stronie Odry Kurmark, po wschodniej Nowa Marchia.

– W tej ostatniej były powiaty: chojeński, choszczeński, świdwiński, drawski, myśliborski, gorzowski, krajeńsko-drezdenecki, torzymski, krośnieński, sulechowski i chociebuski. Rząd Nowej Marchii znajdował się w Kostrzynie. Od wojen napoleońskich w 1815 do 1945 roku obszar ten należał do rejencji frankfurckiej, w której były między innymi powiaty ziemskie: Crossen an der Oder (pol. Krosno Odrzańskie), Guben (pol. Gubin), Landsberg an der Warthe (pol. Gorzów Wielkopolski), Meseritz (pol. Międzyrzecz), Oststernberg z siedzibą w Zielenzig (wschodniotorzymski w Sulęcinie), Schwerin an der Warthe (pol. Skwierzyna), Sorau (Żary), Weststernberg z siedzibą w Reppen (zachodniotorzymski w Rzepinie), Züllichau-Schwiebus z siedzibą w Züllichau (sulechowsko-świebodziński z siedzibą w Sulechowie).

– Podsumujmy: północna część regionu lubuskiego, powyżej Odry, należała do Niemiec od nieszczęśliwego kroku Rogatki aż do 1945 roku.

– Granica między Śląskiem a Nową Marchią przebiegała mniej więcej wzdłuż Odry, zostawiając po stronie brandenburskiej Krosno, Świebodzin i Sulechów. W czasach piastowskich miejscowości te należały do Śląska. Na wschodzie granica polsko-brandenburska przebiegała od Drezdenka przez Santok, Skwierzynę, Międzyrzecz do Kargowej. Ale przecież w latach 1740-1763 trwały wojny śląskie

pomiędzy Austrią Habsburgów i Prusami Hohenzollernów. W ich wyniku całe Nadodrze znalazło się w państwie niemieckim.

– Pomówmy teraz o dziejach części południowej. Pierwszym, który próbował nie tylko zjednoczyć księstwa, ale i sięgnąć po koronę był śląski Piast Henryk Probus.

– W 1290 Probus zwany też Prawym oddał Panu ducha i od tego roku zaczynają się przetasowania administracyjne. Wprawdzie księstwa pozostają pod władzą Piastów śląskich, lecz ich zwierzchnikami stają się najpierw królowie czescy, a potem wiedeńscy Habsburgowie. Proszę pamiętać, że Kazimierz Wielki w 1348 roku, nie chcąc walczyć jednocześnie z krzyżakami i Czechami, zrzekł się Śląska, na krótko zachowując zwierzchność metropolii gnieźnieńskiej. Trzeba przyjąć, że w XIV wieku pod panowaniem czeskim księstwa rozwijają się, a podległość pod Pragę nie ma większego wpływu na to, co się dzieje w Legnicy, Głogowie czy Żaganiu. Co innego jest we Wrocławiu, ale to poza obszarem naszej rozmowy.

– Południowa część Środkowego Nadodrza to dzielnica głogowska, z Głogowem, Koźuchowem, Żaganiem, Zieloną Górą, Krosnem i Świebodzinem.

– Koronowany na króla Czechów Władysław Jagiellończyk w 1474 roku oddał ją we władanie swemu bratu Janowi Olbrachtowi, który ćwierć wieku później został monarchą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jego drugi brat, zapisany w dziejach Polski jako Zygmunt Stary, był namiestnikiem czeskiego władcy na Śląsku i Łużycach. Gdy zasiadł na krakowskim tronie, zrzekł się śląskich obowiązków i posiadłości na rzecz Czechów.

– Było też księstwo żagańskie.

– Pierwszy raz zostało ono wydzielone w 1274 roku, potem w 1312, oprócz Żagania obejmowało Szprotawę, Koźuchów, Zieloną Górę, Świebodzin i Krosno. W 1413 roku Jan Żagański kupił dobra w Przewozie, wtedy ukształtowała się granica śląsko-łużycka na Nysie. Ostatni władca księstwa, skłócony z braćmi, uznawany też za ostatniego Piastu śląskiego z linii żagańsko-głogowskiej, Jan Szalony sprzedał je saskim Wettinom, a ci Habsburgom.

– Habsburgom w 1526 roku zostało podporządkowane królestwo czeskie...

– ... i wraz z nim cały Śląsk. W nagrodę za zwycięstwo wojsk cesarskich nad czeskimi pod Białą Górą Ferdynand II oddał księstwo żagańskie dowódcy wojsk austriackich Albrechtowi Wallensteinowi. Kolejnymi właścicielami księstwa byli: Wacław Lobkowicz, Bironowie, po nich Talleyrandowie. Wolnym Państwem Stanowym Żary-Trzebiel władały rody Bibersteinów i Promnitzów. Siedlisko z Bytomiem należało do Schönaichów. Tak było aż do roku 1740, kiedy Hohenzollernowie rozpoczęli wojnę z Habsburgami o panowanie na Śląsku. 11 czerwca 1742 roku we Wrocławiu obie strony zawarły porozumienie, na mocy którego Śląsk stał się prowincją pruską.

– Co nie udało się cesarzom niemieckim na początku drugiego stulecia, udało się Prusakom w połowie XVIII wieku.

– Można przyjąć, że od czasów Mieszka I przez pół tysiąclecia południowa część Środkowego Nadodrza była piastowska, czyli polska. Potem przez niemal trzysta lat czeska i za tym pośrednictwem należąca do Habsburgów. Przez kolejnych dwieście lat znajdowała się w Prusach i Niemczech, z przerwą na lata 1807-1813, kiedy należała do cesarstwa francuskiego. Od 1945 roku znowu jest w Polsce. Przeczy to często powtarzanemu stwierdzeniu, że całe Środkowe Nadodrze najdłużej było niemieckie.

– Zanim północna część tego terytorium wróciła do Polski, znajdowała się w rejencji frankfurckiej. A część południowa?

– W 1815 roku powstał departament glogowski, podporządkowany pięć lat później rejencji legnickiej, z niewielkimi zmianami terytorialnymi istniejącej do 1945 roku. W jej skład wchodziły powiaty, między innymi, Freystadt (pol. Kożuchów), Glogau (pol. Głogów), Grünberg (pol. Zielona Góra), Sagan (pol. Żagań) i Sprottau (pol. Szprotawa). W latach trzydziestych poprzedniego stulecia powiaty Sprottau i Sagan oraz Goldberg (pol. Złotoryja) połączono w jedną jednostkę administracyjną z siedzibą starosty w Sprottau, a powiat Kożuchów dołączono do powiatu Grünberg. W 1938 roku rejencja legnicka powiększyła się o powiat Fraustadt (pol. Wschowa), przeniesiony z Grenzmark Posen-Westpreussen (marchia graniczna poznańsko-zachodniopruska).

– Jakie terytorium obejmowała poznańsko-zachodniopruska marchia graniczna?

– Powstała po traktacie wersalskim w 1922 roku. Jej granice wielokrotnie się zmieniały. Do 1938 roku w skład marchii granicznej wchodziły powiaty, między innymi, Bomst (pol. Babimost), Frau-stadt (pol. Wschowa), Meseritz (pol. Międzyrzecz), Schwerin an der Warthe (pol. Skwierzyna). Po tym roku trzy ostatnie powiaty włączono do rejencji frankfurckiej, powiat Fraustadt (pol. Wschowa) i południową część powiatu Bomst (pol. Babimost) do rejencji legnickiej. W okrojonej rejencji pilskiej pozostał powiat Friedeberg (pol. Strzelce Krajeńskie).

– Mieszkańcy Środkowego Nadodrza byli Niemcami? Czechami? Polakami?

– Jak na kresach państw, mieszało tu najwięcej Niemców i Polaków. Im bliżej Odry, tym więcej było Niemców, a wzdłuż Nysy – Serbów Łużyckich. Od XV do połowy XVIII wieku można było tu spotkać czeskich urzędników. Po zajęciu Śląska przez Prusy na całym Nadodrzu umacniał się żywioł niemiecki, prąc na wschód. Ze względu na dużą lesistość, liche ziemie oraz gęstą sieć rzek i jezior do połowy XVIII wieku Środkowe Nadodrze było słabo zaludnione. Dlatego władcy pruscy stwarzali tu korzystne warunki do życia dla kolonistów z Fryzji i Niderlandów, z zachodnich księstw niemieckich, ze Śląska i Wielkopolski, nawet z polskich kresów wschodnich.

– Przypuszczam, że na co dzień każda grupa posługiwała się swoim językiem? A jaki język obowiązywał w urzędach, kościołach, szkołach?

– Przez wieki językiem prawnym była łacina. Ona też była językiem liturgicznym w Kościele katolickim. To między innymi wywołało bunt Marcina Lutra, który na początku XVI wieku zainicjował reformację. On pierwszy przełożył Nowy Testament na niemiecki, po nim inni odważyli się tłumaczyć Pismo Święte na języki narodowe. Umacnianie się wiary protestanckiej na Środkowym Nadodrzu odbywało się wedle zasady: czyja władza, tego religia, ale i rozumienia znaczenia słów, które padały z kazalnicy. Im bliżej naszych czasów, im więcej kolonistów przybywało z księstw niemieckich,

tym więcej osób posługiwało się mową niemiecką. Język ten był w codziennym użyciu na dworach i przede wszystkim w miastach. Przy granicy z Wielkopolską nigdy nie zanikła mowa polska, o czym świadczą pamiątki przeszłości zachowane na Babimojszczyźnie, w okolicach Międzyrzecza i Wschowy.

– Bardzo często piastowscy władcy śląskich księstw brali za żony panny z rodów niemieckich. Żoną Henryka Brodatego była Jadwiga, córka bawarskiego Bertolda i Agnieszki Rochlitz z Wettynów. Pierwsza żona Bolesława Rogatki, Jadwiga, była córką hrabiego Anhaltu. Drugą żoną jego brata Konrada Głogowskiego była Zofia, córka margrabiego Miśni. Henryk Głogowski miał dziewięcioro dzieci z córką Albrechta Brunszwickiego, Matyldą. Henryk Wierny, książę żagański, ożenił się z córką margrabiego brandenburskiego, Hermana Długiego. Jan Żagański pojął za żonę Scholastykę z Askańczyków, córkę elektora saskiego, Rudolfa. Jego syn Henryk był żonaty z Barbarą, córką elektora brandenburskiego, Albrechta Achillesa, a Jan Szalony, ostatni Piast z linii żagańsko-głogowskiej, z Katarzyną, córką księcia opawskiego, Wilhelma...

– Takie związki małżeńskie panujących były powszechne. Nie tyle uzależniały ich od dworów niemieckich, co wzmacniały władzę w księstwach. Z Niemkami żenili się nie tylko władcy księstw, lecz i ich możni poddani. Bywało, że jeden brat służył panu niemieckiemu, drugi piastowskiemu. Dziedzic Pomorska Adam Kalckreuthen dowodził dwustoma brandenburskimi konnymi w polskiej armii Jana Sobieskiego przeciwko Turkom. Zginął prawdopodobnie pod Chocimiem. Jego syn Jan Zygmunt ożenił się z Elżbietą Bronikowską, panną z Kurska koło Międzyrzecza. Pochodzący z tego rodu Joachim służył w pułku ułanów w Ostrogu na Wołyniu w Polsce międzywojennej. Leonard ukończył gimnazjum w Międzyrzeczu, gdzie języka polskiego uczył legendarny Wiesław Sauter. Unrugowie, którzy mieli majątki na ziemi międzyrzeckiej, walczyli przeciw Kozakom u boku królów polskich. Admirał Józef Unrug urodził się w Brandenburgii jako Joseph Unruh, w czasie pierwszej wojny światowej był dowódcą we flocie niemieckiej, w latach międzywojennych dowodził flotą polską, a w 1939 roku bronił naszego wybrzeża.

A Brühlowie... a Radziwiłłowie... a Marcin Opitz... a Krzysztof Niemirycz? W żyłach wschowskiego pastora Samuela Lauterbacha krążyła polska krew, mimo to pisał on po niemiecku i upowszechniał historię Polski.

– Już dawno doszedłem do wniosku, że przeszłość Środkowego Nadodrza nie jest czarno-biała.

– Zgadzam się z panem. Kto uważa inaczej, jest niedouczony.

– Czy istnieje region lubuski? Czy Środkowe Nadodrze jest takim samym regionem jak Wielkopolska, jak Mazowsze?

– Jeśli pyta pan o region administracyjny, nie mam wątpliwości, że taki istnieje co najmniej od 1946 roku. Inaczej sprawa ta wygląda z regionem historycznym w określonych granicach. Zresztą dziś trudno o jasne wyznaczniki regionu, ponieważ wszyscy w Polsce mówimy tym samym językiem, mamy tę samą historię, większość chodzi do takich samych kościołów, czytamy te same książki, oglądamy tę samą telewizję, korzystamy z tego samego internetu. Proszę pana, uważam, że ziemie po 1945 roku nazywane odzyskanymi, tak się wpisały w historię współczesnej Polski, że za kilkanaście lat nawet ta coraz trudniej zauważalna granica między województwem lubuskim i wielkopolskim przestanie być widoczna.

– Wielu badaczy szczególnie starszego pokolenia ma za złe poznańskiemu historykowi Zygmuntowi Wojciechowskiemu, że przywrócił nazwę: Ziemia Lubuska. W 1945 roku Maria Kielczewska wydała książkę *Odra – Nysa najlepsza granica Polski*, gdzie Ziemia Lubuska na dobre się zadomowiła. Zanim w 1950 roku na Środkowym Nadodrzu utworzono województwo zielonogórskie, nazwa ta już funkcjonowała w głowach przesiedleńców i osadników.

– Region tworzą przede wszystkim ludzie, wyróżnia go ich kultura, język, zwyczaje, sukcesy i klęski... Gdyby w 1945 roku Niemieccy mieszkańcy nie opuścili Środkowego Nadodrza, zmieniłyby się jedynie granice administracyjne. Zaraz po drugiej wojnie wraz z napływem nowych ludzi z kresów wschodnich, z centralnej Polski, z Wielkopolski dotarli tu ich zwyczaje, język, kultura, zaczęła się tworzyć nowa historia... Prawdą jest, że mniej więcej połowa Ziemi

Lubuskiej z jej pierwszą stolicą, Lubuszem, leży w Niemczech. Ale jaką wspólną nazwą objąć skrawki regionów, które stanowią województwo lubuskie? Dziś trudno sobie wyobrazić inną nazwę tej części Polski. Środkowe Nadodrze przyjęło się bardziej jako określenie geograficzne niż administracyjne i historyczne. Zdarza się, że ludzie myślą województwo lubuskie z lubelskim.

– **Andrzej Toczewski nazwał południową część województwa Śląskiem Lubuskim.**

– Idąc tym tropem wschodnią część można nazwać Wielkopolską Lubuską, obszar między Nysą Łużycką i Bobrem – Łużycami Lubuskimi, a terytorium zajmowane przez powiaty północne – Marchią Lubuską.

– **I całości nadać nazwę: Nowa Ziemia Lubuska?**

– Nowa Ziemia Lubuska?... Jak Nowa Południowa Walia w Australii? Jak Nowa Szkocja i Nowa Funlandia w Kanadzie? Jak Nowy Meksyk w Stanach Zjednoczonych?... Ciekawe i do przyjęcia.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Daty administracyjne

- 14 marca 1945 r. – powołanie okręgów administracyjnych: południowa część Środkowego Nadodrza należała do okręgu Dolny Śląsk, środkowa i północna do okręgu Pomorze Zachodnie
- 29 maja 1946 r. – rząd podjął decyzję o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie Wielkopolskim, obejmującej powiaty: babimojski, gorzowski, krośnicki, międzyrzecki, pilski, rzepiński, skwierzyński, strzelecko-krajeński, sulęciński, świebodziński, wschowski i zielonogórski
- 6 lipca 1950 r. – powstanie województwa zielonogórskiego składającego się z powiatów: babimojskiego, głogowskiego, gorzowskiego, kożuchowskiego, krośnieńskiego, międzyrzeckiego, rzepińskiego, skwierzyńskiego, strzelecko-krajeńskiego, sulęcińskiego, szprotawskiego, świebodzińskiego, wschowskiego, zielonogórskiego, żagańskiego i żarskiego
- 1 stycznia 1951 r. – utworzenie powiatu sulechowskiego
- 11 kwietnia 1953 r. – zmiana nazwy powiatu kożuchowskiego na nowosolski
- 1 października 1954 r. – utworzenie powiatu lubuskiego
- 15 grudnia 1958 r. – zmiana nazwy powiatu rzepińskiego na słubicki
- 31 grudnia 1961 r. – likwidacja powiatów gubińskiego i skwierzyńskiego
- 1 czerwca 1975 r. – utworzenie województw gorzowskiego i zielonogórskiego (małego)
- 1 stycznia 1999 r. – utworzenie województwa lubuskiego z siedzibą administracji samorządowej w Zielonej Górze i administracji rządowej w Gorzowie

ŹRÓDŁA

- Andreas-Gryphius-Preis 1992. Begleitheft zur feierlichen Überreichung des Preises am 12.6.1992 im Kulturhaus der Stadt Glogau / Andreas-Gryphius-Nagroda 1992* (Zeszyt towarzyszący uroczystemu wręczeniu nagrody dnia 12.6.1992 w Domu Kultury miasta Głogowa), red. Samuel Beer i Dieter Matzenauer, Esslingen 1992.
- Henryk Barycz, *Śląsk w polskiej kulturze umysłowej*, Katowice 1979.
- Halina Bohuta-Stapel, *Zielonogórczanin Julius Bierbaum – poeta, pisarz, dziennikarz, obywatel świata*, „Pro Libris” 2010, nr 2 (30).
- Norman Davies, *Zaginione królestwa*, Kraków 2010.
- Jan Delijewski, *Życie na torze*, Poznań 1986.
- Henryk Dominiczak, *Proces zasiedlania województwa zielonogórskiego w latach 1945-1950*, Zielona Góra 1975.
- Joannici i ich mistrz Jan Maurycy von Nassau-Siegen (1604-1679)*, red. Grażyna Kostkiewicz-Górska, Gorzów Wlkp. 2006.
- Stanisław Gibasiewicz, *Mennica wschowska w średniowieczu*, „Zielonogórskie Zeszyty Muzealne” 1975, t. 5.
- Johann Gottfried John i Heinrich Adolph Pilz, *Kronika lub krótkie opisanie dziejów Zielonej Góry z lat 1222-1881*, Zielona Góra 2005.
- Paweł Juckiewicz, *Próba utworzenia uniwersytetu na Środkowym Nadodrzu w XVII wieku*, „Rocznik Lubuski” 2002, tom XXVIII, cz. 1.
- Antoni Kielbasa, *Jadwiga Śląska*, Kraków 2004.
- M. Kirmio, *Nowe przyczyny do historii mennicy miasta Wschowy*, Kraków 1886.
- Stanisław Kowalski, *Zabytki Środkowego Nadodrza*, Zielona Góra 1976.
- Zbigniew Kozłowski, *Legends lubuskie II*, Żary 2010.
- Jarosław Kuczer, *Edukacja młodzieży szlacheckiej*, „Studia Zachodnie” 2009, nr 11.

- Hans-Dietrich Lemmel, *Die Timpfe - eine norddeutsche Münzmeistersippe*, „Genealogie” 2003, zeszyt 26.
- Lubuszanie z kresów wschodnich*, red. Ewa Kruszczyńska, Gorzów Wlkp. 2000.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Brama (Krosno Odrzańskie ongiś)*, Krosno Odrzańskie 1995.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Protestanckie gimnazjum „Schönaichianum-Carolatheum” w Bytomiu Odrzańskim – jego ponadregionalny i ponadkonfesyjny program (1609-1629)*, „Rocznik Lubuski” 1997, tom XXIII, cz.1.
- Niezwykły i tajemniczy ludzie Ziemi Lubuskiej*, red. Dariusz Chajewski, Zielona Góra 2010.
- Janusz Olczak, Listy w zbiorach Alfreda Siateckiego.
- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Biblia Tysiąclecia, Poznań 1991.
- Jerzy Pokrzywnicki, *Meteority Polski*, „Studia Geologica Polonica” 1964, vol. XV.
- Politechnika Zielonogórska*, red. Józef Korbicz, Zielona Góra 2000.
- Południowe pogranicze*, red. Joachim Benyskiewicz, Zielona Góra 1983.
- Mieczysław Pozaroszczak, Maciej Siwicki i Stanisław Syrycki, *Ziemia Szprotawska*. Historia i ludzie, Szprotawa 2010.
- Przemiany, perspektywy*, red. Hieronim Szczegół, Zielona Góra 1985.
- Schematyzm administracji apostolskiej kamieńskiej, lubuskiej i prałatury pilskiej*. Gorzów 1946.
- Schematyzm diecezji zielonogórsko-gorzowskiej*, Zielona Góra 1995.
- Alfred Siatecki, *Ponad wszystko Żagań*, „Gazeta Lubuska” 2000, nr 154.
- Martin Sprungala, *Wsie na pograniczu glogowsko-wielkopolskim*. Zarys dziejów wybranych miejscowości / Geschichte der Dörffer in der Glogau-Posener Grenzregion. Ein kurzer historischer Überblick. Sława-Wijewo 2010.
- Hieronim Szczegół, *Jak powstała Wyższa Szkoła Inżynierska*, „Uniwersytet Zielonogórski” 2004, nr 2 (120).
- Andrzej Toczewski, *Historia Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra 2008.
- Zygmunt Trziszka, Listy w zbiorach Alfreda Siateckiego.
- Zakony rycerskie na ziemiach pogranicza*, red. Przemysław Kołosowski, Chwarszczany 2007.
- Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku*, red. Hieronim Szczegół, Zielona Góra 1996 (część pierwsza), Zielona Góra 1999 (część druga).
- Ziemia Lubuska, studia nad tożsamością regionu*, red. Andrzej Toczewski, Zielona Góra 2004.

Strony internetowe:

www.astronomiazagan.pl (14.III.2011)

www.en.wikipedia.org/wiki/Wilhelm_Julius_Foester (14.III.2010)

www.chomikuj.pl (14.III.2011)

www.culture.pl/os_mistrz_z_gosciszowic (6.II.2011)

www.dziedzictwo.ekai.pl (1.III. 2011)

www.geneal.lemmel.at/TimpfeMunzmeister (8.IV.2001)

www.krzeszyce.pl (11.I.2011)

www.niegoslawice.pl (4.II.2011)

www.wikipedia.org/wiki/Edward_Jancarz (27.III.2011)

pl.wikipedia.org/.../August_Heinrich_Hoffmann_von_Fallersleben (17.IV.2011)

www.pcz.pl/o_uczelni/rektor_kolakowski (11.II.2011)

www.pnujsciewarty.gov.pl (11.I.2011)

www.slonsk.pl (1.III.2011)

www.sportowefakty.pl/zuzel/zawodnicy/edward-jancarz (20.IV.2011)

www.pl.wikipedia.org/wiki/Johann_Wolfgang_von_Goethe (24.I.2011)

ZAMIAST PODSUMOWANIA

- 24 marca 1000 – w grodzie Ilua (Ilwa, Hława) koło dzisiejszej Szprotawy Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III
- 10 listopada 1003 – koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Bracmi Międzyrzeckimi
- 24 sierpnia 1109 – zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci jako zakładników
- 22 września 1234 – książę wielkopolski Władysław Odonic odstąpił Santok księciu piastowskiemu Henrykowi Brodatemu, a ten wzniósł tu gród
- 9 kwietnia 1241 – bitwa pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny, nastąpił rozpad księstwa głogowskiego
- 20 kwietnia 1249 – książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem
- 1251 – powstało księstwo głogowskie
- 1254 – książęta wielkopolscy podarowali Brandenburgii północną część kasztelanii santockiej
- 1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim
- 19 stycznia 1279 – powstało księstwo żagańskie
- 1303 – pojawił się termin Nowa Marchia, oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej
- 28 lutego 1312 – pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako mieście

- 1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
- 1343 – Kazimierz Wielki przyłączył ziemię wschowską do Wielkopolski
- 25 lutego 1363 – Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę zagańską Jadwigę we Wschowie
- 1385 – frankfurteczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
- 31 marca 1454 – w Strzelcach sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
- 17 maja 1462 – odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
- 28 grudnia 1483 – ostatni piastowski władca Głogowa Jan II Szalony zrzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
- 1526 – ostatecznie Śląsk i południowa część Środkowego Nadodrza przeszły w ręce Habsburgów austriackich
- 1537 – margrabią Johann von Hohenzollern przeniósł stolicę Nowej Marchii z Myśliborza do Kostrzyna i rozpoczął budowę twierdzy
- 1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
- 1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
- 1742 – Prusy zajęły Śląsk
- 25 września 1758 – zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
- 12 sierpnia 1759 – pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
- 23 września 1901 – pastor Felix Hobus odkrył figurkę bogini z Deszczna, pochodzącą z 700-550 r. p.n.e.
- 29 maja 1946 – Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
- 15 sierpnia 1946 – Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
- 26 czerwca 1950 – powstało województwo zielonogórskie (duże)
- 1 czerwca 1975 – podział kraju na 49 województw, powstały województwa gorzowskie i zielonogórskie (małe)

- 24 lipca 1998 – Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało województwo lubuskie
- 28 września 2001 – pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, który powstał z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej
- 1 maja 2004 – Polska została członkiem Unii Europejskiej

PODZIĘKOWANIA

Nie jestem historykiem, jestem miłośnikiem dziejów ziemi, na której się urodziłem. Pisząc te opowieści, podobnie jak w przypadku trzech poprzednich „kluczy” korzystałem z podpowiedzi i pomocy dyplomowanych znawców przeszłości Środkowego Nadodrza.

Za pomoc i wskazówki dziękuję politologom, regionalistom i historykom: profesorowi Uniwersytetu Zielonogórskiego dr. hab. Wiesławowi Hładkiewiczowi, dr. hab. Krzysztofowi Benyskiewiczowi z tej samej uczelni, dr. Mieczysławowi Wojeckiemu z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Sulechowie i dr Wandzie Łukas-Janowskiej z agencji fotograficzno-wydawniczej DIAPress w Zielonej Górze. Pięknie dziękuję za konsultację historykom pracującym w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze: dr. Andrzejowi Toczewskiemu, Elżbiecie Maciejewskiej, Arkadiuszowi Cinciowi i Longinowi Dzieżycowi. Za podpowiedzi i materiały dziękuję dr. Tomaszowi Andrzejewskiemu z Muzeum Miejskiego w Nowej Soli oraz historykom z Muzeum Ziemi Wschowskiej: Dariuszowi Czwojdrakowi i Leszkowi Marciniakowi. Chylę głowę przed życzliwymi mi Barbarą Ratajewską z Archiwum Państwowego w Lesznie i ks. dr. hab. Robertem Kuflem z Archiwum Diecezjalnego w Zielonej Górze. Jestem wdzięczny regionaliście i kustoszowi Izby Historii w Szprotawie Mieczysławowi Pozaroszczykowi i red. Janowi Delijewskiemu z Gorzowa za poświęcony mi czas. Nie dotarłbym do wielu źródeł, gdyby nie pomoc Haliny Bohuty-Stąpel z Wilkanowa, poetki i tłumaczki z języka niemieckiego na polski. Pewnie nie udało by mi się zdobyć fotografii i dokumentów bez Ewy Sapeńko, rzeczniczki prasowej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Serdeczne podziękowanie składam Aleksandrze Łobodzińskiej z wydawnictwa Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez pomocy której nie wychwyciłbym literówek i pomyłek, jakie popełniłem w trakcie pisania opowieści. Jak i poprzednio ślicznie dziękuję Emilii Cwiłińskiej za redakcję techniczną, skład i przygotowanie książki do druku oraz nadzór nad jej powstawaniem. Igorowi Myszkiewiczowi dziękuję za pomysł i projekt okładki.

Dziękuję tym koleżankom i kolegom, przyjaciółom, znajomym i krytykom, którzy podzielili się ze mną swoimi spostrzeżeniami o trzech poprzednich zbiorach opowieści. Dziękuję przede wszystkim dlatego, że również im zależy na tym, aby w *Czwartym kluczu do bramy* było jak najmniej błędów, a jak najwięcej literatury połączonej z wiedzą o regionie.



SPIS TREŚCI

Krzyżem i mieczem.....	7
Rozmowa z prof. dr. hab. Kazimierzem Bartkiewiczem, historykiem	
Święta za żywota.....	21
Rozmowa z dr. hab. Jerzym Piotrem Majchrzakiem, historykiem i germanistą	
Bezimienny mistrz.....	31
Rozmowa z Klemensem Felchnerowskim, konserwatorem sztuki i artystą malarzem	
Akademia bytomska.....	45
Rozmowa z Andreaszem Gryphiusem, poetą i dramaturgiem	
Dobry żart tyńfa wart.....	57
Rozmowa z Andrzejem Tymffem, mincerzem królewskim, dzierżawcą mennicy we Wschowie	
Ameryka nad Wartą.....	69
Rozmowa z Januszem Olczakiem, pisarzem i regionalistą	
Gość z kosmosu.....	81
Rozmowa z prof. dr. hab. Wilhelmem Foersterem, astronomem	
Muzy Goethego.....	95
Rozmowa z Ottonem Bierbaumem, poetą i pisarzem	
Austriacki hymn Niemiec.....	107
Rozmowa z Fritzem Lubrichem, kompozytorem, dyrygentem, kantorem kościelnym	
Jak Niemiec został Polakiem.....	119
Rozmowa z ks. Leonem Binderem, proboszczem parafii w Dąbrowce Wielkopolskiej	
Trochę Kargula, trochę Pawlaka.....	133
Rozmowa z Zygmuntem Trziszka, pisarzem i publicystą	
Jazda tylko w lewo.....	145
Rozmowa z Edwardem Jancarzem, dwunastokrotnym medalistą mistrzostw świata na żużlu	
Droga do uniwersytetu.....	159
Rozmowa z prof. dr. hab. Jerzym Kołakowskim, pierwszym rektorem zielonogórskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej	
Nowa Ziemia Lubuska.....	173
Rozmowa z prof. dr. hab. Joachimem Benyskiewiczem, historykiem	
Źródła.....	189
Zamiast podsumowania.....	192
Podziękowania.....	195